

UWAGA RODZICE!

Czym może grozić dzieciom
nauka w „tęczowych szkołach”?



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 6/513 6-12 LUTEGO 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Polemika: Semka inaczej
o innej drodze Orbána



**SMUTNA
HISTORIA
LISY MARIE
PRESLEY**

„Batalion Dubaj” – ukraińska
korupcja w cieniu wojny

ŚLEDZTWO W SPRAWIE URSULI VON DER LEYEN

Covidowe szczepionki
– czarne chmury nad szefową
Komisji Europejskiej



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 500 egzemplarzy

Poranny program informacyjno-publicystyczny na żywo.
Najważniejsze wydarzenia dnia, analizy gospodarcze,
prognoza pogody, przegląd prasy.

Zacznij dzień z Telewizją Republika.



Polska

NA DZIEŃ
DOBRY

od poniedziałku
do soboty

7:35

Zapraszają:

Ilona Januszewska, Aleksander Wierzejski i Emilia Wierzbicki



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

prasa.pl/a5a88eaca6



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polska szkoła realizmu

Obserwując wypowiedzi wielu publicystów i polityków po 24 lutego 2022 r., kiedy to Rosja napadła na Ukrainę, zastanawiam się, co się stało w Polsce z realistami. A może, choć niektórzy poświęcają sporo energii ich krytyce, realistów w Polsce nigdy nie było? Ci zaś, którzy za takich uchodzili, ledwo stanęli w obliczu prawdziwego wyzwania historycznego – a tym był konflikt na Ukrainie – natychmiast przedzierzgnęli się w romantyków i ogłosili, że w dzisiejszych czasach prawdziwi realisci są romantykami? Byłby to z pewnością kolejny już przykład siły polskiego idiomu kulturowego.

Na czym polega realizm? Wbrew wielu nie jest on ani po prostu egoizmem, ani cynizmem, ani kultem nagiej siły. To wszystko określenia polemiczne. Realizm, najkrócej, kieruje się szacunkiem do rzeczywistości. Realisci polityczni niechętni są wielkim projektem, porywom serca, śmiałym wizjom i gestom. Uznają, że przynajmniej, co się dotyczy doczesności, naczelną wartością jest państwo narodowe, a miarą pozwalającą oceniać jego działania jest odwołanie się do interesu narodowego i racji stanu. Z tego powodu starają się, na ile to możliwe, unikać ryzyka, a przede wszystkim troszczą się o bezpieczeństwo i pozycję własnego państwa. Odrzucają manichejską wizję rzeczywistości politycznej, czyli przekonanie, że w historii ściera się bezwzględne dobro i zło, oraz angelizm, a więc wiarę w to, że samemu jest się po stronie czystego dobra. Wierzą, że państwo nie powinno grać ponad swój stan. Wolą badać wady i przypadłości narodowe, a nie skupiać się na niegodziwości przeciwników. W przeciwnym

razie, sądzą, słabość własna łatwo skrywana jest za patosem męczeństwa. Tyle szkic teorii. A co to oznacza dla oceny obecnego konfliktu?

Z pewnością dla realistów jest czymś korzystnym istnienie suwerennej Ukrainy, odgradzającej Polskę od Rosji. Dlatego pomoc Kijowowi, przede wszystkim humanitarna, a także polityczna i do pewnego stopnia wojskowa, leżała i leży w naszym interesie. Jednak – na szczęście dla Polski, na nieszczęście dla Kijowa – Polska jest częścią NATO, Ukraina nie jest. Oznacza to, że często wypowiedziany w Polsce slogan, iż wojna na Ukrainie to „nasza wojna”, jest właśnie tym, czym jest, czyli sloganem, frazesem. Gdyby to była naprawdę w dosłownym tego słowa znaczeniu „nasza wojna”, to jak należałoby ocenić tych Polaków, którzy mówiąc o „naszej wojnie”, chcą wysłać broń na Ukrainę i siedzą bezpiecznie w domu? Wojna na Ukrainie jest w tym sensie „nasza”, że nas dotyczy, a nie w tym, że w niej uczestniczymy. Ba, właśnie dlatego, że szczęśliwie mamy te gwarancje bezpieczeństwa, których nie ma Ukraina, znajdujemy się jako państwo w nieporównywalnie lepszej sytuacji. Możemy sprzyjać i wspierać Ukrainę, ale niepodległość Polski nie zależy bezpośrednio od jej sukcesu lub porażki. Chyba że konflikt ograniczony do wschodniej części Ukrainy rozleje się na Polskę.

I tu jest właśnie klucz. To jest podstawowa różnica między realistami (jeśli tacy są) a ich krytykami. Ci pierwsi twierdzą, że Polska może pomagać Ukrainie tylko w takich granicach, które nie będą pociągały w konsekwencji narażenia bytu, życia i bezpieczeństwa narodu polskiego. Skoro

hegemonem w NATO są Stany Zjednoczone, to polska polityka powinna polegać, co się tyczy wojny, na ich popieraniu, a nie ich zastępowaniu. Warszawa powinna dążyć do tego, by zasłaniać się Waszyngtonem, a nie być narzędziem Waszyngtonu w rozprawie z Moskwą.

Dlatego w oczach realistów niektóre posunięcia władz – przekazywanie Ukrainie najlepszego możliwego sprzętu wojskowego, wyzywanie się najlepszych czołgów, gotowość do oddania samolotów, wreszcie popisy retoryczne, obietnice udzielenia Ukrainie gwarancji bezpieczeństwa i występowanie w roli najgłośniejszego Katona moralności światowej oskarżającego Rosję – jawią się nie jako przejaw roztropności, ale zuchwałości. Nie rozumiem, dlaczego polscy politycy nie biorą pod uwagę tego, co jest, wydaje się, jasne: eskalacja działań wojennych na Ukrainie może prowadzić do rozszerzenia konfliktu. Z samej geografii wynika, że takie rozlanie się działań zbrojnych dotknie bezpośrednio Polskę. Jak potoczy się wojna, gdyby do niej doszło na pełną skalę, nigdy nie wiadomo: historia powinna uczyć ostrożności. Tym bardziej że współczesne środki niszczenia są większe niż kiedykolwiek. Tymczasem większość polskich elit wychodzi z przekonania, że prędzej czy później Rosja musi przegrać, bo wygrać musi Ameryka. Nie definiują tego „wygrać” i „przegrać” – w tym miejscu pojawia się mgławica. Nie mówią, jakim kosztem się ma to dokładnie stać. Czy także kosztem życia Polaków? Nie tłumaczą, skąd mają pewność. Trudno nie uznać, że obawy realistów są uzasadnione. ©

TEMAT TYGODNIA

16 OLIVIER BAULT

AFERA SMS-OWA VON DER LEYEN

Przejrzystość i praworządność
tylko dla innych?



KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

EUROPEJSKI „DRANG NACH OSTEN”

Polska wobec centralizowania UE

polemika DO RZECZY



25 PIOTR SEMKA

SZLAK VIKTORA ORBÁNA – DROGA CZY BEZDROŻA

28 ŁUKASZ WARZECHA

UCZCIWI POWINNI SIĘ BAĆ

31 ROZMOWA Z WITOLDEM GADOWSKIM

PĘKNIĘTY PORTRET POLAKA

34 ZUZANNA DĄBROWSKA

ANTYWARTOŚCI W „TĘCZOWYCH SZKOŁACH”

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK

WOLNI Z WOLNYMI

Polska książka na Tajwanie

41 JOANNA BOJAŃCZYK

REQUIEM DLA LISY MARIE

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 WOJCIECH GOŁONKA

JAKI KONIEC WOJNY NA UKRAINIE?

Rozejmowe myśli prof. Kuźniara

53 ROZMOWA Z DR. HAB. LECHEM MAŻEWSKIM

DZIEDZICTWO POWSTANIA STYCZNIOWEGO

HISTORIA

56 JACEK PAŁKIEWICZ

SZLAKIEM POLSKICH BADACZY SYBERII

Powstańcy i naukowcy



ŚWIAT

60 MACIEJ SZYMANOWSKI

KIM JEST GENERAŁ PETR PAVEL?

Idea postpolitycznej polityki

63 ROZMOWA Z PROF. MICHAŁEM LUBINĄ

KTO ZAGOSPODARUJE ROSYJSKĄ PUSTKĘ DUCHOWĄ?

66 PIOTR WŁOCZYK

KULISY ROSYJSKIEJ INWAZJI

68 MACIEJ PIECZYŃSKI

KORUPCJA W CINIENIU WOJNY

EKONOMIA

72 JACEK PRZYBYLSKI

NIE UFAJ NIKOMU

Jak się nie dać złodziejom tożsamości?

74 ŁUKASZ ZBORAŁSKI

DROGA MAGDY



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Hołownia dostaje lanie

Fala agresji słownej, jaka wylała się na Szymona Hołownię po tym, jak sprzeciwił się on tworzeniu jednej listy opozycji pod wodzą Tuska, mogła zrobić wrażenie. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na łamach „Gazety Wyborczej” i na forach internetowych były gwiazdor TVN został zdemaskowany. Nagle dowiedzieliśmy się, że Hołownia to awanturnik, „ministrant”, postać „niebudząca zaufania” lub cichy sojusznik Jarosława Kaczyńskiego. Aleksandra Sobczak, wicenaczelnia „Gazety Wyborczej”, ironicznie pisała o „świętym Szymonie”. Tomasz Lis przekreślił nazwisko lidera Polski 2050 na „Kałownia”, a inne czołowe pióro „GW”, Eliza Michalik, snuło rozważania, jaką faktycznie misję do spełnienia ma Szymon Hołownia.

To medialne bicie było tak ostre, że numer dwa w partii Hołowni – Michał Kobosko – z oburzeniem poskarżył się, że „GW” uprawia hejt i jest prawie tak samo straszna jak TVP. Gazeta z ul. Czerskiej nieco się zmytygowała i przeprosiła Hołownię za najostrzejsze ataki,

ale niegdysiejszy pieścuch salonu dostał ważną lekcję. Jeśli nie będzie znał swojego miejsca w opozycyjnym szeregu, to „Wyborcza” znowu może mu sprawić medialne lanie.

W całym tym zgiełku mało kto zwrócił uwagę, że – jak się zdaje – wyzionęła ducha koncepcja Koalicji Polskiej, którą wokół Hołowni i lidera PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza miał stworzyć jakiś mityczny obóz wyborców konserwatywnych rozczarowanych PiS. PSL obraził się na Hołownię, gdy ten zgłasował przeciw zmianom w ustawie o Sądzie Najwyższym, które mają przyspieszyć wypłacenie Polsce pieniędzy z Brukseli. Co więcej, jeden z domniemyanych uczestników takiego bloku, czyli Porozumienie odwrócił się plecami od PSL i zawiązał koalicję z Agrounią.

Tusk najwyraźniej postanowił sprawić Hołowni tęgie, medialne lanie, aby ten poważnie zastanowił się, zanim stanie kolejny raz w poprzek zamiarom wielkiego Donalda. Czy płacziwy Szymek zegnije kark i weźmie to, co jest mu gotowy dać lider PO, czy też wytrzyma w zamiarze samodzielnego startu

w wyborach? Na zdrowy rozum Hołownia tylko traci na wspólnej liście opozycji. Poważnym problemem Polski 2050 jest to, że oprócz grupy posłów – większość jej lokalnych kandydatów to „nołnejmy” – postacie nieznane z nazwiska. Wyborcza, który sięgnie po kartkę z listą zjednoczonej opozycji, szybciej zakreśli nazwisko, które coś mu mówi, niż poprze jakiegokolwiek politycznego debutanta od Hołowni, nawet jeśli ten będzie obsadzony na wysokim miejscu. Ale Marka Beylina czy Agnieszki Kublik z „Wyborczej” takie kalkulacje nie obchodzą. Dla nich ma być silna lista, bo odsunięcie PiS to dla nich jedyny priorytet.

Jak stwierdził Hołownia, wszystkie opcje są na stole i wybór formuły startu w wyborach zostanie ustalony przez władze Polski 2050 jeszcze w lutym. Jak głosi plotka z sejmowych kuluarów, Platforma naciska na Hołownię, grożąc, że jego ludzie nie zostaną dopuszczeni do paktu senackiego opozycji, a on sam stanie się obiektem ostracyzmu ze strony wszystkich opozycyjnych autorytetów. To co, Panie Szymku? Pęka Pan? © ©

NIE ŻYJE LEONARD PIETRASZAK

1 lutego 2023 r. w wieku 86 lat zmarł Leonard Pietraszak, wybitny aktor filmowy, teatralny i telewizyjny. Miliony Polaków zapamiętały jego kultowe role w „Vabanku”, a także w serialach „Czterdziestolatek” oraz „Czarne chmury”. Leonard Pietraszak zagrał w sumie w 30 filmach i serialach. W latach 1959–2012 występował również w teatrach w Łodzi, Poznaniu oraz w Warszawie. Został odznaczony Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” oraz Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. (jap) © ©



FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Wśród setdecznych przyjaciół
psy Szymona zjadły...



c e z a r y k r y s t o p a



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Z dziejów hańby i głupoty

Do tej najgrubszej księgi świata Włosi wpisują się ochoczo i oburącz. Śledząc obecnie włoskie media, można pomyśleć, że największym dylematem Italii jest to, czy prezydent Wołodymyr Zełenski może wystąpić z przesłaniem na festiwalu piosenki w San Remo. Organizatorzy (TV RAI) i dyrektor wiodzący Amadeus postanowili, że dwuminutowe orędzie zostanie wyemitowane w kulminacyjnym punkcie imprezy – podczas ogłoszenia wyników konkursu i występu laureatów 11 lutego. O lepszą promocję w Italii trudno. Festiwal jest najliczniej oglądaną imprezą telewizyjną (12–15 mln widzów), poza oczywiście najważniejszymi meczami Squadra Azzurra.

Rozpętało się piekło. Z nor wypełzły demony komunizmu, pacyfizmu i ideologicznego zacierzenia. Arcykomuch prof. Franco Cardini, wielbiciel Che i Fidela, wraz ze swymi współwyznawcami wezwali pacyfistów wszystkich krajów, by się złączyli 11 lutego w San Remo i zablokowali miasto. Dlaczego? Ich zdaniem Wołodymyr Zełenski jest podżegaczem wojennym, a dla prowojennej propagandy nie powinno być miejsca w publicznej TV. Fochy zaczęli stroić artyści. Aktor i muzyk Moni Ovadia oświadczył, że występ Zełenskiego byłby policzkiem wymierzonym Putinowi, czego naturalnie robić nie można, bo się KGB-ista obrazi i z pokojowych negocjacji będą nici. Sprzeciwił się także na szczęście były już premier Giuseppe Conte.

Naturalnie wśród protestujących nie mogło zabraknąć miłośnika Rosji, Putina i Korei Północnej Matteo Salvini, obecnie wicepremiera.

Polemiki rozlały się na cały kraj, choć problem jest wydumany i sztuczny. Zełenski wystąpił na festiwalu filmowym w Wenecji i nikomu to nie przeszkadzało. Nikt też nie protestował, gdy w San Remo gościem był Michaił Gorbaczow.

Tak czy inaczej telewizja RAI po zebraniu zarządu poinformowała, że Zełenski, owszem, wystąpi, ale pod warunkiem że przedtem jej eksperci będą mogli przesłuchać nagranie. W domyśle: w razie czego je ocenzurować. Słowem: hańba, głupota i zamordyzm. Czyli po rusku. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jakiś czas temu zapowiadaliśmy zatrzymania, które wstrząsną polską polityką. Zaczęły się w ubiegłym tygodniu od zatrzymania Rafała B. Nieco już zapominanego wiceministra w rządach PeŁo-Peezel. Od razu jednak powiedzmy, są to tylko tzw. foreshocki, czyli wstrząsy wstępne. Sprawa jest bowiem znacznie grubsza i – jak to mówią – rozwojowa. Co oznacza, że na ten właściwy shock jeszcze chwilę poczekacie.

Tak naprawdę zaczęło się trzy tygodnie wcześniej, a konkretnie 10 stycznia. Wówczas to dzielni chłopcy z CBA zawinęli panią, którą – jak się okazało – łączyło coś z bohaterem ostatnich dni, Rafałem B. Pani ta miała duże pragnienie wolności, skorzystała więc z dobrodziejstwa tzw. sześćdziesiątki. Tak w slangu prokuratorskim nazywa się artykuł, który pozwala zmniejszyć karę w zamian za bardzo szczere i bardzo obszerne zeznania. Pani okazała się wyjątkowo rozmowna i wysypała cały układ.

Uspokajamy – nie chodzi o główny układ dużych misiów (patrz: spodziewany shock powyżej), ale o układ w śmieciach. Też całkiem niezgorszy. To znaczny lewe faktury i wielokrotne zawyżanie ilości odbieranych odpadków. Z najdrobniejszymi szczegółami opowiedziała, kto komu i na dodatek gdzie i w jakiej ilości wręczał łapówki. Nam najbardziej spodobało się wręczanie łapówek w wąskich, wysokich torebkach prezentowych, takich, w jakich zazwyczaj wręcza się butelki wina.

teraz to, co najciekawsze – otóż w czasie przesłuchania padło nazwisko nie tylko Rafała B., lecz także jednego z innych byłych ministrów

w rządzie PeŁo-Peezel. A to już nie w kij dmuchał. Ten był minister to również były szef miejskiego przedsiębiorstwa oczyszczania w jednej z metropolii Polski. Sprawa związana jest z jedną, i to wcale nie największą w tym wielkim mieście, firmą śmieciową. A śledczy obecnie badają kolejne tropy, tym razem wiodące do prawdziwych gigantów największego rynku śmieciowego w naszym kraju.

Do tego, że śmieci są jednym z najlepszych biznesów mafijnych, przyzwyczyli nas liczne seriele typu „Rodzina Soprano”. Zasadniczo przeciętny obywatel jeśli nie wie, to przynajmniej podejrzewa, że na śmieciach można kręcić lody. Jednak jeśli się okaże – a wszystko na to wskazuje – że przeciętny mieszkaniec rzeczony polskiej metropolii jest wyjątkowo odpadogenny, to się zrobi grubsza sprawa. Sprawa polityczna. A wygląda właśnie na to, że mieszkańcy tego miasta w Polsce wyprodukowali

jakimś cudem więcej śmieci niż mieszkańcy takich metropolii jak Berlin czy Londyn. Tym bardziej grubo, że mieszkańcy tej naszej metropolii za odbiór śmieci płacą jak za krwawe diamenty. A to już się robi naprawdę niefajne, gdyż okazuje się, że płacili nie tylko za swoje śmieci, lecz także mogli finansować nieświadomie ciężkie łapówki dla urzędników ratusza.

Skończyła się Eine Totaloposition. Gdy tylko gruchnęła wieść o tym, że amerykański Wuj Joe przybywa do Warszawy, rozpoczął się nerwowy wyścig o to, by się z nim choć na chwilę zobaczyć (czytaj: sfotografować się z Wujem Bidenem i tym samym przekonywać w kampanii, że wspiera on walkę Dwóch Panów T. o wolność i demokrację w Polsce. Wiecie, o jakich panów T. chodzi: Tusk i Trzaskowski. Sęk w tym, że każdy z nich osobno się stara – siłami swoich ludzi – o ten zaszczyt. Więc ambasada amerykańska jest nieco zdezorientowana.

Naszym zdaniem, jeśli ktoś z Eine Totaloposition miałby już spotkać się z Wujkiem Joe, to powinien to być Radek Sknerus Sikorski. Mógłby opowiedzieć o tym, jak się robi Amerykanom las... znaczy łaskę, poopowiadać o tym, jakimi jesteśmy Murzynami, oraz o swej sympatii do afroamerykańskich stewardes, przepraszamy, steward-persons. Jesteśmy pewni, że byłoby to spotkanie pivotalne.

Natomiast musimy odnotować także pewien znany już fakt. Otóż, jak wiecie, zamiast wspólnej listy z Polską 2050 Donald Tusk – szef PeŁo – chce stworzyć wspólną listę z Rafałem Trzaskowskim – wiceprzewodniczącym PeŁo. Pewne informacje komentują się same.

Na chwilę oderwijmy się od warszawskiego grajdołka i przenieśmy się w wielki świat. Otóż były już minister od prezydenta Andrzeja Sebastiana miał jechać na ambasadora do Seulu. To już nieaktualne. Obecnie wybiera się do Pekinu. A temu szczególnie kibicuje jeden z panów G., którego córka studiowała w Chinach. Co więcej,

ów Pan G. obecnie bawi w Chinach, choć nie tych ludowych, ale tych drugich, od Czang Kaj-szeka. Czyli na Tajwanie.

Co ciekawe, polska delegacja na Tajwanie zawarła znajomość z rodziną Czang Kaj-szeka. Jak to możliwe? Otóż obecny burmistrz Tajpej, Chiang Wan-an, jest – ni mniej, ni więcej – prawnukiem generalissimusa Czang Kaj-szeka. Burmistrz Chiang Wan-an przybył odwiedzić polskie stoisko na targach książki TIBE 2023 w Tajpej, gdzie częścią delegacji jest połowa naszej wpływowej rubryki, czyli jeden z Panów G.

Informacje oficjalne w sprawie wyjazdu znajdziecie w innym miejscu tygodnika. My podamy te nieoficjalne. Chiang Wan-an to prawdopodobnie przyszły prezydent Tajwanu, gdyż dotąd zwykle stanowisko burmistrza Tajpej było przedsionkiem do prezydentury. Zatem dobre relacje dyplomatyczne jutra wykuwane są już dziś. Zawsze możecie na nas liczyć.

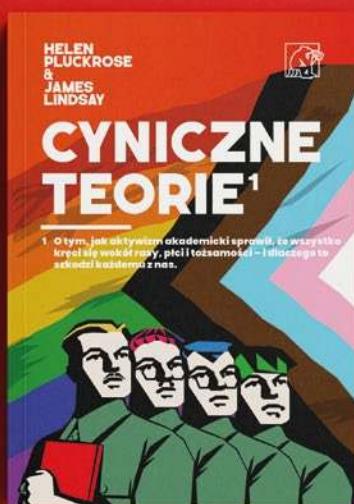
Nie oznacza to, że zaniedbujemy relacje bieżące. Polska delegacja została podjęta uroczystą kolacją w restauracji polecanej przez Michelina. Oprócz wszelakiego jada typu sea food serwowano również lokalny destylat z sorgo. Smakuje trochę jak grappa. Ministrowi kultury bardzo przyjemnie się ją spożywało z Polakami. Był też toaścik z Panem G.

Z tym ministrem kultury to w ogóle ciekawa historia. Otóż jeszcze w poniedziałek, dzień przed uroczystym otwarciem targów TIBE 2023, był on tylko wiceministrem kultury Tajwanu. I w tej roli witał Polaków. Następnego dnia był już ministrem kultury, gdyż akurat w tych dniach trwała na Tajwanie rekonstrukcja rządu. W związku z tym obowiązki służbowe nowego ministra w pierwszym dniu urzędowania obejmowały: mowę na otwarciu targów, spacer po polskim stoisku oraz kolację z Polakami oraz destylatem z sorgo. Best first day of work ever – wybaczcie nasz łamany chiński.

Zlicznych rozmów, które przeprowadził Pan G. na Tajwanie, wyłania się zaskakujący obraz. Otóż oni też mają wojnę plemion i głębokie podziały, zwane rowami. Tyle że linię wyznacza nie nienawiść do Kaczafiego, ale stosunek do Chin kontynentalnych. Młodzi, wykształceni z wielkich miast są nastawieni zdecydowanie niepodległościowo (a także antyrosyjsko), tymczasem ich rodzice wzruszają ramionami i mówią: „Cóż, najwyżej będziemy należeć do Chin”. Cóż, każdy ma swoją Eine Totalopposition. Każdy ma swoją ojczyznę, innej mieć nie będzie. Choć, jak wiecie, chłopaki z europarlamentu myślą inaczej.

Apropos – poseł Mariusz Gosek z Solidarnej Polski (nie znacie? Nie martwcie się, my do wczoraj też) chce, żeby prokuratura zbadała, czy ktoś w europarlamencie nie brał łapówek za to, żeby pluć na Polskę. Dlaczego zaraz w europarlamencie? – zapytujemy. Nie można zacząć od Sejmu? Choć w sumie racja, nie trzeba. Tam plują i bez łapówek. ©©

REKLAMA



CZY TWOJE POGLĄDY TO JUŻ MYŚŁOZBRODNIA?

książka dostępna na
wydawnictwo.wei.org.pl





ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

CO TAK MAŁO?!

Za nami kolejna edycja Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Co mają do tego gwiazdy? – zapyta ktoś. Ano mają. To przecież idealna okazja, aby się polansować i nabić zasięgi! Przy okazji uda się zebrać trochę pieniędzy, ale PR-owsko – szansa nie do przegapienia. Lekarkoinfluencerka Nicole Sochacki-Wójcicka, znana na Instagramie jako „Mama Ginekolog”, jak co roku zorganizowała swoją zbiórkę (każdy może otworzyć własną „e-skarbonkę”, przeznaczoną na WOŚP). Jednak liczba wpłacających

ten splendor? PS Zdecydowałam, że nie zrezygnuję z dyżuru na rzecz pójścia do studia WOŚP – podsumowała Nicole. Ewidencje pani Mamie-Ginekolog nie zależy na rozgłosie. Właśnie dlatego zabrała zabawki i obrażona wyszła z piaskownicy.

KOSTARYKA – WARSZAWA, WSPÓLNA SPRAWA

Co prawda, Kinga Rusin na brak rozpoznawalności nie narzeka, jednak wydaje się, że dla byłej dziennikarki TVN życiową misją stało się coś innego – obalenie rządu. Nie takie zwykłe, nie, nie. Kinga robi to na odległość, a dokładniej (w tej chwili, bo gwiazda sporo się przemieszcza) ze słonecznej Kostaryki. „Pokażmy rządowi, w roku wyborczym, jak wygląda prawdziwa mobilizacja, że nie damy się zastraszyć i zniechęcić, bo LUDZI DOBREJ WOLI JEST WIĘCEJ!” – nawoływała w dniu finału WOŚP. Rusin wykazała się niemałą hojnością, ponieważ zadeklarowała przekazanie fundacji Jerzego Owsiaka 30 tys. zł. „W czasach kryzysu i inflacji, w którą wpędziła nas nieodpowiedzialna polityka finansowa PiS, w czasach rozdawnictwa państwowych pieniędzy, których brakuje na wszystko, co ważne, ale nie brakuje na propagandę TVP, zakładane przez krewnych i znajomych fundacje »krzaki«, na giga pensje w państwowych przedsiębiorstwach, to zwykli obywatele muszą wziąć odpowiedzialność za wyposażenie służby zdrowia, żeby nie odstawała od światowych standardów, żeby zdrowiej nam się żyło w tym coraz bardziej chorym kraju” – zauważa eksdziennikarka. Rodacy doceniają poświęcenie naszej człowiekiny na Kostaryce. Wokół raj, a ona wciąż myśli o udręczonej ojczyźnie. Gracias, Kingo.

SŁONY RACHUNEK ZA SŁODYCZ

Ależ ten czas pędził! Dopiero co był Sylwester Marzeń, później WOŚP, a zaraz już Środa Popielcowa i Wielki Post. Na

szczęście mamy jeszcze kilka dni, aby sobie pofolgować, także kulinarnie. Warto sięgnąć po tradycyjne faworki. Te swojej receptury poleca Magda Gessler. „Kochani! Zapraszam was na najlepsze faworki w Warszawie, a może nawet w Polsce i na świecie? Wspaniałe, chrupiące, słodkie i wyśmienite! Idealne na świętowanie karnawału! Polecam wam bardzo gorąco” – zachęca restauratorka. Chęć na faworka może jednak szybko przejść, gdy spojrzymy na ceny. Za kilogram Magdżynych faworków zapłacimy 190 zł. Opakowanie 450 g faworków w cukierni Słodki Słony kosztuje 90 zł – donoszą serwisy plotkarskie. No cóż, nie jest tanio żyć na bogato. Po prostu nie każdy musi jeść faworki, OK?

TO NIE JEST KOMPROMITACJA

News ze świata kina. Sequele wybitnego dzieła filmowego, czyli „365 dni”, zostały nominowane do Złotych Malin – nagród dla najgorszych filmów roku. Produkcje na podstawie książek Blanki Lipińskiej otrzymały nominacje w kategorii: Najgorszy Remake/Sequel/Przeróbka oraz Najgorsza Ekranowa Para. Druga nominacja nie odnosi się do aktorów, ale do obu tytułów – zostały wydane w tym samym roku. Jeden z portali stwierdził, że Lipińska swoją twórczością „kompromituje Polskę”. Temperamentna pisarka nie pozostawiła tego afrontu bez odpowiedzi. – Kompromituje? Wiedziecie co? Bardzo lubię, gdy tytuł już sugeruje czytelnikowi, co powinien myśleć. Blanka Lipińska stworzyła film z konkretnego gatunku, a ta nagroda (czy komuś to się podoba czy nie) świadczy o zauważeniu na arenie międzynarodowej. Nie czuję kompletnie wstydu czy kompromitacji, bo niby z jakiego powodu? – pyta wzburzona w instagramowej relacji. – Moje książki są bestsellerami w ponad 100 krajach, film jest hitem na całym świecie, a ja zwiedzam kolejne kraje, spotykając się z fanami, których liczba rośnie. Więc wybaczenie, ale nie jest mi przykro – stwierdza Blanka. Grunt to dobre samopoczucie. Tak trzymać! ©©



FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

bardzo ją rozczarowała. Chwyciła więc za telefon i wylała żale. – Mam 900 tys. obserwujących, stories ogląda 200–250 tys., a wpłaciło 5 tys. osób – wyliczyła, nie kryjąc zażenowania. – Zobaczcie, że to jest oficjalna zbiórka WOŚP, ja wam nie mówię, żebyście wpłacali na jakąś zbiórkę moją czy cokolwiek. Tylko na oficjalną zbiórkę WOŚP, na e-skarbonkę. To pokazuje, że coś dziwnego się dzieje i ludzie nie chcą pomagać. Nie wiem, jak to skomentować – kontynuowała influencerka. Internauci zwrócili licznie uwagę, że podobne oburzenie jest nie na miejscu, bo liczy się wspólny cel. „Mama Ginekolog” nie widzi jednak w swojej postawie nic niewłaściwego. – Właśnie przez takie osoby jak ty odechciewa się – odpowiedziała jednej z komentujących. – Nie chcę żadnego splendoru. Świadomie nigdzie nie ma, że to zbiórka „Mamy Ginekolog” tylko zbiórka wszystkich. Powiedz mi, gdzie



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, już blisko 14 lutego, a więc homofobiczne święto tzw. walentynek czy też tzw. zakochanych, ale oczywiście zakochanych cisheteroseksualnych. Przynajmniej w przestrzeni publicznej tak to wygląda. Widzieliście jakąkolwiek reklamę czy treść walentynkową skierowaną do osób nieheteronormatywnych?

W ogóle jak miałyby być inaczej, skoro to święto, a nie świecko, i to jeszcze nazwane od imienia chrześcijańskiej osoby świętej? Kościół to pewnie by chciał, iżby walentynki były celebrowane tylko przez pary małżeńskie po ślubie, no, a jakże, kościelnym.

Zresztą jak już widzimy sposób obchodzenia walentynek przez polskich mężczyzn, to ręce opadają. Urządzili sobie oni z tego festiwal patriarchy, toksycznej męskości i samczej dominacji – w różnych proporcjach w zależności od regionu. Totalnie pozbawili wagi osoby możliwości przejmowania dominacji, inwencji, pokazywania kreatywności. I w ogóle nawet nie pytają, czy te wszystkie obchody im tak naprawdę odpowiadają czy nie.

A jak obchody wyglądają? Otóż widzieliśmy wyniki badania, iż osoby z fallusami kupują z tej okazji najczęściej kwiaty, czekoladki, biżuterię i ozdoby. Dlatego mówimy o toksycznej męskości – jest to po prostu kolejna okazja, kiedy wagi osoby są spychane na pozycję istotek, którym w głowie tylko kwiatki,

błyskotki i świecidełka. I czekoladki, bo, jak wiadomo, są słodkie.

Nikt nie wpadłby na to, że może taka wagi osoba chciałaby dostać nowy pasek rozrządu, iż stary się już zużył? Albo że zamiast czekoladki wolałaby 0,7 i wolny wieczór? Albo że bardziej niż z tych wszystkich biżuterii ucieszyłaby się ze wspólnego wyjścia na jakąś manifestację czy na co tam się teraz chodzi. Liczy-

Guy Verhofstadt usiłuje powiedzieć coś dobrego o Polakach...



ceza rzymska

my, iż w najbliższych latach będziemy świadkami dekonstrukcji nie tylko tego święta, lecz także wzorców męskości w tym kraju.

Tak w ogóle to jeśli chodzi o nietoksyczną męskość, to postępowe środowiska często wskazują jako na jej przedstawiciela na

piosenkarza Harry'ego Stylesa, który np. zakłada sukienki albo nosi szpilki. To jest pewien postęp, jeśli porównamy go do konserwatywnego Janusza w szortach z targowiska, żonobijce i kłapkach, no nie?

W sumie to zaczynamy rozumieć, iż dekonstrukcja toksycznej męskości musiałaby polegać w pierwszym rzędzie na odrzuceniu tego, jak mężczyźni wyglądają – czyli rezygnacji z zarostu, garniturów, krawatów i innych toksycznych elementów garderoby.

W zamian za to proponowalibyśmy właśnie lekkie sukienki, garsonki oraz staniki, iżby mogli się przekonać na własnym ciele, jakie to niewygodne.

To jest oczywiście etap przejściowy, iż odrzucenie toksycznej męskości nie może polegać na zerowaniu na wzorcach, które wypracowały dla siebie wagi osoby. Nie można przecież pozwolić na to, iżby mężczyźni przejęli ich elementy stroju – a w dłuższej perspektywie do tego pewnie by się to sprowadziło. Nie można też jednak pozwolić na

to, iżby mężczyźni chodzili nago – to przecież też byłoby toksyczne.

Trudna sprawa, ale pewnie to kwestia czasu, aż fani Harry'ego Stylesa i specjaliści od dekonstrukcji coś wymyślą. ☺☺



FASHYISM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Maska

Andrzej, co ty tu masz? Czy to jest maska... z gębą Putina?

Oj, Marcin, to takie tam... Nic takiego. Czasem się tak tutaj trochę z panem generałem bawimy.

Chwilę. Co ty mi chcesz powiedzieć? Może ja o tym wcale nie chcę wiedzieć?

A nie, to nie to, co myślisz. O, zobacz tutaj, za zasłonką.

Lego.

No Lego, ale zobacz, cośmy zbudowali.

To Kreml jest? A to... ty niby? Z Wołodymyrem? A ten tutaj, w tym łańcuchu, na kolanach, to jest...

No właśnie. Tak sobie tu czasem się rozluźniamy wieczorami.

Zbudowaliśmy taką makietkę z klocków, a też tę scenkę odgrywamy. Pan generał zakłada tę maskę, kłęk, o, tutaj, a ja przyjmuję hołd.

A kto robi za Wołodymyra?

Chciałem Agatę, ale ona jest za wysoka. Może ty byś spróbował? ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Za rządów PiS Polska powinna zmienić godło. Zamiast orła powinna w nim być krowa. Tak Polski nie doł jeszcze nikt”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

Polskie lasy powinny być zarządzane przez Polaków

– Unia Europejska zmierza do tego, by decyzje dotyczące leśnictwa odebrać poszczególnym państwom. Polscy leśnicy gwałtownie zaprotestowali przeciwko takim rozwiązaniom – mówi Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych

W ostatnich dniach stycznia gruchnęło w mediach, że Unia Europejska chce przejąć możliwość kierowania lasami w Polsce. Kierowane przez pana Lasy Państwowe wyraziły w tej kwestii sprzeciw. Dlaczego?

JÓZEF KUBICA: 24 stycznia odbywało się posiedzenie unijnej Komisji Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności (ENVI). Jej zadaniem było zaopiniowanie wniosków Parlamentu Europejskiego w sprawie zmiany traktatów. I zaopiniowała zmianę, wedle której leśnictwo, gospodarka leśna z kompetencji poszczególnych państw członkowskich miałyby zostać przeniesione w zakres kompetencji wspólnych. Czyli najprościej mówiąc: to nie Polska ma decydować o lasach w swoich granicach, ale zagraniczni urzędnicy z Brukseli.

Tymczasem nasz model zarządzania lasami ma ogromną tradycję. Nowoczesna polska myśl leśna zaistniała po raz pierwszy już w dobie autonomii Księstwa Warszawskiego! Wtedy powstała polska administracja leśna i zasady gospodarowania lasami, z których część pozostaje aktualna do dzisiaj. Elementem naszej tradycji są też Lasy Państwowe, które wkrótce zainaugurują jubileusz stulecia. Ten ogromny bagaż doświadczeń i przyszłość świetnie działającej organizacji stają teraz pod znakiem zapytania. Obawiamy się, że nasze wieki doświadczeń i tradycji trafią do kosza.

Skąd pewność, że kierowanie lasami z Brukseli będzie mniej efektywne niż obecnie?

Jak wygląda unijne zarządzanie lasami, mogliśmy się przekonać w Puszczy Białowieskiej. W imię przepisów unijnych zablokowano możliwość czynnej ochrony lasu. Zobaczyliśmy, że krzykliwe protesty paru pseudoekologów znakomicie rezonują w Brukseli. Skoro wtedy bardziej niż badania naukowe i opracowania profesorów zadziałały hasła z transparentów, to mamy poważne powody, by w te „efektywne kierowanie lasami z Brukseli” wątpić.

Jakie kroki podjęły Lasy Państwowe?

Błyskawiczne. Przede wszystkim już następnego dnia po haniebnym głosowaniu poinformowaliśmy opinię publiczną w Polsce o tym, jakie skutki może ono spowodować dla przyrody, gospodarki i suwerenności kraju. Kolejnego dnia odbyła się konferencja w Sejmie. Ja i rzecznik Lasów Państwowych Michał Gzowski udzieliliśmy licznych wywiadów i odpowiadaliśmy na wiele zapytań mediów. Wspierali nas w tym członkowie rządu, ministrowie Edward Siarka, pełnomocnik ds. leśnictwa i Michał Woś, który w 2020 r. kierował resortem środowiska. Mam dużą satysfakcję z tego, że dziennikarze i wydawcy z powagą potraktowali nasze ostrzeżenia, bo liczba publikacji na temat zawłaszczenia lasów przez Unię sięga kilkuset.

Na tym etapie nie mogliśmy zrobić wiele więcej. Mam nadzieję, że alarm przyniesie efekty i ten szkodliwy pomysł obumrze w zarodku. Ale gdyby tak się nie stało, będziemy walczyć o suwerenność polskich lasów, bo to przecież walka o suwerenność Polski. Gdy zawiodą rzeczowe argumenty, leśnicy są gotowi osobiście manifestować sprzeciw w Brukseli.

Pojawiły się głosy opozycji, że taka reakcja jest nadmiarowa. Że tak naprawdę nic takiego się nie stało, a głos ENVI to tylko mało znacząca opinia.

To jest tuszowanie niegodnej postawy polskich europosłów, pani Kopacz oraz panów Arłukowicza i Jarubasa. Tylko na pierwszy rzut oka może się to wydawać niegroźne, bo to „jakaś tam” opinia. Jej efektem będzie „tylko” rezolucja, która nie ma wiążącej mocy prawnej. Błąd. Na co powołuje się Komisja Europejska, która ma inicjatywę ustawodawczą? Właśnie na rezolucje Parlamentu Europejskiego! Komisja traktuje rezolucje jak wolę obywateli Europy, a tymczasem widzimy, jak daleka jest ta opinia od woli naszego 40-milionowego narodu.

Czas jest ważny. Za miesiąc, rok nikogo to nie zainteresuje, a Komisja zada zasadne pytanie: „To gdzie byliście, jak powstawała opinia?”. Właśnie teraz jest właściwy moment, by pokazać prawdziwą wolę Polaków.



Jaka jest oficjalna argumentacja Brukseli dla zmian dotyczących leśnictwa?

Oczywiście przeciwdziałanie zmianom klimatu i ochrona przyrody. Cel Unijnej Strategii na rzecz Bioróżnorodności jest ambitny – odbudowa różnorodności biologicznej Europy z korzyścią dla ludzi, klimatu i planety do 2030 r., co ma także posłużyć realizacji założeń Europejskiego Zielonego Ładu w kwestii zmniejszenia emisji gazów cieplarnianych o 55 proc. w porównaniu z rokiem 1990. Istotną rolę w osiągnięciu tych założeń mają odegrać absorbujące dwutlenek węgla lasy. Jednym z celów wpisanych do strategii jest objęcie ochroną bierną 10 proc. obszarów lądowych Unii. W przypadku Polski oznaczałoby to, że 27 proc. lasów, i to tych najstarszych, pozostawimy samym sobie. Na to się nie godzimy, mamy argumenty, że pozostawienie samym sobie lasów przyniesie zagrożenie nie tylko dla gospodarki, lecz także przyrody.

Zwolennicy tego pomysłu nie przedstawiają oceny skutków takiego rozwiązania. Nie słyszymy od nich, że w efekcie powstanie luka na rynku surowców. Nie mówią, że zapełni ją drewno z regionów, gdzie niszczy się lasy tropikalne, wożone przez pół świata, co oznacza dodatkowe emisje CO₂. Milczą o tym, że przecież zintensyfikuje się wykorzystanie innych surowców, bardziej energochłonnych.

A my mówimy wprost: w ten sposób nie powstrzymamy zmian klimatu, a je przyspieszymy. I m.in. dlatego, że chce się nam zamknąć usta, pojawiła się próba, by nas odsunąć od decydowania o lasach.

Wyobraź pan sobie sytuację, w której duża część lasów w Polsce będzie wyjęta z użytkowania? Czym to się może skończyć?

Ja, panie redaktorze, niestety nie muszę już używać wyobraźni. Wystarczyły mi wizyty właśnie w Puszczy Białowiejskiej, w lesie, który pielęgnowały poko-

lenia leśników i miejscowej ludności, a który teraz, w efekcie brukselskiej ingerencji, wygląda niczym cmentarzysko martwych drzew. To dla leśnika, a także Polaka z krwi i kości bardzo bolesne wizyty. Czy chcemy teraz, by w takie nekropole zamieniły się lasy, do których chodzimy na grzyby? Czy zależy nam na tym, by spadające martwe drzewa zagrażały bezpieczeństwu naszych dzieci? Aby tak jak Puszcza Białowiejska wyglądała podwarszawska Puszcza Kampinoska czy lasy okalające Toruń, Gdańsk i inne miasta?

Podczas konferencji w Sejmie zwracali państwo uwagę, że lasy mogą być potraktowane instrumentalnie.

Bo to prawda. Lasy to jedna trzecia Polski i to tyle, co trzy Belgie. Jestem pewien, że są osoby i grupy interesów, które widzą w tym tereny inwestycyjne. Patrzą nie na piękną przyrodę, a na to, co kryje się w głębi ziemi. Nawet jeśli nie chcą same osiągać korzyści z wydobywania kopalin, to mogą chcieć zablokować taką możliwość Polakom. Byśmy uzależniali się od importowanych surowców.

Cała ta sprawa może być więc postrzegana jako ubezwłasnowolnienie naszego kraju.

Bo tak jest w istocie. Sukcesywne i stopniowe oddawanie narodowych kompetencji w ręce Brukseli. Obowiązkiem leśników jest alarmowanie, gdy ten niebezpieczny proces dotyka naszej dziedziny.



Decyzje UE doprowadziły do katastrofalnego zamierania Puszczy Białowiejskiej. Czy chcemy powtórki na skalę ogólnopolską?

Marek Matecki/CiLP





FOT. PAVEŁ MURZYN/FAST NEWS

„JĘZOR MROZU” NAD POLSKĄ, A W ZĘBIE GÓRALSKA FORMUŁA 1

W podhalańskim Zębie, rodzinnej wiosce Kamila Stocha, pod koniec stycznia odbyły się doroczne „kumoterki”. Tradycyjne zawody rozpoczęła parada gązdów w najróżniejszych zaprzęgach konnych, a następnie na ośnieżonym torze rozpoczęto wyścigi na czas, zwane również góralską Formułą 1, w kilku kategoriach: kumoterki, skiring oraz ski-skiring.

Okazji do zimowych zabaw ma być jeszcze wiele, bo zdaniem meteorologów nad Polskę spłynie „jęzor mrozu”, co oznacza, że w wielu regionach temperatury spadną do zera lub poniżej zera i zacznie sypać śnieg. Ma być również więcej słońca.

W niektórych miejscach kraju powrót zimy już w ubiegłym tygodniu sprawił, że zrobiło się bardzo niebezpiecznie. W Tatrach, gdzie miejscami spadło nawet 70–80 cm śniegu, TOPR ogłosił czwarty, wysoki stopień zagrożenia lawinowego. Tatrzański Park Narodowy do odwołania wstrzymał więc w piątek sprzedaż biletów na szlaki.

(jap) © ©

Afera SMS-owa von der Leyen



Olivier Bault

Nie wiemy, jak szefowa Komisji Europejskiej negocjowała zakup szczepionki na COVID-19 i dlaczego zamówiono jej tak dużo. Wiemy jedynie, że zapewne nie spadnie jej włos z głowy, tak jak poprzednikom zamieszanym w wiele innych afer



Sprawa zakupu szczepionek na COVID-19 wraca jak bumerang i ponownie uderza w Komisję Europejską. Tym razem nie, jak w pierwszej połowie 2021 r., z powodu problemów z zaopatrzeniem całej Unii, którym miała zarządzać Komisja, ale z powodu ogromnej nadpodaży szczepionek mRNA koncernu Pfizer i marnotrawstwa związanego z wyrzucaniem do kosza preparatów wartych miliardy euro.

Ale to nie wszystko. Od kilku miesięcy nad głową samej przewodniczącej Komisji, Niemki Ursuli von der Leyen, zbierają się czarne chmury. Po tym, jak Prokuratura Europejska poinformowała w lakonicznym komunikacie opublikowanym w połowie października o wszczęciu śledztwa w sprawie zakupu szczepionek, specjalna komisja Parlamentu Europejskiego ds. pandemii COVID-19 chciałaby teraz przesłuchać przewodniczącą Komisji Europejskiej, aby zadać jej pytania na temat „wstępnych negocjacji” gigantycznej umowy podpisanej z amerykańskim koncernem farmaceutycznym Pfizer i jego niemieckim partnerem, firmą BioNTech.

To, czy szefowa Komisji odpowie na zaproszenie przewodniczącej komisji parlamentarnej, belgijskiej europosłanki Kathleen Van Brempt, nie było jeszcze jasne pod koniec stycznia. Dyrektor generalny firmy Pfizer Albert Bourla, inna kluczowa postać w tej aferze, już dwa razy odmówił stawienia się przed komisją parlamentarną i jedyną konsekwencją tego postępowania, poniekąd także związaną z toczącą się aferą korupcyjną w Parlamencie Europejskim zwaną Kartagate, może być w niedługiej przyszłości zakaz wstępu do europarlamentu dla przedstawicieli jego koncernu.

ZAGINIONE SMS-Y

W przypadku von der Leyen chodzi o sposób, w który negocjowała wiosną 2021 r. wstępne warunki umowy na zakup 1,8 mld dawek amerykańsko-niemieckiej szczepionki Pfizer-BioNTech. Na mocy tej umowy koncern Pfizer stał się głównym dostawcą szczepionek przeciw COVID-19 dla wszystkich krajów UE.

Chodzi o brak przejrzystości w fazie wstępnych negocjacji umowy pomiędzy szefową Komisji Europejskiej a dyrektorem generalnym Pfizer, Albertem

Bourlą. Porozumiewali się bowiem SMS-ami, a Komisja odmawia ich ujawnienia, twierdząc, że nie zostały one zachowane, gdyż nie są to dokumenty, do których archiwizacji Komisja jest zobowiązana. Tymczasem to właśnie wstępne negocjacje umowy mogły mieć rozstrzygający wpływ na treść gigantycznego kontraktu (wartego ok. 30 mld euro w przypadku pełnej jego realizacji) podpisanego w maju 2021 r. Dla wszystkich innych umów zakupu szczepionek, które zostały podpisane w latach 2020 i 2021, wstępne rozmowy prowadził zespół składający się z przedstawicieli Komisji oraz siedmiu państw członkowskich. Ustalenia w ten sposób poczynione z producentem danej szczepionki były następnie przedstawione do zatwierdzenia Radzie Sterującej wspólnego mechanizmu zakupu szczepionek, w której zasiadają przedstawiciele wszystkich 27 krajów członkowskich. Z ramienia Polski w Radzie tej zasiada prezes Urzędu Rejestracji

Specjalna komisja Parlamentu Europejskiego chciałaby przesłuchać przewodniczącą Komisji Europejskiej

Produktów Leczniczych. W przypadku największego kontraktu jednak, jeśli wierzyć raportowi opublikowanemu we wrześniu 2022 r. przez Europejski Trybunał Obrachunkowy, von der Leyen prowadziła wstępne negocjacje jednoosobowo z dyrektorem generalnym koncernu Pfizer telefonicznie oraz wymieniając wiadomości tekstowe, a wyniki tych rozmów zaprezentowała Radzie Sterującej w kwietniu tego samego roku.

Audytorzy unijni zwrócili w swoim raporcie uwagę na brak współpracy Komisji z rzeczniką praw obywatelskich UE Emily O'Reilly, gdy ta, we wrześniu 2021 r., wszczęła dochodzenie w sprawie odmowy dostępu do informacji publicznej – czyli właśnie odmowy ujawnienia wiadomości tekstowych przesyłanych pomiędzy telefonami szefowej Komisji i dyrektora generalnego koncernu Pfizer. Wiadomości, do których sama zainteresowana przyznała się w kwietniu

■ 2021 r., eksponując swoją osobistą rolę w zabezpieczeniu dostaw szczepionek na COVID-19, na łamach amerykańskiego dziennika „New York Times”.

W taki oto sposób Komisja Europejska zobowiązała się w imieniu 27 rządów krajowych zakupić w latach 2022–2023 aż 900 mln dawek szczepionki mRNA Cominarty, z opcją zakupu dodatkowych 900 mln dawek. „Jest to największy kontrakt na szczepionkę COVID-19 podpisany przez Komisję i zdominuje on portfel szczepionek UE do końca 2023 r.” – napisał w swoim raporcie Europejski Trybunał Obrachunkowy, który podkreślił pominięcie etapu opiniowania zaproponowanej umowy przez ekspertów naukowych. „W połowie marca 2021 r. Rada Sterująca zgodziła się zaplanować spotkanie z unijnymi i krajowymi doradcami naukowymi w sprawie naukowych aspektów strategii szczepień na 2022 r.” – można przeczytać w raporcie. Dodano jednak, że „takie spotkanie nigdy się nie odbyło”.

W dalszej części tego samego raportu członkowie organu nadzorującego budżet UE piszą: „Trybunał zwrócił się do Komisji o przedstawienie informacji na temat negocjacji wstępnych dotyczących tej umowy (na temat ekspertów naukowych, których opinii zasięgnięto, otrzymanych porad, harmonogramu rozmów, zapisów dyskusji oraz szczegółowych danych na temat uzgodnionych warunków). Nie otrzymał jednak żadnych tych informacji. Ponadto europejska rzecznik praw obywatelskich otwierała 16 września 2021 r. sprawę dotyczącą innej kwestii związanej z tą umową – odmowy Komisji Europejskiej udzielenia publicznego dostępu do wiadomości tekstowych z korespondencji między przewodniczącą Komisji i dyrektorem generalnym Pfizera w toku negocjacji wstępnych. W sprawozdaniu z 26 stycznia 2022 r. rzecznik stwierdziła, że rozpatrując ten wniosek o dostęp do informacji, Komisja dopuściła się niewłaściwego administrowania. W sprawozdaniu rzecznik zalecono, by Komisja ponownie odszukała stosowne wiadomości tekstowe i oceniła, czy można upublicznić je zgodnie z rozporządzeniem (WE) nr 1049/2001”.

Na korzyść przewodniczącej Komisji Europejskiej wypada przypomnieć, że negocjacje z amerykańskim koncernem farmaceutycznym odbywały się w cza-

Ursula von der Leyen wynegocjowała na zasadzie „bierz albo płać” umowę na minimum 900 mln dawek szczepionki

sie, gdy brytyjsko-szwedzki koncern AstraZeneca mocno redukował liczby zapowiadanych dostaw dla Unii Europejskiej z powodu problemów z ich produkcją, a cała Unia pozostawała daleko w tyle za Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią czy Izraelem, jeśli chodzi o dystrybucję i podawanie szczepionek.

Na niekorzyść pani von der Leyen przemawia natomiast kilka innych okoliczności.

900 MLN DAWEK

Po pierwsze, Niemka Ursula von der Leyen wynegocjowała na zasadzie „bierz albo płać” umowę na minimum 900 mln dawek na lata 2022–2023, czyli na okres, kiedy można było się spodziewać, że popyt na te budzące u wielu wątpliwości preparaty będzie malał. Był to zakup dla grupy krajów liczących razem niecałe 450 mln mieszkańców, z których część albo już wówczas nie chciała się zaszczepić przeciw tej niegroźnej dla większości populacji chorobie, albo po przyjęciu pierwszych dawek nie zamierzała aplikować sobie kolejnych dawek „przypominających” co kilka miesięcy. Trzeba było wielu miesięcy nacisków ze strony rządów 27 krajów, aby Komisja podjęła się negocjacji w sprawie redukcji dostaw, która to redukcja miała jednak skutkować – wedle informacji pojawiających się w mediach pod koniec stycznia tego roku – wzrostem ceny jednostkowej szczepionki płaconej grupie Pfizer-BioNTech z 15,50 euro do 19,50 euro (choć początkowa cena tego preparatu była i tak wyższa od ceny pozostałych szczepionek na COVID-19 produkowanych już w czasie podpisania kontraktu).

Do tej pory umowy z Pfizerem są dostępne tylko w wersjach, na których nie wszystkie zapisy są widoczne i gdzie widnieją tylko niektóre ważne informacje, takie jak cena i przeniesienie na kupującego odpowiedzialności za skutki

niepożądane szczepionki. „Nigdy nie udało nam się uzyskać informacji na temat miejsc produkcji czy harmonogramów dostaw” – powiedziała portalowi Euractiv francuska europosłanka Véronique Trillet-Lenoir (Renew).

Z kolei przewodnicząca specjalnej komisji europarlamentu Kathleen Van Brempt pisała na Twitterze: „Musimy wiedzieć, dlaczego największy kontrakt jest najmniej przejrzysty. Musimy zrozumieć, dlaczego UE jest zobowiązana do zakupu 1,8 mld szczepionek Pfizer/BioNTech bez względu na zapotrzebowanie i niezależnie od tego, czy na rynek wejdą nowi, lepsi gracze” – postulowała. I dodała: „Wiele umów unijnych zastrzegło »prawo« do zakupu, ale w przypadku umowy z Pfizerem mamy »obowiązek« zakupu. Dlaczego w przypadku umowy wielokrotnie przekraczającej nasze potrzeby odstąpiliśmy od normalnej procedury na okres, w którym wszyscy będą już zaszczepieni (lata 2022 i 2023)?”.

Warto jeszcze dodać, że – jak przyznała przedstawicielka koncernu Pfizer, prezes ds. międzynarodowych rynków rozwiniętych Janine Small, która stawiała się w październiku ubiegłego roku przed specjalną komisją Parlamentu Europejskiego w zastępstwie swojego szefa, Alberta Bourli – przed wprowadzeniem na rynek szczepionka nie była testowana pod kątem zatrzymania transmisji wirusa. Fakt ten w jaskrawy sposób podważa sens zamawiania za kilkanaście czy kilkadziesiąt miliardów euro takiej liczby szczepionek, która miała pozwolić na zaszczepienie przeciw COVID-19 całej populacji Unii Europejskiej, a nie tylko osób należących do grup najbardziej narażonych na ciężką formę tej choroby.

WPŁYW LOBBYSTÓW

Dwa raporty opublikowane 18 stycznia przez dwie organizacje pozarządowe – Global Health Advocates z Francji oraz STOPAIDS z Wielkiej Brytanii – zdają się potwierdzać nadmierny wpływ lobbystów z wielkich koncernów farmaceutycznych na instytucje europejskie. Sytuacja ta wychodzi na jaw przy okazji tzw. Katargate – afery związanej z ujawnieniem po śledztwie belgijskich służb działalności korupcyjnej dwóch państw – Kataru i Maroka – w Parlamencie Europejskim. Skandal w pewnym



zakresie dotyka też Komisji Europejskiej, gdyż komisarz ds. migracji, spraw wewnętrznych i obywatelstwa za poprzedniej kadencji Komisji kierowanej przez Jeana-Claude'a Junckera, Grek Dimitris Awramopoulos, zarobił 60 tys. euro w charakterze członka „honorowego zarządu” organizacji Fight Impunity utworzonej przez głównego oskarżonego w Katar-gate – byłego włoskiego europosła Piera Antonia Panzeriego. Według dotychczasowych ustaleń śledczych organizacja ta znajdowała się w samym środku siatki korupcyjnej. Jak ustalił włoski dziennik „La Stampa”, Awramopoulos jako przedstawiciel tej organizacji spotykał się tuż przed świętami Bożego Narodzenia z wieloma ważnymi członkami Komisji von der Leyen w trakcie dwuletniego okresu następującego po jego własnym odejściu z Komisji Europejskiej. Był to okres, podczas którego, wedle obowiązujących zasad, takie kontakty nie powinny mieć w ogóle miejsca. Chodzi m.in. o spotkania z wiceprzewodzącymi Komisji Fransem Timmermansem (który w Komisji Junckera odpowiadał za kwestie praworządności, a obecnie zajmuje się walką UE z globalnym ociepleniem), Marosem Šefčovičem (odpowiedzialnym za stosunki międzyinstytucjonalne) i Věrou Jourovou (odpowiedzialną za „wartości” i „przejrzystość”), a także z Johannesem Hahnem, komisarzem ds. budżetu i administracji, który zasłynął propozycją

drastycznych cięć w funduszach unijnych dla Węgier w związku z rzekomymi obawami Brukseli co do standardów demokratycznych, korupcji, praw LGBT i kwestii migracyjnych w tym kraju za rządów Viktora Orbána.

NGO Fight Impunity nie była wpisana do tzw. rejestru służącego przejrzystości, czyli do bazy danych zawierającej „informacje na temat organizacji, które próbują wpływać na proces wdrażania i kształtowania polityki przez instytucje”. To kolejny powód, dla którego członkowie Komisji von der Leyen nie powinni byli zgodzić się na spotkania z Awramopu-losem w charakterze członka zarządu Fight Impunity, gdyby przestrzegali w kontaktach z lobbystami zasad przejrzystości i praworządności teoretycznie obowiązujących w instytucjach unijnych, którymi pouczają tak często demokratycznie wybrane rządy niektórych krajów członkowskich.

Global Health Advocates i STOPAIDS zwracają w swoich styczniowych raportach uwagę na ukrywanie w upublicznionych umowach z concernami tego sektora większości najważniejszych informacji. „Wśród trzech analizowanych umów umowa z Pfizerem zawierała największą proporcję ukrytych fragmentów. Jest to zgodne z wcześniejszą analizą, w której stwierdzono, że firma Pfizer wykorzystywała swoje wpływy w celu uzyskania znaczących ustępstw od

rządów i Komisji Europejskiej” – czytamy w ich wnioskach.

Komisja Europejska jest szczególnie krytykowana za to, że nawet po podpisaniu umów odmawia dostępu do informacji dotyczącej ich treści i przebiegu negocjacji. Sprawa ta trafiła do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości po złożeniu pozwu w październiku 2021 r. przez kilku europosłów grupy Zielonych. Główny zarzut dotyczy tego, że zamawiając nadmierną liczbę dawek, Unia Europejska odcięła dostęp biedniejszym krajom świata do dostaw szczepionek dla tej części swojej populacji, która była narażona na ciężką formę choroby, pogłębiając w ten sposób nierówności między krajami. „Prywatne interesy wywierały nadmierny wpływ na europejskich decydentów podczas pandemii COVID-19, co skutkowało jaskrawym brakiem przejrzystości w zakresie finansowanych ze środków publicznych kontraktów na szczepionki” – powiedział Rowan Dunn, koordynator ds. UE w Global Health Advocates, po upublicznieniu raportów.

KTO RZĄDZIŁ KOMISJĄ

Czy doniesienia te powinnismy nas jednak dziwić, skoro rządy 27 krajów i Parlament Europejski postanowiły w 2019 r. powierzyć stery Komisji Europejskiej osobie wcześniej oskarżanej o nieprzestrzeganie procedur i zasad prowadzenia przetargów w niemieckim ministerstwie obrony?

Resort obrony, którym Ursula von der Leyen kierowała w latach 2013–2019, zawierał lukratywne kontrakty warte setek milionów euro z firmami doradczymi bez przetargów i z pogwałceniem reguł. Jesienią 2018 r., po przecieku do mediów raportu niemieckiego federalnego trybunału obrachunkowego w tej sprawie, wybuchł skandal. Jednak objęcie funkcji przewodniczącej Komisji Europejskiej uchroniło von der Leyen przed dalszymi działaniami specjalnej komisji śledczej powołanej w niemieckim parlamencie. „Rozmowy z członkami komisji śledczej, zeznania świadków i dokumenty uzyskane przez POLITICO sugerują, że zewnątrzni konsultanci mogli uzyskać coraz większy wpływ na wewnętrzne funkcjonowanie ministerstwa obrony w ciągu pięciu i pół roku, kiedy von der Leyen stała na jego czele. [...] [Trybunał Obrachunkowy –

■ przyp. red.], który monitoruje przepływy pieniężne niemieckiego rządu, opisał dziesiątki nieprawidłowości w zatrudnianiu zewnętrznych konsultantów przez ministerstwo obrony von der Leyen. [...] Główna krytyka audytorów nie dotyczyła tego, że ministerstwo płaciło za ekspertyzy zewnętrzne – co zdaniem ekspertów ds. bezpieczeństwa jest potrzebne, szczególnie w przypadku stosowania nowych technologii cyfrowych. Chodziło raczej o sposób przyznawania kontraktów” – pisał o tej aferze portal Politico 15 lipca 2019 r., dwa tygodnie po zaakceptowaniu kandydatury Ursuli von der Leyen przez szefów rządów i państw Unii oraz dzień przed głosowaniem nad jej kandydaturą w Parlamencie Europejskim.

Fakt, że tę ważną funkcję powierzono takiej właśnie osobie, nie powinien dziwić, gdy przyjrzymy się postępowaniu jej poprzedników oraz niektórych innych komisarzy europejskich, i to nie tylko w związku z obecną aferą Katargate.

Na przykład bezpośredni poprzednik von der Leyen, Jean-Claude Juncker, został powołany na to stanowisko w 2014 r. pomimo afery „LuxLeaks”, związanej z ujawnieniem tajnych porozumień podatkowych z ponad 300 międzynarodowymi korporacjami, zawieranych za czasów, kiedy był premierem Luksemburga (w latach 1995–2013). Porozumienia te miały przyciągnąć do Wielkiego Księstwa wielkie firmy kosztem zwykłych podatników, wbrew unijnej zasadzie uczciwej konkurencji. Z tego powodu liderzy tacy jak Brytyjczyk David Cameron czy Węgier Viktor Orbán byli przeciwni jego kandydaturze, choć w końcu ustąpili pod presją pozostałych liderów państw Unii.

Przed Junckerem, w latach 2004–2014, na czele Komisji Europejskiej stał były premier Portugalii, José Manuel Barroso. W 2005 r. „Die Welt” doniósł, że Barroso spędził tydzień na jachcie greckiego miliardera żegluga morskiej Spiro Latsisa. Było to miesiąc przed tym, jak Komisja zatwierdziła 10 mln euro greckiej pomocy państwowej dla firmy żeglugaowej tego biznesmena.

W 2016 r. Barroso wzbudził ogromne kontrowersje, gdy został prezesem i doradcą w Goldman Sachs International. Było to zaledwie półtora roku po zakończeniu jego drugiej kadencji szefa Komisji Europejskiej.

Wspomnijmy, że afery korupcyjne raz doprowadziły do zbiorowej dymisji Komisji Europejskiej pod przewodnictwem innego byłego premiera z Luksemburga, Jacques’a Santera, w 1999 r.

Stosunek całej Komisji do kwestii praworządności we własnym gronie najlepiej ilustrowała sprawa powołania szefa sztabu Jeana-Claude’a Junckera, Niemca Martina Selmayra, na stanowisko sekretarza generalnego Komisji w lutym 2018 r., choć nie spełniał on warunków, aby pełnić taką funkcję (nie miał doświadczenia pracy na wystarczająco wysokim szczeblu). Sam Parlament Europejski stwierdził w rezolucji z grudnia 2018 r., potwierdzając opinię unijnego rzecznika praw obywatelskich, że „Komisja nie przestrzegała zasad przejrzystości, etyki i praworządności w procedurze, którą zastosowała, aby mianować Martina Selmayra swoim no-

Von der Leyen zapewne nie będzie miała trudności ze znalezieniem dobrze płatnej posady po odejściu z Komisji

wym sekretarzem generalnym”. Europosłowie wezwali Selmayra do rezygnacji ze stanowiska oraz Komisję Europejską do przeprowadzenia nowej procedury mianowania jej sekretarza generalnego. Komisja nigdy nie zastosowała się do tego wezwania, a Selmayr zrezygnował ze stanowiska dopiero po powołaniu von der Leyen na przewodniczącą Komisji Europejskiej.

Inną sprawą, na którą kilka lat po oburzeniu wywołanym postępowaniem José Manuela Barroso ponownie zwraca uwagę wybuch afery Katargate, jest kwestia zatrudniania komisarzy europejskich, świeżo po zakończeniu ich kadencji, przez firmy lobbujące w Brukseli. Teoretycznie obowiązuje dwuletni okres, podczas którego były komisarz musi uzyskać zgodę Komisji Europejskiej na podejmowanie pracy w takiej firmie i podczas którego ma zakaz kontaktowania się z urzędującymi komisarzami. Jak pokazuje doświadczenie, zgoda taka jest udzielana prawie automatycznie, a zakaz

lobbowania przez dwa lata po ustaniu kadencji nie zawsze jest przestrzegany przez byłego komisarza i przez obecnych członków Komisji Europejskiej.

W lipcu ubiegłego roku mieliśmy do czynienia z aferą „UberLeaks”. Brytyjska gazeta „The Guardian” ujawniła, że była wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Neelie Kroes z Holandii (pracowała w obu Komisjach Barroso od 2004 do 2014 r., najpierw jako komisarz ds. konkurencji, a następnie jako komisarz ds. agendy cyfrowej), promując obecność na rynku unijnym takich firm jak Uber, została w 2015 r. zatrudniona przez tę właśnie amerykańską korporację. „Uber uważał swoje relacje z Kroes za tak wartościowe, że czołowy europejski lobbysta firmy wielokrotnie instruował kolegów, by trzymali je w ukryciu, ostrzegając w 2015 r., że są one »wysoce poufne i nie powinny być omawiane poza tą grupą«” – pisał „Guardian”.

Z kolei były wysoki urzędnik unijny – Niemiec Günther Oettinger – który jako komisarz ds. gospodarki cyfrowej i społeczeństw, a następnie ds. budżetu i zasobów był jednym z głównych atakujących Polskę i Węgry za rzekomy brak wolności mediów i praworządności, był znany w Komisji Junckera z tego, że więcej czasu spędzał na spotkaniach z lobbystami niż z kolegami z Komisji. Opisał to portal Politico w kwietniu ubiegłego roku w artykule poświęconym intratnym zleceniom, które komisarz otrzymuje teraz dla swojej firmy konsultingowej od koncernów, z którymi miał wcześniej do czynienia. Na częste spotkania komisarza Oettingera z lobbystami zwracała uwagę już w 2015 r. organizacja Transparency International, ale nie wywołało to wówczas żadnej reakcji ze strony Komisji Europejskiej.

Zapewne i pani Ursula von der Leyen nie będzie miała trudności ze znalezieniem dobrze płatnej posady po swoim odejściu z Komisji Europejskiej. Czemu nie miałyby znaleźć dla siebie miejsca w sektorze farmaceutycznym na przykład? Taka firma jak Pfizer wiele jej zawdzięcza. Ile dokładnie, tego nie wiemy, ponieważ wciąż nie znamy treści wiadomości tekstowych wymienianych w marcu 2021 r. między przewodniczącą Komisji Europejskiej a dyrektorem generalnym Pfizera.



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Won!

W książce „The coming of neofeudalism” Joel Kotkin wskazuje, jako na swoisty moment założycielski współczesnej lewicy, jedną z demonstracji ruchu Occupy Wall Street. Tłumy „okupantów” skandowały hasła wrogie kapitalistom, przepychając się z broniącą kapitalizmu policją, aż nagle prowodyr zamieszania oznajmił przez megafon, że przyszła straszna wiadomość: umarł Steve Jobs i trzeba, żeby wszyscy tu obecni uczcili jego pamięć minutą ciszy. Co się stało i w jednej chwili manifestacja nienawiści do kapitalistów zamieniła się w manifestację żałoby po jednym z największych i najbogatszych kapitalistów swoich czasów.

Rzecz w tym, że Jobs, Gates, Page i Brin czy Zuckerberg, młodzi (wtedy) miliarderzy, którzy swe miliardy wyczarowali, nie budując fabryk i nie zatrudniając robotników, obiecujący „czynić dobro” (oficjalna dewiza Google), zostali przez lewicę uznani za swoich. I w istocie, sypali hojnie kasą na lewicowe organizacje. Tak że w efekcie to nie oni okazali się ludźmi lewicy, tylko lewica ich ludźmi. Dwanaście lat po opisanej przez Kotkina manifestacji nikt już nie chce okupować Wall Street, obciążać miliarderów podatkiem Tobina, chronić środowiska (pomnażając miliarderom ich miliardy) ani walczyć z wyzyskiem. Na topie są trzecie ubikacje, LGBTQIA oraz „kobiety z peniselem”.

Tymczasem koncerny informatyczne weszły w nowy etap maksymalizowania zysków i zaczęły „restrukturyzację”. Od początku roku zwolniły już 70 tys. pracowników, w tym Google – 12 tys., Microsoft – 10 tys., a Amazon – 18 tys. Rzecz nawet nie w tym, że zwalniają, ale jak. W Google jednego poranka 12 tys. ludzi, często służących firmie od 20 lat, zorientowało się, że nie mogą się zalogować do systemu, a ich karty i telefony nie działają. W trosce o bezpieczeństwo firmy nie dano im nawet kwadransa na spakowanie rzeczy w karton. I żadnych sentymentów, że ktoś tam jest chory albo w ciąży, albo co. Won!

No i co? No i nic właśnie. O tym przecież piszę. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Czego przypilnuje Nitras?

Gazeta Wyborcza” uznała, że kwestionowanie wyników wyborów to przejaw faszyzmu. Jeśli tak – to w wypadku Platformy Obywatelskiej mamy do czynienia z faszyzmem bardzo zaawansowanym. Donald Tusk nie czeka do wyborów z podważaniem ich rezultatu, ale ten wynik, na wszelki wypadek, podaje w wątpliwość już dziś. Swoich zwolenników starannie do tego przygotowuje. Przeszło rok temu, w książce pod nieprzypadkowym tytułem „Wybór”, zapowiedział, że wybory „mogą być fałszowane” albo nawet „ich w ogóle nie będzie”. Teraz znowu ogłosił światu, że w Polsce istnieje „zagrożenie fałszerstwami wyborczymi”, i na

dowód realności tego zagrożenia powołał komórkę, która ma temu zapobiec. Nie chodzi przy tym o normalne procedury kontrolne, o udział w komisjach wyborczych, bo tego ogłaszać nie trzeba.

Donald Tusk naiwnym społecznikiem nie jest. Powołanie komórki Sławomira Nitrasa, wybitnego specjalisty w dziedzinie parlamentarnych i nieparlamentarnych awantur, to znaczący akt polityczny. Zawierając, owszem, aktualną insynuację, ale mający sens nie tylko doraźny. Chodzi przede wszystkim o przygotowanie „ulicy i zagranicy” pretekstów do zakwestionowania wyniku wyborów w Polsce, jeśli opozycja je przegra. Już w czasie

awantur aborcyjnych Parlament Europejski pokazał, że potrafi wesprzeć uliczną rebelię, nie oglądając się ani na ćwierćwiekowe orzecznictwo konstytucyjne, ani na covidową kwarantannę, ani na jakąkolwiek legalność. Nie ma wątpliwości, że chętnie to zrobi raz jeszcze. Przecież obiecał – ustami Estebana Gonzáleza Ponsa, szefa swej misji obserwacyjnej w Polsce – że spróbuje „pomóc polskiemu społeczeństwu zmienić władzę”.

Donald Tusk zaś zapewnia, że Nitras przypilnuje. Przypilnuje, bo na tym się zna. Przypilnuje, żeby nie było spokoju w Polsce i żeby nie dano spokoju Polsce. ©©



Europejski „Drang



Rafał A. Ziemkiewicz

Unia ma się zmienić w Niemieckie Państwo Europejskie, stanowiące śmiertelne zagrożenie dla Polski. Dostaliśmy właśnie kolejny sygnał, że ten plan będzie forsowany. Nie chcemy tego dostrzec, a na przebudzenie jest coraz mniej czasu

Wspólna deklaracja, wydana w ostatnich dniach przez rządy Niemiec i Francji, po raz kolejny potwierdziła, że bez względu na wszystko nie ma mowy o porzuceniu dogmatu „stałego pogłębiania integracji europejskiej”. Nie tylko w tych dwóch krajach, ale w ogóle w elitach rządzących Europą nie maleje determinacja, by obecnie istniejącą Unię – porozumienie suwerennych państw, które zobowią-

zały się do prowadzenia w określonych obszarach wspólnej polityki i powołały w tym celu wspólne instytucje, obdarzone określonymi traktatowo kompetencjami – zastąpić scentralizowanym państwem europejskim.

Zwolennicy tej operacji, przedstawiający ją (jak zresztą wszystkie niemal głupie pomysły w dziejach Zachodu) jako „historyczną konieczność” i argumentem tym unieważniający wszystkie przemawiające przeciwko „konieczności” argumenty, używają tu chętnie określenia „Stany Zjednoczone Europy”. Jest to jednak zabieg czysto PR-owski, w istocie budowla wznoszona pracowicie przez Scholza, Macrona, von der Leyen i innych opiera się na zupełnie innych założeniach niż te swego czasu wprowadzone w życie przez amerykańskich kolonistów – ma to bowiem być państwo socjalistyczne, o ogromnych kompetencjach, dokonujące na szeroką skalę redystrybucji pomiędzy prowincjami i regulujące aż do drobnych szczegółów praktycznie wszystkie dziedziny życia. Chociaż więc

przyjęło się nazywać starania „starej Unii” planem „federalizacji Europy”, to stosowniejsze byłoby mówienie o dążeniu do jej scentralizowania.

PRZECIW OBYWATELOM

Na przeszkodzie „konieczności” stoją jednak podpisane swego czasu unijne traktaty, a z kolei na przeszkodzie wprowadzeniu w nich zmian legitymizujących jednolite europaństwo – fakt, że zmian tych nie chce zdecydowana większość obywateli państw europejskich. Próby uzyskania dla „konstytucji europejskiej” demokratycznej legitymizacji skończyły się fiaskiem. Klęska w referendum w Irlandii, we Francji i w Holandii nie skłoniła jednak nikogo do zaniechania „zacieśniania integracji” ani nawet do stwierdzenia, że droga do niej wieść powinna nie przez odgórne intrygi, ale przez pracę nad przekonaniem do rodzących się w kręgach władzy pomysłów europejskich społeczeństw.

Warto zwrócić uwagę, jak śródowiska, na pokaz szermujące retoryką



postępową i frazesami o równości, przy realizacji „historycznej konieczności” wykazują się istic XIX-wiecznym pateralizmem, niczym nieróżniącym się od idei głoszonych na niesławnej konferencji berlińskiej 1884, uzasadniających kolonizację Afryki i innych kontynentów. Grupa oświeconych, stojących ponad zdolnościami postrzegania ludzkiego pogłowia wyższych urzędników z krajów „starej Unii” uważa się za powołaną do tego, by w ten czy inny sposób, sprytem, podstępem, propagandą, szantażem lub przemocą narzucić krajom europejskim wykoncypowaną przez siebie, jedynie słuszną wizję rozwoju; kiedy już się ją narzuci, poddani sami przekonają się, że tak właśnie należało. Trudno oprzeć się tu skojarzeniu ze sposobem, w jaki zrodzone w Magdalence elity III RP przeprowadzały „transformację ustrojową” za czasów wczesnego Balcerowicza.

DWA MOTORY PROCESU

Proces realizowania „dziejowej konieczności” stałego pogłębiania integracji

europejskiej i stopniowego przekształcania Europy w scentralizowane państwo napędzany jest przez dwa motory.

Pierwszym jest kastowy instynkt wyhodowanej w ostatnich dziesięcioleciach eurokracji, istic bizantyjskiej grupy dziesiątek, jeśli już nie setek tysięcy urzędników, europostów, działaczy rozmaitych unijnych wysokich rad, komisji i delegatur od tego i owego, z piramidami asystentów, sekretarzy i współpracowników. Ich dochody (niezwykle wysokie, jeśli porównamy apanaże „unijczyków” z zarobkami członków administracji państwowej USA, nie mówiąc o uboższych krajach) zależą całkowicie od rozrastania się europejskiej centrali. Nawet gdyby nie działały tu interesy osobiste, odwieczne zasady funkcjonowania biurokracji, znane najlepiej dzięki satyrycznemu opisowi w formie „praw Parkinsona”, każą każdej z unijnych instytucji stale rozpychać się poza przyznane im traktatowo kompetencje: Komisja Europejska z sekretariatu wykonawczego, koordynującego wspólne polityki, próbuje się

przekształcić w unijny rząd ponad rządami państw, TSUE z komisji arbitrażowej w europejski Sąd Najwyższy, a Parlament Europejski pragnie być z prawdziwego zdarzenia europejskim organem ustawodawczym, a nie instytucją fasadową, służącą wysysaniu z poszczególnych krajów elit i ich korumpowaniu niewyobrażalnym na poziomie krajowym bogactwem.

Motorem drugim, silniejszym, jest imperializm państw „starej Unii”, a szczególnie Niemiec. Przekonanie, że jest się z natury lepszym i mądrzejszym, jedynie predestynowanym do dominowania nad kontynentem i zaprowadzania na nim cywilizacyjnych porządków (za co rozmaite wynikające z tego przywileje są tylko oczywistą, zasłużoną rekompensatą) pod pozłotką modnej retoryki w najmniejszym stopniu nie uległo zmianie. Francja w budowie Państwa Europejskiego widzi sposób ocalenia swej mocarstwowości, do której wydaje się tym bardziej przywiązana, im mniej ma ku temu realnych przesłanek. Niemcy zaś stopniowo przekształcają aparat unijny w swoisty egzoszkielec, wzmacniający realizowanie ich narodowego interesu – ten zaś widzą nadal tak samo, jak przed 150 laty widział go Otto von Bismarck, jako misję dominowania nad Zachodem w oparciu o obustronnie korzystny sojusz ze Wschodem.

Rosyjska napaść na Ukrainę spowodowała zmianę w polityce USA, które skłonne były zaaprobować dominację nad Starym Kontynentem sojuszu niemiecko-rosyjskiego pod warunkiem przejścia przez Kreml do obozu antychińskiego, a co najmniej zachowania neutralności w sporze Ameryki z jej głównym rywalem. Skoro jednak Rosja demonstracyjnie ogłosiła z Chinami sojusz wymierzony w Zachód, czyli właśnie w globalną dominację USA, a postulowane Państwo Europejskie zaprojektowane zostało jako związane ściśle z Rosją, plany niemiecko-francuskie (czy raczej po prostu niemieckie, bo pozycja Francji w rządzącym UE duumwiracie coraz bardziej słabnie) przestały być dla Waszyngtonu akceptowalne.

JAK BERLIN Z PARYŻEM

Stąd właśnie, wróćmy do tego wydarzenia, ubiegłotygodniowe „wspólne posiedzenie rządów Niemiec i Francji”

■ i następująca po nim konferencja Macrona oraz Scholza, na której pośród potoków eurobelkotu, do którego jesteśmy już przyzwyczajeni (Niemcy i Francja będą „zacieśniać współpracę w przekształcaniu europejskiej energetyki w zeroemisyjną i przyjazną planecie” etc.), przekazano istotny sygnał polityczny, adresowany w równym stopniu do Ameryki i do krajów naszego regionu. Sygnał, niestety, słabo odnotowany przez nasze media, z zasady pomijające wszystkie „newsy”, których nie da się użyć do emocjonalnego uderzenia w PiS albo w PO.

Macron i Scholz oznajmili przede wszystkim, że niedawne nieporozumienia pomiędzy ich krajami zostały wyjaśnione i sojusz pomiędzy Berlinem a Paryżem nadal stanowi i będzie stanowić „unijną lokomotywę”, ta zaś nadal będzie podążać w dotychczasowym kierunku: ku pogłębianiu integracji i budowaniu jednolitego europejskiego państwa. Głównym przekazem „wspólnego posiedzenia” było potwierdzenie determinacji, by odejść od formuły jednogłośniego podejmowania decyzji w Radzie Europejskiej. Obie główne unijne stolice będą się domagać, żeby decyzje, przynajmniej te dotyczące finansów i polityki zagranicznej Europy (?), podejmowane były większością kwalifikowaną – czyli w praktyce przez Berlin i Paryż liderujące „starej Europie”. Na wspólnej konferencji Scholz i Macron nie ukrywali, że przyczyną, dla której porzucenie zasady jednomyślności jest konieczne, są „nieodpowiedzialne” działania Warszawy i Budapesztu, które w imię swoich krajowych, partykularnych interesów wetują bądź zapowiadają wetowanie decyzji kluczowych dla wzmacniania europejskiej centrali, takich jak nakładanie nowych, „europejskich” podatków.

Idea zarzucenia jednomyślności jest więc promowana konsekwentnie i uporczywie. Przypomnijmy, że pojawiła się ona jako „rekomendacja” tzw. konferencji o przyszłości Europy. Było to dziwne ciało, wybrane w niejasny sposób z reprezentantów arbitralnie wskazanych organizacji i środowisk „proeuropejskich”, które miało stworzyć propagandowy pozór demokratycznej akceptacji dla budowy Państwa Europejskiego. Następnie „konieczność” pozbawienia „egoistycznego blokowania wspólnych

decyzji w imię ciasnych interesów narodowych” zapowiadał w wywiadach i artykułach prasowych Olaf Scholz – na jednym oddechu z zapowiedzią, że „Niemcy w większym niż dotąd stopniu przejmą odpowiedzialność za Europę”. Uzyskanie dla tego „przejścia odpowiedzialności” jasnej i wyraźnej akceptacji Paryża jest kolejnym krokiem w konsekwentnym realizowaniu przez Berlin swego planu. Ponieważ powodem sporu, którego demonstracyjnym zakończeniem było wspólne posiedzenie obu rządów, był francuski sprzeciw wobec planów wpompowania przez Niemcy 200 mld euro ze środków krajowych w swoją gospodarkę, celem zapewnienia jej przewagi konkurencyjnej nad resztą Europy, można się domyślić, że wsparcie Francji w likwidacji jednomyślności okupione zostało jakimś ustępstwem Niemiec w tej właśnie kwestii. Nie ma żadnego sygnału, by Niemcy odchodziły od wspomnianej zapowiedzi, zatem kompromis dotyczy zapewne objęcia w jakiejś części działaniem „finansowego dopalacza” firm francuskich.

Mówiąc krótko, otrzymaliśmy kolejny sygnał, że realizacja planu z wielu powodów stanowiącego śmiertelne zagrożenie dla Polski trwa i będzie trwać, dopóty, dopóki nie zetknie się z silnym przeciwdziałaniem. Niemieckie Państwo Europejskie oznaczać ma nie tylko stopniowe pozbawienie Polski niepodległości, lecz także powrót, prędzej czy później, do partnerstwa zachodniej Europy z Rosją i śmierć nadziei na zbudowanie w oparciu o obronioną z pomocą Zachodu niepodległość Ukrainy siły środkowej Europy.

WYPIERANY DOWÓD

Niestety, ten kolejny dowód, że zagrożenie dla Polski narasta, a Unia Europejska nieodwracalnie traci charakter korzystnej dla Polski wspólnoty gospodarczej, przekształcając się we wroga nam konstrukcję neoimperialną (trudno o bardziej demonstracyjne odrzucenie traktatowych podstaw UE niż wspomniana niemiecka zapowiedź gargantuicznej dotacji do swojej gospodarki, i to w sytuacji, gdy i tak już Niemcy są beneficjentem ok. połowy całej legalnej pomocy publicznej w UE), jest podobnie jak poprzednie dowody wypierany

z polskiej świadomości. Wspólnym wysiłkiem propagandy skłóconych śmiertelnie o władzę, ale w tej sprawie doskonale zgodnych PiS i PO, utrwalane jest w Polakach przekonanie, że Unia jest jedynym możliwym dla Polski źródłem dobrobytu i modernizacji, a nawet bezpieczeństwa, i że utrata płynących z niej środków (groszowych przecież w porównaniu z ofiarami, których poniesienia wymaga budowa Państwa Europejskiego), byłaby narodową katastrofą.

Sprawadzenie sporu politycznego do historycznego zapewniania Polaków, to im „załatwi” mityczne pieniądze z Unii, skutkuje niestety powszechnym ogłupieniem społeczeństwa, które porównać można tylko z sukcesem propagandy stanu wojennego we wmawianiu, że gen. Jaruzelski ocalał Polskę przed sowiecką okupacją. Dowodzi tego niedawne badanie Eurostatu, wykonane we wszystkich krajach Unii, w którym okazuje się, że Polacy w największym stopniu wiążą nadzieje na lepszą przyszłość z pieniędzmi ze wspólnego europejskiego długu (tzw. plan NGEU), u nas funkcjonującego pod skrótem „KPO”.

O ile przyjęcie perspektywy „Państwa Europejskiego” i porzucenie lojalności wobec Polski na rzecz lojalności wobec enigmatycznie wyobrażanej sobie „Europy” (nie zawsze ze świadomością, że jest ona tylko kryptonimem „Wielkich Niemiec”) jest zrozumiałe w przypadku obozu lewicowo-liberalnego, od zawsze opierającego swą tożsamość i poczucie wyższości na postkolonialnym instynkcie kompradorskim, o tyle bezradność narracyjną PiS, obezwładniającą jej skądinąd deklarujący postawę patriotyczną żelazny elektorat, trudno doprawdy zrozumieć.

Czy wynika to z ignorancji – cały opisany tu kontekst europejskiej przemiany wydaje się dla większości polityków PiS intelektualnie nieogarnialny – czy z krótkowzrocznego skupienia na doraźnej przepychance, czy z interesowności i nadziei na dostąpienie w nagrodę za uległość tłustych synekur w brukselskim Biznacjum? Jakikolwiek są przyczyny, na ich przewyciężenie i obudzenie się ze snu o unijnych pieniądzach mamy coraz mniej czasu, zanim doprowadzi on nas do kolejnej narodowej katastrofy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Szlak Viktora Orbána – droga czy bezdroża

**polemika
DO RZECZY**

Trudno przejść mi spokojnie obok tekstu „Inna droga Orbána” Łukasza Warzechy („Do Rzeczy” z 30 stycznia). Wpisuje się on oczywiście w inne podejścia do wojny na Ukrainie, która odróżnia nas już od ponad roku. Łukasz Warzecha pisze, że „rozważania Viktora Orbána to autentyczna solidna refleksja nad globalnymi interesami, realizowanymi w ramach wojny na Ukrainie”. Warzecha dodaje: „W Polsce jej brakuje”.

Zacznę od pierwszej mojej uwagi, którą muszę niestety napisać po raz trzeci, czwarty czy piąty. W metodzie publicystycznej, w której spieram się z moimi kolegami na temat podejścia do sytuacji na Ukrainie, już tradycją stało się zaczynanie od pewnej charakterystycznej uwertury. Przesadne i niemądre opinie w mediach zawsze można znaleźć. Tym łatwiej pisać, że



Piotr Semka

Irytuje mnie ten ton zachwytu i zazdrości wobec polityki Viktora Orbána. Węgry nie powinny być dla nas wzorem. Mamy prawo do bardziej ambitnej polityki i nieuczciwością jest opisywanie jej jako awanturnictwa czy bycia sługusami interesów Waszyngtonu. Mamy swój geostrategiczny interes we wspieraniu Ukrainy i to robimy. To ukraińscy żołnierze trzymają sowieckie czołówki jak najdalej od nas. I dlatego warto wysłać im broń

polskie media przesadzają, idealizują sytuację Ukrainy, wieszczą rychły koniec Rosji, nie doceniają sił zbrojnych państwa Putina, wybierają tylko to, co ma rzekomo przedstawiać doskonałą sytuację Ukrainy.

Nie inaczej zaczyna swój tekst Łukasz Warzecha. Powołuje się na to, że polskie

media głoszą, iż: „Polsce zazdroszą niemal wszyscy w Europie, bo wytycza kierunek w sprawie wojny na Ukrainie”. Oraz że „moralna presja Polski wymusiła na Berlinie ustępstwo w sprawie czołgów Leopard”. Łukasz Warzecha wskazuje, że Polska i Litwa (dlaczego tylko ten jeden kraj bałtycki?) to

■ wyrażni zwolennicy kontynuowania wojny, a jako alternatywę przedstawia „niemałą liczbę krajów”, które chcą jak najszybszego zakończenia wojny i są przeciwne jej eskalacji. Te kraje – o „gołębim” nastawieniu do wojny – to poza Niemcami i Węgrami także Chorwacja, Bułgaria czy Austria.

Jeśli już tworzymy dwa obozy, to nie można być niezwykle dokładnym w wyliczaniu krajów niechętnych wojnie, a bardzo ogólnikowym w wypadku krajów, które mówią o konieczności wspierania Ukrainy. Te ostatnie to wspomniane już kraje bałtyckie Polska i Litwa, a także Estonia, Łotwa, Wielka Brytania, Finlandia, Szwecja, Czechy, Słowacja, Dania czy nawet Turcja. Jeśli określamy linię sporów, to różmy to dokładnie.

DROGA ORBÁNA

Łukasz Warzecha streszcza doroczne wystąpienie węgierskiego premiera o stanie państwa, w którym wskazał: „Interesy Węgier są jasne; przede wszystkim trzeba uniknąć wojny”. Mój redakcyjny kolega, zastanawiając się, dlaczego Orbán idzie tą drogą, bagatelizuje oskarżenia, że Budapeszt jest po prostu uzależniony od rosyjskich źródeł energii. Nie chcę tu wchodzić w takie rozważania i rzeczywiście przyjmuję, że jest to na równi decyzja ekonomiczna i dotycząca pewnej filozofii polityki.

Łukasz Warzecha wskazuje, że bardzo duży procent mieszkańców Europy obawiał się w połowie ubiegłego roku znaczącego wzrostu kosztów życia, głównie w kontekście obaw o wzrost kosztów energii. Po wygłoszeniu tej tezy Łukasz pisze, że politycy Fideszu uznali, iż najważniejsze są skutki uboczne dla obywateli dotyczące gospodarki. Na tym tle przedstawił politykę rządu Morawieckiego jako swoistą loterię i ryzykanctwo.

No dobrze, ale przyjrzyjmy się sytuacji, gdy już przyszła ta straszna zima, która według propagandystów Russia Today miała spowodować, że w milionach gospodarstw europejskich zapanuje zimno, a wszyscy będą chodzić po mieszkaniu zakutani w grube płaszcze, czapki i owinięci szalikami. Państwa europejskie, w tym Polska, podjęły decyzje o sankcjach

Łukasz Warzecha zastanawiając się, dlaczego Orbán idzie tą drogą, bagatelizuje oskarżenia, że Budapeszt jest po prostu uzależniony od rosyjskich źródeł energii

i stopniowym wycofywaniu się z rosyjskich źródeł energii i, jak się okazuje, operacja ta w miarę się udała. Co więcej, państwa te przyjęły słuszną zasadę, że skoro Rosja wykorzystuje sprzedaż surowców jako czynnik nacisku politycznego, to trzeba się od takiego partnera uwolnić.

Łukasz Warzecha powołuje się na niedawne konsultacyjne referendum u Madziarów, poświęcone sankcjom nakładanym na Rosję. Rzeczywiście, zdecydowana większość Węgrów jest przeciwko. I co z tego wynika? Węgrzy nie czują się zagrożeni ze strony Rosji, a wielu Polaków tak. Węgrzy zapomnieli już, jak to było, kiedy ich granice z Serbią szturmowały grupy agresywnych emigrantów, a my mogliśmy to obserwować w zeszłym roku i doskonale zauważać białorusko-rosyjską rękę, która dyrygowała całą tą operacją. Chodzi więc o pewien wybór nie tylko gospodarczy, lecz także strategiczny.

Paradoksem jest, że Viktor Orbán, który wszedł do polityki jako ktoś, kto zażądał oddania hołdu powstańcom z 1956 r., oskarżanym przez propagandę komunistyczną na Węgrzech, że byli wyłącznie narzędziami dywersyjnej polityki USA, dziś podobne klisze używa w stosunku do wojny na Ukrainie. Łukasz z emfazą cytuje słowa węgierskiego premiera, że „wojna się skończy, gdy Stany Zjednoczone będą chciały, aby się skończyła”, i stawia tezę, że Amerykanie postrzegają wojnę na Ukrainie jako „wojnę zastępczą”. W tym kontekście wydaje się podzielać tezę, że jest to rozgrywka między Moskwą a Waszyngtonem, a wobec Ukrainy używa określenia „podwykonawcy strony amerykańskiej”. Dokładnie tak pisała propaganda czechosłowacka i NRD-

-owska o powstańcach węgierskich z 1956 r. Słynny był wówczas protest, który polscy dziennikarze wystąpi do swoich kolegów przeciw złośliwej karykaturze w czechosłowackim piśmie satyrycznym „Dikobraz”, zamieszczonym właśnie w dniach, gdy sowieckie czołgi miażdżyły wystąpienie Węgrów. Wówczas to czeski rysownik wymalował węgierską cygańską orkiestrę, której członkowie mieli przyklejone na czołach zielone banknoty. Złośliwy podpis pod rysunkiem brzmiał: „No i dograli” (w rozumieniu, że się doigrali).

Co znaczy stwierdzenie, że to Waszyngton pociąga za sznurki i w każdej chwili byłby w stanie zakończyć tę wojnę? To przecież Amerykanie sugerowali, aby prezydent Zełenski na początku wojny opuścił Kijów, i ogłosili, że są gotowi zapewnić mu bezpieczeństwo. Zełenski podjął inną decyzję i jego postawa przyczyniła się do zintensyfikowania oporu. Bez odwagi i gotowości do walki zwykłych ukraińskich żołnierzy nie wypchnięto by rosyjskich spadochroniarzy, próbujących desantu na położone w okolicy Kijowa lotniska, i nie odepchnięto by pancernej szpicy, która z terenu Białorusi ruszyła na Kijów. Amerykanie początkowo nie wysyłali przecież setek rakiet czy czołgów. Nie byli w stanie poruszać ukraińskimi oddziałami jak pionkami na polu gry.

Rzecz w tym, że podnosząc pamięć o węgierskim zrywie z 1956 r., młody Orbán doceniał znaczenie wartości wolności. Znaczenie, które odróżniał Węgrów np. od Bułgarów, którzy nie zorganizowali żadnego wystąpienia przeciw komunistycznej władzy. Dziś politycy węgierscy kopiuje dokładnie sposób myślenia Niemców z lat 80., którzy kwestie relacji na linii Zachód – Związek Sowiecki sprowadzili wyłącznie do kwestii ewentualnych złych konsekwencji, jakie wojna może przynieść dla mieszkańców ziemi niemieckiej, i porzucili obowiązujący jeszcze np. za czasów Konrada Adenauera dogmat, że Republika Federalna musi stać się świadomym członkiem wspólnoty NATO i odbudować swoją wiarygodność po szaleństwach III Rzeszy, przyjmując obowiązek obrony

wolnego świata u boku Amerykanów przeciw sowieckiemu imperium. Teraz np. szef węgierskiego MSZ Péter Szijjártó wskazywał podczas szczytu w Davos: „Konfrontacja pomiędzy dwoma blokami jest zawsze zła dla tych, którzy na mapie leżą pomiędzy nimi”.

Łukasz Warzecha chwali tę wypowiedź jako wyraz węgierskiego pragmatyzmu całkowicie obcego polskiej polityce. Niby to dlaczego mamy cieszyć się słowami szefa węgierskiej dyplomacji? Przecież ustawia ona Węgry jako kraj, który zajmuje jakby trzecią zupełnie neutralną pozycję wobec zagrożeń, w obliczu których stoi także Polska. Tak jakby Republika Węgier nie była członkiem NATO, zobowiązanym do pomocy innym państwom paktu w razie zaatakowania ich przez Rosjan.

Załóżmy czarny scenariusz, w którym Rosjanie dokonują naruszenia polskiej granicy na terenie Warmii czy Mazur. Co jest dla nas ważniejsze? Czy jasna deklaracja Węgier, że wypełnią art. 5 paktu, czy też tyrały węgierskich polityków, że doszło do konfrontacji między dwoma blokami i że trzeba podjąć negocjacje, aby ugłaskać Rosję?

NIE TYLKO WĘGRZY

W tekście Warzechy pojawia się kolejny pozytywny bohater. Jest nim Chorwacja. Mój kolega po piórze z wyraźną aprobatą pisze, że chorwacki parlament odrzucił możliwość szkolenia symbolicznej liczby ukraińskich żołnierzy, i podkreśla, że nie ma podstaw, by uważać Ukrainę za sojusznika, skoro nie jest ani w UE, ani w NATO. Łukasz Warzecha cytuje prezydenta Zorana Milanovicia, który wyraża opinię, że zaangażowanie NATO i sankcje nic nie dadzą. Potem wskazuje na nastawienie Bułgarów przeciwko wciąganiu ich kraju do wojny oraz na sondaże na Słowacji, pokazujące, że ponad połowa respondentów życzy sobie zwycięstwa Moskwy.

No i co z tego? Nie od dzisiaj wiadomo, że prezydent Chorwacji nawiązuje do starej tradycji rusofilskiej, która zawsze pojawiała się w rejonie Europy Środkowej, gdy to w odległej Moskwie widziano sojusznika w walce z presją węgierską czy niemiecką. Identycznie było na Słowacji, gdzie w czasach panowania węgierskiego

wspominano, jak to rosyjskie wojska cara Mikołaja wkroczyły na teren ówczesnych tzw. Górnych Węgier (jak nazywano wtedy Słowację) i rzuciły na kolana Węgrów. Dla Słowaków, którzy zmagali się z miadziaryzacją, była to krótka chwila triumfu, gdy oglądali swoich węgierskich panów rzuconych na kolana. Słowacy mieli taką tradycję, a mimo to rząd słowacki podjął decyzję, żeby jednak pomagać Ukrainie.

BILANS ROKU

Łukasz Warzecha, kontrastując zachowanie Węgier czy Chorwatów i Bułgarów, kończy swoje wywody puentą: „Rozważania Viktora Orbána nad wojną na Ukrainie to autentyczna, solidna refleksja nad globalnymi interesami realizowanymi w ramach wojny na Ukrainie, przefiltrowana przez twarde stawianie na pierwszym miejscu interesów własnego państwa”. Oczywiście politycy każdego państwa powinni stawiać na pierwszym miejscu

Jeśli dzisiaj Węgry mają jakieś specjalne relacje z sąsiednimi krajami, to jest to już wyłącznie Serbia, która znana jest ze swego prorosyjskiego stanowiska. Można jeszcze wskazać Austrię, która też prowadzi prorosyjską politykę. No ale to już wszystko

swoje interesy. Ale Węgry nie są samotną wyspą, taką jak Szwajcaria. Jeśli chcą korzystać z dobrodziejstw wejścia do NATO, to muszą przyjmować na siebie rozmaite zobowiązania do współpracy. A sojusz musi brać pod uwagę to, co się dzieje na Ukrainie.

Oczywiście Łukasz Warzecha może wskazać, że czym innym jest wypełnianie zobowiązań sojuszniczych przez Węgry wobec innych państw sojuszu, a czym innym stosunek do Ukrainy. Rzecz w tym, że, niestety, nie da się tego tak całkowicie od siebie odseparować. Jeśli dany kraj

zaczyna ustami swoich przywódców deklarować, że poważny konflikt na terenie Europy to jedynie zachcianka agresywnych Amerykanów, no to trudno traktować Węgry jako wiarygodnego sojusznika w przypadku rosyjskiej agresji na któryś z krajów NATO.

Zastanówmy się, czy Węgry tak wspaniale wychodzą na swojej polityce „stania obok”. Odmienny stosunek do wojny na Wschodzie w dużej mierze oddzielił Węgry od reszty krajów Grupy Wyszehradzkiej – Polski, Czech i Słowacji. Na naszych oczach zmienia się geometria stosunków strategicznych w Europie, a stosunek do tej wojny jest linią podziału zapowiadającą powstanie nowych konstelacji w Europie. W tej grze Węgry prezentują stanowisko „moja chata z kraja”, ale nie pozostaje to bez konsekwencji dla jej pozycji w Europie. Polska prowadzi swoją politykę – pewnie, ja oceniam ją wyżej, a Łukasz znacznie bardziej surowo, ale chyba nie jest kwestią sporu, że zajmujemy w tej grze znacznie bardziej wpływowe stanowisko niż państwo Viktora Orbána. Tak naprawdę, jeśli dzisiaj Węgry mają jakieś specjalne relacje z sąsiednimi krajami, to jest to już wyłącznie Serbia, która znana jest ze swego prorosyjskiego stanowiska i która podziela wiele poglądów Budapesztu na istotę konfliktu na Ukrainie. Można jeszcze wskazać Austrię, która też prowadzi prorosyjską politykę. No ale to już wszystko.

Czy są takie duże powody do zachwytu nad skutecznością Orbána? Mam swoje wątpliwości. Dlatego irytuje mnie ten ton zachwytu i zazdrości wobec polityki węgierskiego lidera. Węgry nie powinny być dla nas wzorem. Mamy prawo do bardziej ambitnej polityki i nieuczciwością jest opisywanie jej jako awanturnictwa czy bycia sługusami interesów Waszyngtonu. Mamy swój geostrategiczny interes we wspieraniu Ukrainy i to robimy. Jak słusznie zauważa mój kolega po piórze, Rafał A. Ziemiakiewicz, to ukraińscy żołnierze trzymają sowieckie czołwki jak najdalej od nas. I dlatego warto wysyłać im broń. Czemu ma być to nierealistyczna polityka, skoro działania Putina są w równej mierze agresywne i irracjonalne w świetle kosztów, jakie ta wojna niesie dla Rosji?

Było to 11 lat temu. W mediach wybuchła wielka awantura o to, że w 2011 r. służby specjalne skierowały ogromną liczbę wniosków do operatorów telekomunikacyjnych o udostępnienie danych dotyczących połączeń: aż 1,8 mln. Wbrew temu, co mówiła ówczesna opozycja, czyli Prawo i Sprawiedliwość, nie były to „dwa miliony podsłuchów”, bo tego typu kontrolę operacyjną musi zatwierdzić sąd (w przypadkach „niecierpiących zwłoki” może to zrobić wstecznie). Te procedury reguluje Ustawa o policji w art. 19. Mowa była natomiast o innej kategorii, obejmującej dane takie jak numery, na które dokonywano połączeń lub wysyłano wiadomości, długość tych połączeń i czas ich zainicjowania. Te dane były dostępne na zawołanie, a ich uzyskanie przez służby – inaczej niż w przypadku kontroli operacyjnej – nie wymagało zgody sądu.

PiS grzmiał wówczas, że służby państwa kierowanego przez Platformę Obywatelską inwigilują Polaków na potęgę, uderzając w naszą prywatność – i grzmiał słusznie. Problem w tym, że w 2021 r. służby sięgnęły po nasze dane... 1,8 mln razy. Czyli dokładnie tyle samo, ile razy robiły to służby za PO.

Samych podsłuchów zaś tylko policja zakłada rocznie nawet 10 tys. Jeśli taką kontrolę operacyjną zainicjuje się jako „niecierpiącą zwłoki” bez zgody sądu, a ten się na nią następnie nie zgodzi – w praktyce dzieje się to bardzo rzadko – to wszystkie materiały powinny zostać zniszczone w ciągu pięciu dni od rozpoczęcia kontroli. I, owszem, materiały zniszczyć można, ale nie niszczy się przecież wiedzy, którą dzięki takiej operacji powzieli funkcjonariusze. Nieoficjalnie można usłyszeć, że to nagminnie wręcz stosowany w służbach trik. W ten sposób przez kilka dni może być prowadzona inwigilacja, dla której nie ma żadnego uzasadnienia. Poza nieoficjalnym np. pozyskaniem wiedzy, której można by użyć do zaszantażowania danej osoby.

DOSTĘP OD RĘKI DLA OŚMIU RODZAJÓW SŁUŻB

Od czasu pierwszej awantury o inwigilację nie zmieniły się główne powody, dla których liczba zapytań o dane była

Uczciwi powinni się bać



Łukasz Warzecha

Im więcej służb ma prawo sięgać po nasze prywatne informacje, tym większe pokusy po stronie władzy i samych funkcjonariuszy. Im większa ich liczba może sięgnąć po informacje z dziecinną łatwością, tym większe prawdopodobieństwo, że będą te dane wyciekać – również do przestępców

tak ogromna. Jednym z nich jest rosnące lenistwo służb, a być może – tutaj mamy niewiele informacji – coraz słabsza ich jakość. Na zawołanie dostęp do danych podlegających retencji – czyli obowiązkowo przechowywanych przez operatorów – ma aż osiem służb. I jest to dostęp dosłownie za przyciśnięciem przycisku na klawiaturze. Przepisy zbudowane są w taki sposób, że te służby są „na sztywno” połączone do odpowiednich urządzeń operatora, a uprawniona osoba może w każdej chwili ściągnąć dowolne informacje z zasobu objętego obowiązkiem retencji. Nie wymaga to praktycznie żadnego wysiłku, a nakłady finansowe są minimalne, bo utrzymanie infrastruktury technicznej koniecznej do przechowywania danych spoczywa na operatorach. Dlaczego w takim razie funkcjonariusze służb mieliby się męczyć prowadzeniem

działań dochodzeniowych gdzieś w terenie, skoro mogą w łatwy sposób uzyskać dane, które te działania w dużej mierze zastępują?

Same służby nieustannie twierdzą, że potrzebują szerszego dostępu do danych. Nie ma w tym nic dziwnego – taka jest i będzie ich natura. Służby zawsze będą twierdziły, że nowe uprawnienia inwigilacyjne są im absolutnie niezbędne, a jeśli ich nie dostaną – o zmniejszeniu obecnych już nawet nie mówiąc – to obywatele będą w niebezpieczeństwie. Gdy pod pretekstem konieczności walki z terroryzmem, po zamachach z 11 września, w październiku 2001 r. wprowadzono w USA Patriot Act, ograniczający poważnie prawa obywateli wobec służb, miał on obowiązywać tylko przez krótki czas, a w części pozostawał w mocy... przez 14 lat.



FOT. ADDBE/STOCK

Można się zastanawiać, czy działania prowadzone w ten sposób są faktycznie równie skuteczne jak te wymagające większego wysiłku, nawet jeśli są szybsze. Podstawowe pytanie jest jednak inne. Nawet gdyby uznać argumentację służb, że nowe uprawnienia muszą iść w parze z postępem technologicznym, to czy muszą one być aż tak szerokie i przede wszystkim czy za domniemane bezpieczeństwo (czego przecież nikt nigdy nie wymierzył) opłaca się nam płacić tak drastycznym ograniczeniem naszej wolności i prywatności?

HISTORIA INWIGILACJI

Wróćmy do historii inwigilacji w Polsce. W lipcu 2014 r. Trybunał Konstytucyjny wydał wyrok w sprawie K23/11, dotyczącej katalogu informacji zbieranych o obywatelu za pomocą środków tech-

nicznych w działaniach operacyjnych oraz zasad niszczenia tych danych. Trybunał orzekł, że m.in. przepisy Ustawy o policji są niezgodne z artykułami 47 i 49 w związku z art. 31 Konstytucji RP w takim zakresie, w jakim nie przewidywały „niezależnej kontroli udostępniania danych telekomunikacyjnych”. Artykuł 47 ustawy zasadniczej mówi, że „każdy ma prawo do ochrony prawnej życia prywatnego, rodzinnego, czci i dobrego imienia oraz do decydowania o swoim życiu osobistym”. Artykuł 49 powiada: „Zapewnia się wolność i ochronę tajemnicy komunikowania się. Ich ograniczenie może nastąpić jedynie w przypadkach określonych w ustawie i w sposób w niej określony”, natomiast art. 31 stanowi w ustępie 3: „Ograniczenia w zakresie korzystania z konstytucyjnych wolności i praw mogą być ustanawiane tylko w ustawie i tylko

wtedy, gdy są konieczne w demokratycznym państwie dla jego bezpieczeństwa lub porządku publicznego, bądź dla ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej, albo wolności i praw innych osób. Ograniczenia te nie mogą naruszać istoty wolności i praw”.

Na zmianę przepisów było półtora roku od ogłoszenia wyroku. Te półtora roku miało na początku 2016 r., gdy władzę sprawował już PiS. Gdyby przepisy nie zostały zmienione, zgodnie z wyrokiem TK straciłyby ważność, a tym samym służby nie miałyby podstawy do sięgania po nasze dane. PO nic ze sprawą nie zrobiła do momentu utraty władzy, wobec czego nowa większość sejmowa stanęła przed koniecznością dokonania zmian.

Niestety, zamiast wykorzystać tę okazję do wprowadzenia autentycznego sądowego nadzoru nad działaniami służb, stworzono regulację ustanawiającą system w dużej mierze fikcyjny. Na chybcika przygotowano poselski, a tak naprawdę rządowy projekt zmiany ustawy o policji, który trafił do Sejmu w grudniu 2015 r., a wszedł w życie już 15 stycznia następnego roku. Wprowadzony do ustawy art. 20c określa bardzo szeroki zakres uzyskiwania przez policję danych telekomunikacyjnych bez wiedzy osób, których ta procedura dotyczy i za pośrednictwem infrastruktury utrzymywanej przez operatora.

Mechanizm rzekomej kontroli, który zawarto w ustawie (art. 20ca), przewiduje przekazywanie odpowiedniemu sądowi okręgowemu w odstępach półrocznych sprawozdań zbiorczych na temat pozyskanych danych. Sąd ma je kontrolować. Jasne jest, że taki system to kompletna abstrakcja. Wziąwszy pod uwagę, o jak gigantycznych liczbach pozyskań danych mówimy, nie jest nawet fizycznie możliwe, żeby sądy – szczególnie te w większych miastach, gdzie koncentrują się takie działania – mogły się odnieść do przekazywanych im co sześć miesięcy list zawierających w sumie setki tysięcy punktów.

Gdy było już wiadomo, w jaki sposób władza zamierza podejść do sprawy kontroli pozyskiwania danych, zrobiła się awantura. Organizacje pozarządowe, zajmujące się sprawami prywatności i inwigilacji, z najbardziej w tej dziedzinie zasłużonym Panoptikonem na czele, podniosły alarm i zaczęły apelować do prezydenta Andrzeja Dudy, żeby

ustawy nie podpisywał lub przynajmniej odesłał ją do Trybunału Konstytucyjnego. Pan prezydent oznajmił, że zastrzeżenia rozumie, ale, niestety, trwa walka z czasem, więc na razie trzeba ustawę podpisać w takiej właśnie postaci. Obiecał jednak, że wkrótce wspólnie ze wspomnianymi organizacjami rozpocznie prace nad własnym projektem, uwzględniającym zgłaszane zastrzeżenia. Wśród nich był choćby pomysł wspomnianego Panoptikonu, aby inwigilowani po określonym czasie od zakończenia działań przez służby otrzymywali informację, że byli obiektem kontroli operacyjnej. Pan prezydent z obietnicy się jednak nie wywiązał. Do dziś obowiązuje ustanowiony wtedy mechanizm „kontroli” sądowej.

Powiększyła się za to w ciągu ostatnich lat lista służb, które takie dane mogą pozyskiwać lub mogą prowadzić kontrolę operacyjną. Jest ich obecnie dziewięć: Policja, Krajowa Administracja Skarbową, Straż Graniczna, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Służba Ochrony Państwa, Biuro Nadzoru Wewnętrznego MSWiA, Centralne Biuro Antykorupcyjne, Żandarmeria Wojskowa oraz Służba Kontrwywiadu Wojskowego. Kiedy w Sejmie pojawił się w ostatnim czasie projekt Prawa komunikacji elektronicznej, w ramach składanych przez samego wnioskodawcę poprawek do grona służb uprawnionych do pozyskiwania naszych danych, chciano jeszcze rzutem na taśmę dołączyć Inspektorat Służby Więziennej.

CO ZMIENIA NOWY PROJEKT?

Jednak projekt, który trafił do Sejmu, przede wszystkim groził drastycznym powiększeniem zakresu danych, które mogłyby być przez służby zasysane. W dodatku projekt został obłudnie przedstawiony jako wdrażający unijną dyrektywę ustanawiającą Europejski Kodeks Łączności Elektronicznej, choć w istocie idzie o wiele dalej, niż wymaga UE.

Fundacja Panoptikon pisze w swojej analizie projektu: „Dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2018/1792 z dnia 11 grudnia 2018 r. ustanawiająca Europejski kodeks łączności elektronicznej powinna być wdrożona przez państwa członkowskie do 21 grudnia 2020 r. Polska robi to z ponad dwuletnim opóźnieniem i zamiast skupić się na meritum, czyli do-

stosowaniu przepisów do tego, jak obecnie korzystamy z usług łączności elektronicznej, wykorzystuje okazję, by zapewnić służbom dostęp do informacji o tym, jak korzystamy z różnych aplikacji. I robi to wbrew prawu UE, które nie pozwala traktować wszystkich jak podejrzanych”.

Projekt utrzymuje obowiązek przechowywania danych przez rok, a także znacząco go poszerza poprzez objęcie nim nie tylko – jak dotąd – przedsiębiorców telekomunikacyjnych, lecz także przedsiębiorców komunikacji elektronicznej, co jest pojęciem szerszym. Taki przedsiębiorca – jak czytamy w definicji zawartej w ustawie – to przedsiębiorca telekomunikacyjny lub „podmiot świadczący publicznie dostępną usługę komu-

W ciągu ostatnich lat powiększyła się lista służb, które mogą pozyskiwać dane o nas

nikacji interpersonalnej niewykorzystującą numerów”. To ostatnie oznacza m.in. komunikatory czy pocztę elektroniczną.

Zakres przechowywanych danych także miałby się zwiększyć. Miałby objąć dane „jednoznacznie identyfikujące użytkownika”. Ekspert wskazywali, że ten ostatni wymóg jest w wielu przypadkach nie do zrealizowania, ponieważ niektóre komunikatory są zbudowane w taki sposób, że nawet firma dostarczająca usługę nie ma dostępu do tych informacji. Pozostaje zresztą pytanie o to, w jaki sposób polskie prawo miałoby zmusić do współpracy firmy, które mają swoje siedziby poza naszym krajem i polskim regulacjom nie podlegają. Dobrym przykładem jest Twitter, który nie ma nawet w Polsce przedstawicielstwa.

Jak tłumaczyli wnioskodawcy, poszerzenie zakresu przedmiotowego (czyli co przechowywać) i podmiotowego (czyli kto ma przechowywać) nastąpiło wskutek wniosków ministrów obrony oraz koordynatora służb specjalnych. To również klasyka: w niespokojnych czasach politycy zawsze uważają, że ludzie łatwiej pogodzą się z ograniczeniami swoich swobód i prywatności.

Gdy pod koniec stycznia ustawa trafiła do sejmowej Komisji Cyfryzacji, reprezentujący rząd minister Paweł Lewandowski z kancelarii premiera przyniósł ze sobą poprawkę, która niespodziewanie cofała podmiotowe poszerzenie zakresu dostępu do naszych danych. Polegała ona na zamianie w całym projekcie pojęcia „przedsiębiorca komunikacji elektronicznej” na „przedsiębiorca telekomunikacyjny” oraz słów „usługa komunikacji elektronicznej” na „usługa telekomunikacyjna”. Nie zmieniono jednak wymogów dotyczących zawartości przechowywanych danych. PiS przegrał wtedy głosowanie w komisji – opozycji udało się spowodować, że prace nad projektem zostały przesunięte na luty, posłowie wskazywali bowiem, że muszą najpierw mieć czas na zapoznanie się z proponowanymi zmianami. Wszak cały projekt ma niemal 3,5 tys. stron.

Awantura o rozwiązanie z projektu PKE – zresztą znacznie mniej głośna niż ta o obowiązkową kolejność kanałów telewizyjnych, która mieści się w tym samym akcie – wywołała znaną od dawna reakcję: ucziwi nie mają się czego obawiać. To nieprawda – jest wręcz przeciwnie: to właśnie przede wszystkim ucziwi powinni się obawiać ciągłego powiększania uprawnień inwigilacyjnych.

Im więcej służb ma prawo sięgać po nasze prywatne informacje, przyglądać się naszym wiadomościom, rozmowom, włamywać na nasze media społecznościowe, tym większe pokusy po stronie władzy i samych funkcjonariuszy. Im większa ich liczba może sięgnąć po informacje z dziecinną łatwością, tym większe prawdopodobieństwo, że będą te dane wyciekać – również do przestępców. Im prostsze inwigilowanie obywateli, tym większa możliwość, że władza będzie z tego korzystała – balansując na granicy nadużyć, a może nawet ją przekraczając wobec osób dla niej niewygodnych. Obserwując zapędy cenzorskie, które ujawniły się jeszcze podczas epidemii, a wzmógł wyrażenie po 24 lutego ubiegłego roku, naprawdę można mieć powody do niepokoju.

Pomysłodawcy nowej regulacji zapominają o jeszcze jednym: za niedługo czas mogą stracić władzę, a wraz z nią kontrolę nad służbami. Czy naprawdę chcą, żeby wówczas były one wyposażone w tak szerokie uprawnienia?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

RYSZARD GROMADZKI: Czy gigantyczny wysiłek, który Polacy i polskie państwo ponoszą, pomagając od roku napadniętej przez Rosję Ukrainie, nam się opłaca?

WITOLD GADOWSKI: Przeczytałem ostatnio analizę, która ukazała się w „Huffington Post”, autora o nazwisku Akbar Szahid Ahmed pt. „Polska – kolejny test dla globalnej demokracji”. I cóż autor pisze w tym tekście, który jest szeroko kolportowany w Stanach Zjednoczonych? Dowiadujemy się z niego, że Polsce grożą kompletna autokracja i dyktatura PiS, który jest niedemokratyczny. Autor przyznaje łaskawie, że Polska pomogła Ukrainie, ale teraz ukraińskie dzieci są szykanowane w polskich szkołach. Jeszcze gorzej mają ukraińscy geje, którzy doświadczają szykan z dwóch powodów: bo są Ukraińcami i gejami. To wszystko są cytaty, które pochodzą z tekstu, który ukazał się w „Huffington Post”.

Autor powołuje się oczywiście na wypowiedzi pana Rosatiego, opisuje cierpienia pana Brejzy i jego rodziny, jak to policyjny, na wskroś totalitarny ustrój w Polsce niszczy opozycję. W tekście przywołana jest także wypowiedź pani Diany Amedro z UNICEF, która mówi – cytuję – „ukraińscy rodzice twierdzą, że ich dzieci spotykają się w polskich szkołach z rosnącą dyskryminacją”. Z kolei Ivan Posylny, ukraiński emigrant, na którego opinię powołuje się także autor analizy w „Huffington Post”, przekonuje, że bycie gejem i Ukraińcem w Polsce jest „łatwopalne”. Posylny wskazuje także na to, że jakiś czas temu w Polsce eksponowane były transparenty z treścią „Wołyń 1943” i były one dyskryminujące i rasistowskie dla Ukraińców. Taki jest obraz Polski, który liberalne media przedstawiają na Zachodzie, także w Stanach Zjednoczonych. W tym wypadku media bardzo mocno powiązane z obozem demokratów. My tutaj hołubimy zupełnie inny obraz, którym sobie podbijamy bębenka.

Heroicznie pomagając Ukrainie i ratując tym samym wolny świat przed hordami Putina...

Tak. Pan prezydent, przemawiając podczas Forum Ekonomicznego w Davos, przyznał, że ogołociliśmy własną armię. Uzbrojenie, które przekazaliśmy Ukrainie, przede wszystkim czołgi, nie pochodziło z rezerw, ale ze stanów kadrowych

Z tekstu amerykańskiej gazety dowiadujemy się, że Polsce grożą kompletna autokracja i dyktatura PiS

polskiej armii. Notabene byłem zażenowany tym wystąpieniem, w jego trakcie prezydent nie wiedzieć dlaczego cały czas się uśmiechał, ale pomińmy to.

Pozbywając się hojną ręką uzbrojenia, które przecież nie jest na bieżąco uzupełniane nową czy



Z Witoldem Gadowskim, pisarzem i publicystą rozmawia Ryszard Gromadzki

Pęknięty portret Polaka

choćby ekwiwalentną bronią, ograniczamy swoje zdolności obronne.

Liczymy, że dostaniemy coś w zamian. To trochę podobny mechanizm do tego związanego z funduszami w ramach KPO.

Na razie po raz pierwszy od 1945 r. w Polsce stacjonować będzie niemiecka armia. Konkretnie bateria rakiet Patriot, która ma nas bronić przed napaścią Rosji. Zachowując wszystkie proporcje, przypomina mi to historię z początku XIV w., kiedy za zgodą Władysława Łokietka ściągnięto Krzyżaków do obrony Gdańska przed Brandenburczykami.

No tak. Albo jak Konrad Mazowiecki sprowadził ich wcześniej na Pomorze. Ale mówiąc już zupełnie poważnie – nie mamy w ogóle myśli państwowej, racji

stanu, która mogłaby formować myśli prominentnych polityków, działania dyplomacji dotyczące polityki zagranicznej. Nie mamy takiej myśli, nie mamy takich ludzi. Wszystko to, co jest, jest żenujące i karłowate. Celowo zacytowałem wszystkie te szokujące opinie na początku naszej rozmowy, żeby pokazać, że świat nie patrzy na nas naszymi oczami, tylko patrzy na nas oczyma propagandy, która jest niechętna dzisiejszym polskim władzom w Warszawie. Autor analizy opublikowanej w „Huffington Post” twierdzi wręcz, że ów tytułowy test na demokrację wypadnie naprawdę dobrze, jeśli obóz faszystujący, którym jest PiS, przegra wybory.

„Obóz faszystujący” przegra, ale wygrana „obozu postępu”, czyli opozycji, z punktu widzenia polskiego interesu narodowego to scenariusz absolutnie fatalny...

Oczywiście. To oznaczałoby klęskę dla polskich interesów. Ale cóż, cofnijmy się nieco w czasie, w głąb naszej historii. W ciągu ostatnich ponad 250 lat w Polsce nie są zwalczane stronnictwa opłacane za cudze pieniądze, a wręcz są premiovane. Tutaj zawsze istniało stronnictwo pruskie, stronnictwo ruskie, w tej chwili dołączyło do nich jeszcze stronnictwo służalczo podległe Ameryce ze wszystkimi przyległościami. Te wszystkie stronnictwa trzeci wiek są już bezkarne. Taka tradycja się u nas wytworzyła.

■ Co musiałoby się zdarzyć, żebyśmy zrzucili z siebie to przekleństwo, pozbyli się tego fatum?

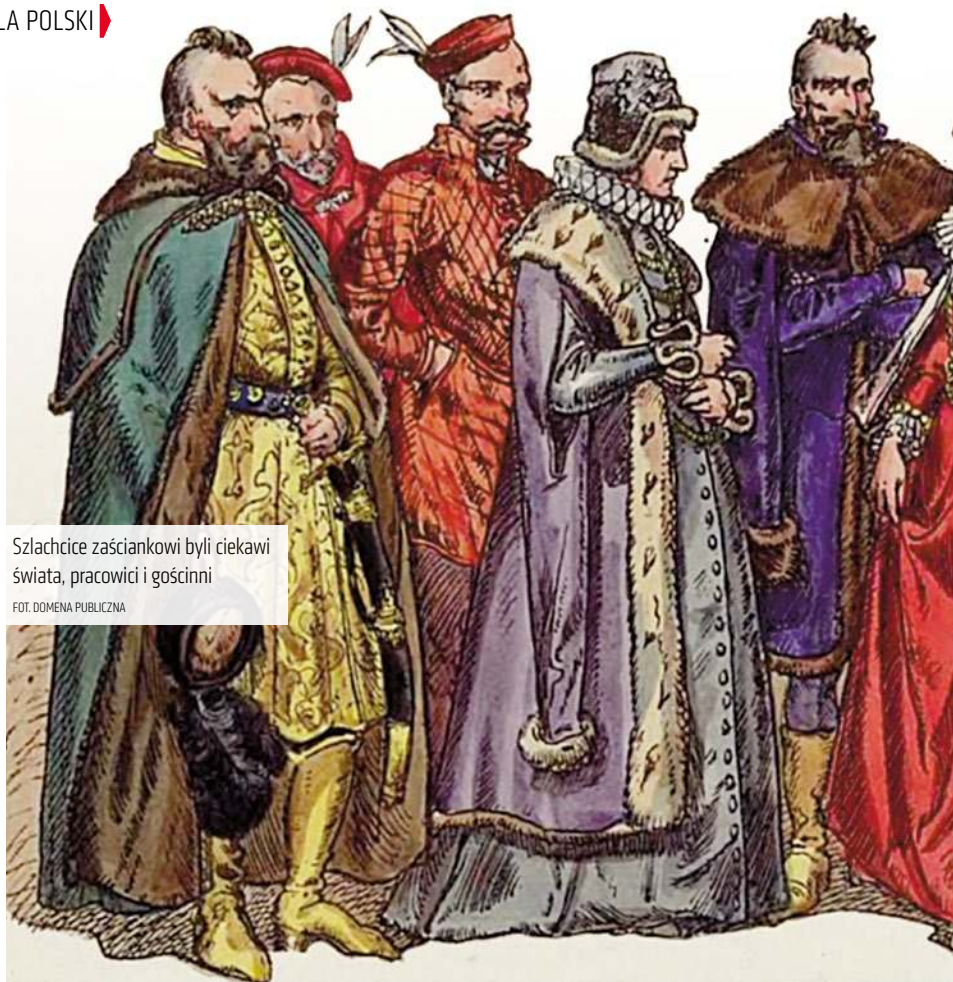
Musieliśmy mieć niepodległe media, niepodległe ośrodki krystalizowania się myśli państwowotwórczej. No i przynajmniej część niepodległej edukacji. Tymczasem mamy to, co mamy. Spuściznę po komunizmie, której nie przezwyciężyliśmy, beneficjentów Okrągłego Stołu, którzy cały czas znakomicie trzymają się w siodle, dysponując ogromnymi środkami, które załatwił im towarzyszył Czesław Kiszczak – o którym jego biograf, Lech Kowalski, mówi wprost, że był Ukraińcem i nazywał się Kiszczuk. Może ten fakt nie jest najważniejszy, ale warto o takich rzeczach pamiętać.

Reasumując – mamy dziś w Polsce kompletnie niewolniczą pseudoeelitę, mieniającą się elitą władzy lub elitą opozycji. To całkowicie niewolnicze umysły, bardzo sformatowane i bardzo miałkie. Brak elity z prawdziwego zdarzenia jest tragedią Polski. Mamy ludzi z wielkimi kompleksami, którzy nie potrafią jak równy z równym artykułować polskich interesów na arenie międzynarodowej. Nie znam ani jednego polskiego polityka, który z należną dystynkcją potrafiłby występować na arenie międzynarodowej, nie robiąc tych wszystkich niewolniczych, wiernopoddańczych gestów, i który reprezentowałby polskie interesy bez cienia kompleksów. To, co wyczyniał pan Duda w Davos, sprawiało, że ja, jako polski obywatel i jego wyborca, czułem się bardzo mocno zażenowany.

Wobec takiej jakości elit, które mamy, państwo polskie jawi się dziś jako państwo pozorne?

Nie, nie jesteśmy państwem pozornym dlatego, że pewien zbieg okoliczności dziejowych sprawił, że to państwo mamy. Tyle że nie wykorzystaliśmy ostatnich 30 lat po 1990 r. do budowy niepodległych elit, które broniłyby interesów państwa polskiego, i do wyedukowania kolejnych, nowych generacji świadomych polskich obywateli. Zmarnowaliśmy czas. Utknęliśmy w partyjnych swarach wyrywania sobie postawu polskiego sukna, w takiej tradycji niestety radziwiłłowsko-braniczkiej, i patrzymy, jak współcześni Braniccy z Radziwiłłami wyrywają sobie ten postaw sukna spod głowy.

Patrzmy na to z pozycji biernych obserwatorów. Nie mamy na polskiej



Szlachcice zaściankowi byli ciekawi świata, pracownicy i gościnni

FOT. DOMENA PUBLICZNA

scenie politycznej formacji, która mogłaby przeciąć ten rytualny spór, który często jest sporem pozornym, sporem partyjnych koterii, które uważają, że jeśli oni będą rządzić, to będzie dobrze, bo oni to Polska. Karłowaty Ludwik XIV w polskim wydaniu. Wychodzi lider partii PiS i oświadcza: „Jeśli nie my będziemy rządzić, to Polski nie będzie”. Lider Platformy Obywatelskiej z kolei oznajmia bardziej światu niż Polakom, bo wśród nich nie ma już wiarygodności, że jeśli nie my, to Polska pograży się w odmetach dzikiego katolicyzmu i ciemnoty.

Co nas czeka? Czy, mówiąc klasykiem, „rozdziobią nas kruki i wrony”? Ile to razy w naszej historii wydawało się, że Polska już nigdy się nie podniesie, a jednak trwa. Gdzie szukać lepszej perspektywy?

Niestety, wielkich nadziei nie upatruję ani w egzotycznych sojuszach, ani w sojuszach z sąsiadami. Możemy tylko cofnąć się w głąb samych siebie, czyli cofnąć się w głąb jednego polskiego nurtu politycznego, który jest autentycznym polskim wkładem w rozwój światowej

Jesteśmy narodem otwartym i przyjaznym. Nie jesteśmy ksenofobiczni i zaściankowi

myśli politycznej, czyli mesjanizmu. I teraz wszyscy pukną się w głowę i powiedzą: „Zwariował. Jaki mesjanizm?”. Warto w tym miejscu cofnąć się do myśli Józefa Hoene-Wrońskiego, który mówił o tym, że Polska jest unikalnym fenomenem. Tak to się utworzyło w naszych dziejach, że jesteśmy fenomenem, który po Hoene-Wrońskim Feliks Koneczny nazwał cywilizacją łacińską. Oczywiście jest to powszechnie krytykowane jako przejaw „zaściankowości”. Ale jeżeli nie cofniemy się do poszukiwania klasycznie polskich, konstytuujących nas fenomenów – przede wszystkim etycznych i duchowych – to nie odnajdziemy portretu Polaka. Kiedyś mój znajomy, Marek Rostworowski, wymyślił wystawę „Polaków portret własny”.



i przyjaznym. Nie jesteśmy ksenofobiczni i zaściankowi.

Jak próbuje nam się wmawiać...

Próbuje nam się to wmawiać, bo robią to obcy. To są ludzie, którzy zostali osadzeni na szpicy polskiego fenomenu przez Józefa Stalina, z różnych powodów. Na przykład to są potomkowie działaczy Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, jak chociażby naczelny „Gazety Wyborczej”. To są ludzie niechętni polskiemu żywiołowi, ponieważ czują się w nim obco. Dezawuuujący najbardziej absurdalnymi zarzutami ten fenomen, bo nienależący do niego, niepoczuwający się do wspólnoty. To są nie zasymilowani Polacy, czyli Polacy z funkcji, ale z duchowości obcy.

O takich postaciach mówiło się kiedyś „pełniący obowiązki Polaka”.

Tak.

Powiedziałeś, że czekają nas czas wielkiego zamętu, a później dramatyczne poszukiwanie tego, co jest istotą naszej tożsamości. W wymiarze polskiego świata oznacza to, odwołując się do frazy Słowackiego, że „Król Duch” jest pilnie poszukiwany?

Tak. I to nie jest przejaw nawiedzenia czy rozpaczki poznawczej, którą ktoś może mi zarzucić, kiedy usiłuję przywrócić takie metafizyczne wzorce. To jest to, co tylko zostanie. Przewiduję, że w ciągu najbliższych 20 do 30 lat nastąpi taki zamęt związany z przesyleniem globalnością i treściami globalności, takie fiasko metod globalnej kontroli, które będą bardzo mocno forsowane, że następne pokolenie odbije w kierunku poszukiwania własnej indywidualności i tożsamości. Ludzie bez tożsamości będą nieszczęśliwi, zagubieni i zdeprecjonowani. Dlatego następna epoka, która nastąpi po obecnej, cechować będzie się powrotem do źródeł lokalnych, do własnej tożsamości, to będzie czas w sam raz dla Polski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pokazano na niej różne konterfekty polskiego etosu. Gdyby pójść dalej i stworzyć duchowy portret Polaków, potem portret społeczny, następnie Polaków portret polityczny i religijny, to po takich dużych dziełach można by wyabstrahować coś, co jest dla nas najważniejsze, na czym powinniśmy się skupić. Oczywiście jest to robota na lata. Wielka edukacja, poszukiwanie wzorców. Przewiduję, że po epoce globalnego zachłystnięcia się wszechmożliwościami w całym świecie nastąpią wielkie zagubienie i dramatyczne poszukiwanie własnej istoty.

Czy antidotum na to zagubienie, odtrutką na „cywilizację wszechmożliwości”, jest zakorzenienie w wartościach, które u nas ufundowane są na katolicyzmie?

Tak. Stąd mówię o mesjanizmie nie jako oderwaniu się od rzeczywistości, jak to później z pism Towiańskiego czy Mickiewicza wyzierało. Wolę skupiać się na pismach Słowackiego i tutaj pozwolę sobie na dygresję – podzielam diagnozę Waldemara Łysiaka, jeśli chodzi o Słowackiego. Natomiast jeśli nie skupimy

się na naszym fenomenie, duchowym przede wszystkim, z którego wynikają polska pracowitość, polska gościnność, polska otwartość, polska ciekawość świata, polski brak kompleksów wobec świata...

... polska fantazja...

... tak, polska fantazja w takim klasycznym przejawie. To wszystko, do czego lubimy nawiązywać, do kultury zaścianka. Wbrew stereotypom Polak z zaścianka był otwarty i pozbawiony kompleksów. Był Polakiem, który był gotowy zawadiacko stawać w obronie swoich racji, a także z ciekawością chłonał to, co płynęło ze świata. To było wyjątkowe. My nie mieliśmy w historii ani królobójców, ani wielkich zdrajców. Oczywiście mieliśmy kilku magnatów, którzy odcisnęli w naszych dziejach piętno zdrady. Jednak w porównaniu z tym, co wyprawiało się na Zachodzie, z królobójstwami, ze zradami, sprzedawaniem własnego ludu, to nic. U nas tego nie było. Jesteśmy narodem, mimo że mocno przetrzebionym z elit, otwartym



Witold Gadowski – dziennikarz śledczy, pisarz, laureat nagrody Grand Press i Nagrody im. Kazimierza Dziewanowskiego, członek zarządu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Antywartości w „tęczowych szkołach”





Zuzanna Dąbrowska

Na mapie Polski nie brakuje szkół, które można określić mianem „tęczowych”. Chwalą się wsparciem dla proaborcyjnych protestów, uczestniczą w akcjach promujących ruch LGBT i odżegnują się od tradycyjnych wartości

Choć zjawisko nie jest nowe, to przypominało o sobie całkiem niedawno, w grudniu, za sprawą antyjasełek przygotowanych przez uczniów Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego nr 1 w Gdańsku. To, co zaserwowano widzom, już nie tylko odbiegało od tradycyjnej formy przedstawień pokazujących sceny z Bożego Narodzenia, lecz także było momentami absurdalnym, lewackim manifestem. W rolę Dzieciątka wcielił się półnagi chłopak, a złóbkę miała symbolizować taczka, w której był wożony. Maryję grała różowowłosa uczennica. Trzej Królowie w darach przynieśli nie mirrę, kadzidło i złoto, tylko klawiaturę, laptop i myszkę. Prezentem był także bon na świadczenie „500+”. „Masz tu ten dar, który całą gospodarkę rozwali i ludem prostym pomoże sterować” – powiedział wręczający go uczeń. Portale internetowe sugerują, że na scenie odgrywał rolę prezesa PiS. Uważniejsi obserwatorzy twierdzą, że stanowiących dekorację w tle gwiazdek było osiem, co oznacza znane, prostackie hasło „je... PiS”.

Niczego niestosownego w kpieniu z wiary nie widzi prezydent Gdańska. – Dobrze się odwoływać do tradycji jasełek. W naszej tradycji bardzo często były różne przedstawienia, wystąpienia, które także dotyczyły tematów bieżących. Mam nadzieję, że w Polsce to będzie zawsze możliwe – wolność wypowiedzi, która nie naruszyła niczych uczuć, nikogo nie obraziła. Nie było w tych jasełkach wulgaryzmów – stwierdziła Aleksandra Dulkiewicz. „Jasełek” broni też jedna z nauczycielek CKZiU, Beata Kuźniewska. „Mamy świetną młodzież, bardzo artystyczną, »tęczową«, niezwykle kreatywną, z dużą wyobraźnią. W dużej części są to

już ludzie pełnoletni. Oprócz tego jesteśmy szkołą integracyjną. To widowisko z założenia nie miało być jasełkami, tylko przedstawieniem świątecznym. Byliśmy wszyscy z niego dumni, przez głowę nikomu nie przyszło, że wywoła taką burzę i – co najgorsze – takie wyzwiska pod adresem młodzieży” – powiedziała w rozmowie z portalem Zawsze Pomorze.

Jednak gdańskie antyjasełka to tylko jaskrawy przykład poważnego problemu, który w ostatnich latach wręcz zalewa polskie szkoły. Polega on na zastępowaniu wartości antywartościami i na odwróceniu zasad, co dzieje się nie tylko przy akceptacji, lecz także zachęce dyrektora oraz kadry nauczycielskiej (która niekiedy sama aktywnie włącza się w protesty, m.in. popierając aborcję). „Tęczowe szkoły” promują zabijanie nienarodzonych, LGBT i pedagogikę wstydu. W skrócie: walczą z „ciemnogrodem”.

POPIERANIE ABORCJI

Jesienią 2016 r. przez kraj przetoczyła się fala protestów zwolenników aborcji. Była to reakcja na odrzucenie przez Sejm projektu partii Razem, który miał na celu liberalizację przepisów. Jednocześnie Sejm miał głosować nad obywatelskim projektem „Stop aborcji”. Na ulice wychodziły tysiące osób. 3 października odbyły się liczne manifestacje. Głośno było wówczas o poznańskiej nauczycielce fizyki, która miała namawiać uczniów do udziału w „czarnym proteście”, nawet kosztem opuszczenia lekcji. Sprawę nagłośniły katolickie media. „Przeprowadziłem rozmowę z klasami, które mają lekcje fizyki z tą nauczycielką. W jednej z nich rzeczywiście doszło do rozmowy na temat »czarnego protestu« – wyszli z tym sami uczniowie. Młodzież nie potwierdziła jednak, że była zachęcana do opuszczania lekcji” – przekonywał w rozmowie z „Głosem Wielkopolskim” dyrektor XIV LO Leszek Bernaczyk, który stwierdził, że media informujące o zajściu dokonują „nagonki”. W obronie nauczycielki stanęła także część uczniów. Ostatecznie Kuratorium Oświaty nie wyciągnęło konsekwencji.

Nie był to jedyny przypadek, w którym kadra pedagogiczna wyraźnie zaangażowała się po „ciemnej” stronie sporu ideologicznego. Media opisywały sprawę grupy nauczycielek z Zespołu Szkół Specjalnych w Zabrze, które 3 października,

■ na znak solidarności z „czarnymi protestami”, przyszły do pracy w ciemnych strojach. „Na dużej przerwie, gdy dzieci były na obiedzie lub pod opieką dyżurujących nauczycieli, zrobiły sobie wspólne zdjęcie. Na ten czas przytwierdziły do ubrania naklejki z napisem informującym o trwającym tego dnia strajku kobiet” – podał lokalny serwis. Do zdjęcia zapozowała także dyrektor szkoły. Komisja dyscyplinarna postawiła nauczycielkom zarzut „publicznego manifestowania swoich poglądów związanych z poparciem dla zorganizowanego w tym dniu na terenie całego kraju protestu dotyczącego zmian przepisów w zakresie prawa do aborcji”. Ostatecznie kobiet nie ukarano, a sprawa ucichła.

O ile każdy przejaw poparcia aborcji znajdował poklask w mediach lewicowo-liberalnych, o tyle te same portale i gazety wyrażają (nie)świète oburzenie, gdy w szkołach próbuje się promować szacunek do życia. Tak serwis OKO.press pisał o konkursie „Pomóż ocalić życie bezbronnemu”, który od lat organizuje wśród uczniów Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia Człowieka: „[...] Zaskoczył nas nachalnie antyaborcyjny i zideologizowany wydźwięk prac plastycznych przysyłanych przez uczniów”. Aby lepiej zobrazować nieuzasadnioną krytykę, warto przytoczyć poruszający fragment jednej z nagrodzonych w 18. edycji konkursu prac. „Dowiedziałem się, że moja tak długo oczekiwana siostra, jeśli w ogóle się urodzi, co podkreślił tata, ma zespół Downa. Łza spłynęła po policzku mamy. Nigdy nie zapomnę tych słów. Tych emocji nie da się opisać słowami. Czarna rozpacz, milion myśli – bardzo różnych myśli. Po chwili jednak zrozumiałem, co do mnie mówiła mama” – opisywał Jakub ze Stalowej Woli. OKO.press jest oburzone faktem, że chłopak mniej w swoim opowiadaniu skupił się na trudnościach w wychowywaniu dziecka z zespołem Downa, a bardziej na radości z tego, że ma siostrę, którą bardzo kocha. Oburzające, prawda? Media popierające aborcję wieszają rzecz jasna psy na MEiN oraz podległych mu kuratorach, które promują ten oraz podobne konkursy i akcje.

SZKOŁY „PRZYJAZNE LGBT”

Obok aborcji nieodłącznym elementem „edukacji” w szkołach spod

znaku tęczy jest promocja LGBT. Powstał nawet ranking „Top 10 szkół przyjaznych LGBT w 2022 r.”. Pięć z nich to placówki warszawskie, pozostałe znajdują się w Poznaniu, Lublinie, Gdańsku, Toruniu oraz Olsztynie. Zestawienie, na podstawie zebranych wśród uczniów ankiet, przygotował projekt LGBTplusMe, finansowany przez Forbidden Colours we współpracy z Regionem Stołecznym Brukseli. „Ranking Szkół Przyjaznych LGBTQ+ to nie jest zwykłe badanie społeczne. To narzędzie, dzięki któremu trafisz do bezpiecznej, otwartej i tolerancyjnej szkoły średniej” – tak opisano cel inicjatywy.

Obok aborcji nieodłącznym elementem „edukacji” w szkołach spod znaku tęczy jest promocja LGBT

Jednym z ważnych aspektów pozwalających na znalezienie się w rankingu jest zachęcanie uczniów do udziału w tzw. Tęczowym Piątku. Uczniom postawiono 19 pytań – sprawdzano m.in. to, czy osoby LGBTQ+ mogą brać udział w wydarzeniach szkolnych „bez względu na ich orientację psychoseksualną oraz to, jak traktowani są transpłciowi i niebinarni uczniowie”.

Zwycięzca tolerancjonistycznego zestawienia, czyli XXXVIII Dwujęzyczne Liceum Ogólnokształcące w Poznaniu (miasto objęło ranking patronatem), otrzymał tytuł „Bezpiecznej szkoły”. – Szacunek i akceptacja drugiego człowieka to jedno z założeń, które przyświecają nam w szkole. Chcemy, żeby każde dziecko czuło się u nas dobrze i bezpiecznie. Cieszę się, że uczniowie dzielą te wartości – powiedziała, odbierając tytuł, Elżbieta Marciniak, dyrektor LO.

Na piątym miejscu w rankingu znalazło się warszawskie Wielokulturowe Liceum Humanistyczne im. Jacka Kuronia, o którym głośno było m.in. za sprawą jednej z nauczycielek historii. Anna Dzierzgowska, która przedstawia się także jako „działaczka feministyczna oraz wielbicielka feminatywów”, zasłynęła skandaliczną aktywnością w mediach

społecznościowych. Na pewien czas swoje zdjęcie profilowe na Facebooku okraszała hasłem „Ch.j z wami, aborcje z nami” (oczywiście w wersji niecenzuralnej). Zawiódł się ten, kto oczekiwał, że dyrekcja zareaguje na taką postawę. Warto nadmienić, że Dzierzgowska jest „równościową trendsetterką”. Ponad dekadę temu, w 2011 r., stała się współautorką poradnika „Równościowe przedszkole: jak uczynić wychowanie przedszkolne wrażliwym na płęć?”.

DEKONSTRUKCJA PATRIOTYZMU

Wydaje się, że „Kuroń” jest szkołą, która wręcz przyciąga tego typu nauczycieli – dekonstruktorów myśli tradycyjno-patriotycznej. W lutym 2018 r. dwóch nauczycieli z tej szkoły napisało list do swoich uczniów. Tekst, będący odpowiedzią na dyskutowaną wówczas nowelę ustawy o IPN (która w pierwotnym kształcie zakładała karę grzywny lub więzienia za przypisywanie narodowi polskiemu odpowiedzialności za zbrodnie III Rzeszy), ukazał się m.in. we francuskim „Liberation”.

„»Naród polski« i instytucje państwa polskiego (jak również wszystkie inne »narody« i inne państwa) są odpowiedzialne za zbrodnie przeciwko pokojowi, zbrodnie przeciwko ludzkości i zbrodnie wojenne” – stwierdzili Sebastian Matuszewski i Piotr Laskowski. Dalej wskazywali, że „państwo polskie w czasie wojny – innymi słowy – rząd na uchodźstwie w Londynie, do czerwca 1942 r. odmawiało potępienia zbrodni przeciwko Żydom. Spotkało się to z milczeniem w audycjach w oficjalnym radiu i ciszą w prasie Polskiego Państwa Podziemnego”. Matuszewski i Laskowski zarzucali, że państwo zamyka usta tym obywatelom, którzy czują potrzebę pokajania się za rzekome zbrodnie dokonane przez Polaków w czasie drugiej wojny światowej. Zachwyty nad listem wyraziła „Gazeta Wyborcza”, która opublikowała całość.

Rzecz jasna, Wielokulturowe Liceum Humanistyczne aktywnie włącza się we wspomniany wcześniej „Tęczowy Piątek”. „Tęczowy Piątek spędziliśmy w warszawskim liceum WLH im. Jacka Kuronia. Zostaliśmy zaproszeni, żeby opowiedzieć o sytuacji osób LGBTQ+ w Ukrainie i o tym, jak próbujemy pomagać osobom uciekającym do Polski.

Było strasznie super, dużo informacji, bo opowiadania o Ukrainie nigdy dosyć, pytania i na koniec obowiązkowa foteczka przed wejściem!” – podała w październiku Fundacja Wrzenie, która zajmuje się „wspieraniem młodzieży LGBTQ+ oraz osób aktywistycznych, zajmujących się kłrowym aktywizmem”.

„Tęczowy Piątek”, inicjatywa Kampanii przeciw Homofobii, rozlał się na szkoły w całej Polsce. W 2019 r. była ona na tyle głośna, że portal Onet postanowił relacjonować ją (przypadała 25 października) w formule „minuta po minucie”. Ojciec uczennicy jednej ze stołecznych szkół tak opisywał akcję: „Każda klasa ma wybrany kolor, w jednej wszystkie dzieci ubrane na zielono, w drugiej na czerwono itd. Moja córka cała na fioletowo. Szkoła zapewniła też koszulki w odpowiednim kolorze, jeśli jakieś dziecko nie ma w szafie ubrań w danym kolorze”. Kolory były odzwierciedleniem kolorów znajdujących się na fladze, symbolu ruchu LGBTQ+. Piszac wprost: dzieci przychodziły do szkół ubrane w kolor symbolizujący np. konkretne preferencje seksualne. Dyrektorzy i nauczyciele w wielu szkołach, a także – jak widać – część rodziców nie widzieli w tym niczego niewłaściwego. Obok stroju tego dnia w niektórych szkołach gościli tzw. edukatorzy seksualni.

DEMOKRATYCZNY OBOWIĄZEK

Wicedyrektor I Społecznego Liceum Ogólnokształcącego „Bednarska” Bartłomiej Pielak powiedział, że „w XXI w. rozmowa z młodzieżą na każdy temat, szczególnie na temat, który dotyczy mniejszości, to obowiązek demokratycznego państwa”. W rozmowie z Onetem dodał: „Uważam, że »Tęczowy Piątek« to jest dobra możliwość do rozmawiania o dość ważnym temacie”. Akcję wsparł ówczesny rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar: – Polega ona na okazaniu szacunku uczniom, którzy mierzą się ze swoją tożsamością. Szkoła to także miejsce promowania wartości, tolerancji i akceptacji – przekonywał Bodnar w Polsat News.

Uczniowie warszawskiego Wielokulturowego Liceum Humanistycznego im. Jacka Kuronia zebrali się przed siedzibą MEN, aby protestować „przeciwko postawie Ministerstwa Edukacji Narodowej, ministra Piontkowskiego

i kuratorów” wobec obchodów „Tęczowego Piątku” (resort oraz kuratoria podkreślały, że szkoła nie jest miejscem promowania ideologii, akcji sprzeciwił się też Rzecznik Praw Dziecka).

Dyrektor Zespołu Szkół Ekonomicznych w Kaliszu Agnieszka Korotczuk zdecydowała, że w jej szkole „Tęczowego Piątku” nie będzie, jednak szybko pokazała się na łamach „Wyborczej”. „W naszej szkole »Tęczowy Piątek« się nie odbywa. To była pomyłka. Mam przez to teraz problemy i telefony od różnych osób” – poinformowała.

Władze Łodzi wsparły „Tęczowy Piątek” w sposób oficjalny. Z kolei w poznańskim Liceum Ogólnokształcącym św. Marii Magdaleny miało dojść do rzekomo spontanicznej reakcji młodzieży na fakt, że uczący tam ksiądz zdarł tęczowy plakat z tablicy ogłoszeń. „Dzieciaki wyciągają tęczowe flagi i śmigają w nich po całej szkole” – relacjonowała z entuzjazmem Grupa Stonewell. Całą sytuację potęgił dyrektor „Marynki”, będącej najstarszą szkołą ponadpodstawową w Poznaniu.

Warto zauważyć, że były miasta, w których, według oficjalnych informacji, na udział w akcji nie zdecydowała się żadna ze szkół – to np. Szczecin (choć pojawiały się doniesienia, że uczniowie wspierają „TP” na własną rękę, zakładając m.in. tęczowe przypinki) oraz Wrocław.

JEDYNA SŁUSZNA LINIA

Szkoły o „tęczowym” charakterze obok aborcji oraz ruchu LGBT mają na sztandarach także hasła demokracji, równości i otwartości. Dobrze widziane jest odżegnywanie się od wiary katolickiej, przy jednoczesnej afirmacji „religii świata”. Placówki te przyciągają w dużej mierze dzieci wychowywane w rodzinach o liberalno-lewicowym światopoglądzie. Wabikiem są nie tylko „neowartości”, lecz także innowacyjne, niestandardowe sposoby nauczania, najczęściej skupione na odnalezieniu i rozwijaniu indywidualnych potencjałów. O ile odejście od tradycyjnych metod może być sposobem na sukces, o tyle przemycanie przy tej okazji kwestii niezwiązanych z celami edukacyjnymi jest poważnym problemem, o którym trzeba głośno mówić.

To jednak trudne, ponieważ młodzieży uczęszczającej do „tęczowych

szkół” taki styl odpowiada. Facebookowa grupa Liceum im. Kuronia, prowadzona przez uczniów, jest wręcz przepełniona treściami zaangażowanymi ideologicznie. Wpis skierowany do byłych uczniów rozpoczyna się słowami: „Hej absolwenci, absolwenci i osoby absolwentki!”, a kończy się sformułowaniem: „Osoby członkowskie Inicjatywy Absolwentki”. Na profilu zachęcano też do wpłaty na konto „Franka, który marzy o mastektomii”. Z ogromnym entuzjazmem spotkała się fotorelacja ze „spaceru śladami osób queerowych”. W komentarzach pod wpisami na próżno szukać jakiegokolwiek głosu sprzeciwu wobec jedynej, słusznej linii. Podobną postawę prezentują uczniowie lubelskiego Liceum im. Paderewskiego, które w opisywanym wcześniej rankingu „przyjazności LGBTQ+” uplasowało się na drugim miejscu. – Jestem dumna, że nasza szkoła zajęła drugie miejsce. To odzwierciedla to, jaką szkołą jesteśmy. [...] Każdy może czuć się tutaj bezpiecznie, czuć się sobą – mówi jedna z uczennic.

Ministerstwo Edukacji i Nauki niewiele może z tym zrobić. – Poprzez administrację oświatową w terenie kontrolujemy, czy jest realizowana podstawa programowa, a także czy są przestrzegane prawa rodziców do tego, by kwestie wychowania były wyłącznie w ich gestii – mówi „Do Rzeczy” wiceminister Tomasz Rzymkowski. Zaznacza, że instrumentem wzmacniającym kompetencje kuratorów były dwie zawetowane przez prezydenta nowele prawa oświatowe. – Przepisy te miały lepiej zabezpieczać konstytucyjne prawo rodziców do wychowania. Szkoła odgrywa rolę wspomagającą w procesie wychowawczym, nie może prowadzić tego wychowania wbrew rodzicom – wyjaśnia Rzymkowski. – Nie jesteśmy arbitrami elegancji, nie zajmujemy się tym, czy coś jest ładne czy brzydkie. Rodzice mogą protestować, naciskać na organ prowadzący szkołę, aby wbrew ich woli nie wpuszczać do placówki np. edukatorów, którzy są tam niemile widziani. Istotą zawetowanej noweli było właśnie to, aby rodzice byli informowani, co się dzieje w szkole. Mamy w ministerstwie wiedzę, że są oni często zaskakiwani już po fakcie, iż dziecko brało udział w jakiejś pogadance – dodaje.

Polskie stoisko było największym na tegorocznej edycji Międzynarodowej Wystawy Książek TIBE na Tajwanie
FOT. ŁUKASZ JAROCKI/INSTYTUT KSIĄŻKI



Wolni z wolnymi

Tajwańscy dziennikarze oblegli Andrzeja Sapkowskiego już dzień przed otwarciem targów, tuż przed konferencją dla mediów, podczas której przedstawiano Polskę jako honorowego gościa tegorocznej edycji. Ale i oni nie byli pierwsi – pół godziny wcześniej mimo maseczki na twarzy (obowiązkowej w przestrzeniach pod dachem) człowiek, który wymyślił wiedźmina Geralta, został bezbłędnie (i z entuzjazmem) zidentyfikowany przez dziewczynę z wydawnictwa Gaea, które od 20 lat ma w ofercie chińską edycję sagi Sapkowskiego (wyprzedzili w tym Chiny kontynentalne).

Poniedziałek był ostatnim dniem przygotowań i rozstawiania stoisk, leciały



Piotr Gociek z Tajwanu

Po raz pierwszy w historii Polska była honorowym gościem na Międzynarodowej Wystawie Książek TIBE na Tajwanie. Było warto

jeszcze drzazgi z otwieranych skrzyń, robotnicy w kaskach montowali konstrukcje z sztyldami i podświetlanymi okładkami książek, na podłodze walały się rozcięte plastikowe taśmy i opróżnione kartony. Oprócz obsługi i personelu wydawnictw z całego świata do Taipei World Trade Center wpuszczono jedynie przedstawi-

cieli lokalnych mediów oraz miejscowych notabli (w tym wiceministra kultury, który wygłosił powitalne przemówienie). Okazało się, że w tej grupie Andrzej Sapkowski ma tylu fanów, co wśród zwykłych czytelników – to znaczy mnóstwo. I tak, nieoficjalnie, rozpoczęło się obłęzenie ścianki z logo „The Witcher”, gdzie można

było sfotografować się z polskim pisarzem (oraz z repliką wiedźmińskiego miecza).

CORAZ WIĘCEJ O POLSCE

Sapkowski jest tak rozpoznawalną światową marką, że wstydem byłoby niewykorzystanie go podczas takiej okazji – Polska była w tym roku gościem honorowym TIBE (Taipei International Book Exhibition), Międzynarodowej Wystawy Książek (będę dla uproszczenia pisał po prostu: targi), która odbywa się w Tajpei od 1987 r. Dla polskich uszu wszystko to brzmi bardzo egzotycznie, ale TIBE to jedna z największych imprez tego typu na świecie. Ważna nie tylko dlatego, że to wrota do rynków azjatyckich (wystawcy z Japonii i Korei Południowej uważają udział w nich za obowiązkowy), lecz także dlatego, że wielką uwagę na to, co dzieje się w Tajpei, zwracają wydawcy i agenci z Australii czy USA. Oni akurat Sapkowskiego już znają, ale na największym stoisku tegorocznej edycji – znaczy na polskim stoisku – wszyscy mogli znaleźć dużo więcej materiału do przemyślenia. I wszyscy byli ciekawi, bo nie opada fala zainteresowania Polską – krajem, który dzięki pomocy dla Ukrainy nagle stał się dużo bardziej rozpoznawany i ciepło postrzegany.

Nie uciekniemy od polityki: w dniu oficjalnego otwarcia, dzień później, było już najpoważniej, jak być może, bo w ceremonii wzięła udział prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen, a na ciepłe słowa o radości czytania i o Polsce odpowiadał z ekranu w nagrany wystąpieniu wicepremier i minister kultury Piotr Gliński. Gdy wstąpić się uważnie w liczne wygłoszone tego dnia mowy, widać od razu, że obie strony mają wspólny cel, ale nieco różne motywacje. „Znamy wiele przykładów na to, że kultura okazała się doskonałym narzędziem służącym zwiększaniu porozumienia między narodami” – argumentował Gliński i zachwalał polską literaturę. W mowach tajwańskich polityków powtarzała się natomiast najczęściej fraza, że Polska i Tajwan wyznają podobne wartości: cenią wolność i demokrację i że oba muszą tych wartości bronić, żyjąc w cieniu potężnego, agresywnego sąsiada.

Na Tajwanie bardzo uważnie czyta się nie tylko literaturę, lecz także analizy geopolityczne. Radykalny wzrost znaczenia Polski dla układu bezpieczeństwa międzynarodowego został tu natychmiast

Na Tajwanie bardzo uważnie czyta się nie tylko literaturę, lecz także analizy geopolityczne. Radykalny wzrost znaczenia Polski dla układu bezpieczeństwa międzynarodowego został tu natychmiast dostrzeżony

dostrzeżony. Stany Zjednoczone, pomagając Ukrainie, nie tylko układają nowy ład w Europie i walczą z rosyjską agresją; zdają także egzamin z tematu „Rola kluczowego sojusznika w chwili zagrożenia”. A Tajwan, nieustannie zagrożony przez chińską inwazję, jest dziś, podobnie jak Ukraina i – szerzej – Europa Środkowa, jednym z tych miejsc, w których decyduje się przyszłość świata.

Polityka przeplata się z literaturą. Bei Ling, chiński poeta i wydawca, którego spotkałem na polskim stoisku, został w 2000 r., po krótkim areszcie (i międzynarodowych protestach), deportowany z Chin kontynentalnych. Wiedzie odtąd życie emigranta w Stanach Zjednoczonych. Pojawił się, by opowiedzieć o nielicznych tłumaczach polskiej poezji na chiński, a także podzielić się własną fascynacją twórczością naszych wybranych poetów (ostatnio Adam Zagajewski). Dla Bei Linga formującym doświadczeniem były wydarzenia na placu Tiananmen w roku 1989. Kilka lat później uruchomił pismo skupiające twórców podziemnego ruchu literackiego. Gdy go aresztowano, zarzut był oczywisty: „nielegalna działalność wydawnicza”.

Wiele czasu i wiele krwi upłynęło od tamtej pory. Tajwan pamięta o ofiarach komunistycznego reżimu – na ulicach Tajpei spotkać można stałe pikiety protestu przeciw łamaniu praw człowieka i niszczeniu wolności religijnych. Przed południowym wejściem do słynnej wieży Taipei 101 (do niedawna najwyższy budynek świata) mała wystawa szokujących fotografii. Po angielsku tylko jedno zdanie, ale najważniejsze: „Chińska partia komunistyczna prześladowa chrześcijan, katolików, Ujgurów, tybetańskich buddystów i członków Falun Gong”.

„Polska jest zawsze tam, gdzie jest polski duch, a duch ten zaklęty jest w polskiej literaturze” – mówił Dariusz Jaworski, dyrektor Instytutu Książki, który wraz z Biurem Polskim w Tajpei przygotował stoisko i program finansowane przez polskie MKiDN (partnerami byli też Instytut Adama Mickiewicza, Instytut Pileckiego i Biblioteka Narodowa). A skoro polski duch, to polskie dzieje: pośrodku polskiego stoiska długa ekspozycja „Historia Polski w dwudziestu czterech książkach” (autor: prof. Krzysztof Koehler) – w układzie chronologii dziejów, a nie powstawania utworów, zatem od dziejów bajecznych w „Starej baśni” Kraszewskiego i miksu historii z fantazją u Cherezińskiej, przez Kochanowskiego, „Potop” Sienkiewicza, „Księgi Jakubowe” Tokarczuk, „Wieszanie” Rymkiewicza, aż do unikatowego polskiego spojrzenia na krwawy wiek XX: Rembek, Świrszczyńska, Borowski, Miłosz, Herbert, Wojtyła. Opowieść zamyka „Dolina Nicości” Bronisława Wildsteina, któremu zdrowie nie pozwoliło przybyć na targi, ale podobnie jak filozof Piotr Nowak zaznaczył swoją obecność poprzez nagraną wcześniej i pokazywaną na targach rozmowę. Książki jednego i drugiego właśnie mają premiery w języku angielskim. Co ma piernik do wiatraka? Jak z uśmiechem objaśniał mi pewien lokalny Polak, znawca duszy tajwańskiej, nic tak nie zachęca miejscowych wydawców do zakupu praw, jak argument: „Wszyscy inni już to mają” (czytaj: Francuzi, Niemcy, Amerykanie).

MODA I SUKCES

No dobrze, ale jak sprawić, żeby czymś zainteresowali się „wszyscy inni”? Lekcja z TIBE 2023 jest oczywista – najlepszą modą jest sukces, i to sukces niekwestionowany. Locust Publishing Company z Tajpei wybrało drogę najbardziej oczywistą. W małym zakątku dużego stoiska opatrzoną polską flagą leży sześć rozmaitych tytułów Olgi Tokarczuk, a na wielkiej tablicy reklamowej widnieją, jako magnes dla czytelnika, cztery nazwiska: Annie Ernaux, Olga Tokarczuk, Bob Dylan, Albert Camus; zatem cztery literackie Noble. Do tego dwie książki Janusza Korczaka, więcej nic. Na uroczystej kolacji wydanej ku czci polskiej delegacji sympatyczna Liwen Lin pokazuje mi katalog Locusa z przekładami polskiej literatury. Mieści się na



Sapkowski jest tak rozpoznawalną światową marką, że wstydem byłoby niewykorzystanie go podczas takiej okazji

FOT. ŁUKASZ JAROCKI/INSTYTUT KSIĄŻKI

dwóch jednostronnie zadrukowanych stronach z wielkimi obrazkami. Oprócz wymienionych już nazwisk Czesław Miłosz, Wisława Szymborska (dwa „starsze” Noble widać nie są na tyle chwytliwe, by znaleźć się na reklamowej ścianie) czy Brunon Schulz.

Ale nie każdy pisarz z Polski może dostać Nobla. W świecie globalnej kultury druga droga do sławy – i na półki także tajwańskich wydawców – wiedzie przez popularną światową franczyzę. I tak się składa, że dwie akurat mamy. O obleganym przez media i fanów Andrzeju Sapkowskim wspominałem (wiadomo, fenomen gry, serial, świetne książki, chwytliwy podgatunek). Ale na polskim stoisku miało także ogłoszenie ważnego kroku związanego z inną marką – polską grą wideo „Cyberpunk 2077” firmy CD Projekt Red. Gra zaczęła obierać komiksami, powstał też animowany serial Netflixa „Cyberpunk 2077: Edgerunners”. Jednym z autorów scenariusza był popularny autor książek dla młodzieży, a także dorosłej fantastyki, Rafał Kosik. I teraz uwaga: jak ujawniono w Tajpei, pierwsza powieść, której akcja rozgrywa się w uniwersum „Cyberpunk 2077”, ukaże się w sierpniu jednocześnie w USA i Wielkiej Brytanii (obie edycje nakładem Orbit) oraz w Polsce nakładem Powergraphu, czyli oficyny założonej przez Rafała Kosika i Katarzynę Sienkiewicz-Kosik. Na stoisku Powergraphu obejrzeć można było makietę książki, która nosić będzie tytuł „No Coincidence”. Nie

było na targach fana SF, który nie chciał jej sfotografować.

Tyle że kultura to nie tylko supermarket Netflixa. Co z resztą? Tu zaczynają się schody oraz powstaje pole do popisu dla kreatywności. Ważną częścią polskiej wystawy w Tajpei była ekspozycja dzieł polskich grafików ilustrujących książki dla dzieci, od klasyków złotego wieku do twórców współczesnych (za tę część odpowiadał Instytut Adama Mickiewicza kierowany przez Barbarę Schabowską), których godnie reprezentowała Marianna Oklejak. O komiksie opowiadał scenarzysta Bartosz Szybor, można było na specjalnej sesji zagrać w polskie gry planszowe z nieśmiertelnym „Super Farmerem” na czele. I show kulinarny połączony z degustacją polskiego jedzenia, a prowadzony przez parę popularnych na Tajwanie youtuberów – polsko-chińskie małżeństwo. A oprócz tych efektownych popisów – w kuluarach cierpliwe rozmowy z wydawcami chińskimi o innych, sprawach: polskiej poezji, czy naszej literaturze non-fiction.

Z tą ostatnią jest kłopot. Choć mamy świetnych, światowej klasy twórców (do Tajpei zaproszono szeroko przekładanych Stanisława Łubieńskiego i Witolda Szabłowskiego), to – jak powiedział mi prywatnie jeden z wydawców – zagraniczni partnerzy nie spodziewają się po Polsce tego typu atrakcji. Ton w światowych dyskusjach nadają gwiazdy świata anglosaskiego, do polskich propozycji

non-fiction często podchodzi się podejrzliwie: że pewnie zbyt lokalna, że Polacy nie mają nic ciekawego do powiedzenia, bo nowatorski to jest Yuval Harari. Osobiście wątpię (i w jakość, i w nowatorstwo tego ostatniego), streszczam jednak dominujący kierunek myślenia.

Najczęstsze zapytania to te o „literary fiction” (również zahaczając o powieści fantastyczne czy polski realizm magiczny), największym zasięgiem przekładów swoich książek mogło z kolei pochwalić się w Tajpei wydawnictwo Dwie Siostry, którego książki dla dzieci znane są w kilkudziesięciu krajach (znów: ten przykład pokazuje, że nie doceniamy roli dobrej ilustracji, a przecież Polska grafikami stoi).

OBSZAR WIELKICH WYZWAŃ

Cała reszta to obszar wielkich wyzwań dla polskich pisarzy znanych i nieznanymi, dla wydawców małych i dużych (byli w Tajpei wysłannicy PIW, GW Foksal, Wydawnictwa Literackiego czy Naszej Księgarni), dla agentów. I dla polskich instytucji, które oby spisywały się tak efektownie, jak tworząc stoisko na TIBE 2023. Wspomnę, bo zasłużyli (oprócz wcześniej wspomnianych instytucji): projektantka Anna Skołożyńska-Cieciera (ASC Studio) i miejscowy wykonawca Wendy Li. Nieocenioną pomocą w organizacji całego przedsięwzięcia wykazał się Cyryl Kozaczewski, dyrektor Polskiego Biura w Tajpei, pełniącego rolę nieformalnej ambasady na Tajwanie. Wysiłek się opłacił. Od pierwszych chwil pojawiają się na TIBE także Polacy żyjący na Tajwanie, w tym stali bywalcy targów. Mają dla nas dobrą wiadomość – nikt z dotychczasowych gości honorowych (m.in. Francja czy Węgry) nie miał tak obszernej i efektownej zaprojektowanej ekspozycji.

Jak się to wszystko skończyło, napisać nie mogę, bo impreza trwa do niedzieli, a w chwili, gdy piszę te słowa, czas wysyłać do druku tygodnik, noc z czwartku na piątek zapada nad Tajpej, miastem żyjącym w cieniu wieży Taipei 101 i w cieniu mrocznego mocarstwa na kontynencie. Poszukajcie zdjęć z TIBE 2023 na stronie Instytutu Książki. Ja tymczasem udam się na kolejne spotkanie, by sprawdzić, jakiej odpowiedzi spróbuje udzielić prof. Koehler na pytanie, czy Polska jest nadal krajem poetów.

© All rights reserved

Requiem dla Lisy Marie



Lisa Marie Presley zmarła w wieku 54 lat

FOT. CHRISTOPHER POLK/GETTY IMAGES



Joanna Bojańczyk

W tej historii jest wszystko, co znamy z hollywoodzkich życiorysów. Marzenia o sławie, nieudane związki, depresja, narkotyki. Lisę Marie Presley, córkę Elvisa, znaleziono martwą w rezydencji w Memphis. Zmarła prawdopodobnie na skutek przedawkowania leków

Na drodze do samozniszczenia Lisa Marie Presley znalazła się już w wieku dziewięciu lat, gdy zmarł Elvis. Potem były narkotyki, szukanie pocieszenia w scjentologii, cztery małżeństwa, wreszcie samobójcza śmierć 20-letniego syna Benjamina w roku 2020. Po tym ciosie Lisa Marie Presley już się nie podniosła. 10 stycznia znalezioną ją martwą w Gracelandzie, odziedziczonej po ojcu posiadłości Presleya w Memphis, Tennessee. Miała 54 lata.

Na murze ośmiopokojowej rezydencji ze złotymi łazienkami fani zostawiali kwiaty i pisali wiadomości. Nie od razu było jasne, jaka była przyczyna śmierci. Priscilla zapewniała, że córka znajdowała się pod stałą opieką lekarzy.

Jeszcze pięć dni wcześniej Lisa Marie była na ceremonii Golden Globów w Hiltonie Beverly Hills, gdzie nominację otrzymał film Baza Luhrmanna „Elvis”. Z trudem pokonywała schody, uwieszona na ramieniu dawnego menedżera, 80-letniego Jerry’ego Schillinga. Błada, żując gumę, martwym głosem wydobyła z siebie pochwałę dla głównego aktora Austina Butlera.

SŁAWA OD URODZENIA

A zaczynało się tak pięknie. Dla Lisy Marie urodzonej 1 lutego 1968 r., równo dziewięć miesięcy po ślubie Elvisa Presleya z Priscillą, nic nie mogło być za drogie ani za piękne: zabawki, futra, bransoletki z brylantami. Aby pokazać jej śnieg, Elvis zabrał ją do stanu Utah samolotem nazwanym imieniem Lisa Marie. Convair 880 stoi do dziś w Gracelandzie. **41**

■ Tylko czy drogie prezenty mogły czteroletniemu dziecku osłodzić klęskę rozvodu rodziców? O spokojne dzieciństwo trudno było w rezydencji Presleya. W dzień ze wszystkich stron wspinający się na mur fani z aparatami w rękach, błagający o zdjęcie idola. W nocy dom rozbrzmiewający odgłosami prób ojca. W nocy pracował, w dzień spał.

Mimo to w książce „Elvis by the Presleys”, wydanej w 2005 r. jako zbiór wspomnień córki i żony, Lisa Marie wspomina ojca z czułością: „Ojciec nigdy niczego nie ukrywał. Nie był dwulicowy, nie wywyższał się. Jak zrzędził, mogłam to poczuć. Jak był zły, wiedziałam, że jest zły. Swoim charakterem dałby Darthowi Vaderowi szansę na zdobycie pieniędzy. Ale gdy był szczęśliwy, wszyscy wokół byli szczęśliwi”.

Ofiarą uzależnień stał się również Ben, ukochany syn, z którym Lisę Marie łączyła wyjątkowa więź. Był dla niej w jakiś sposób reinkarnacją Elvisa

W tej samej książce Priscilla Presley opisała czułość ojca dla małej córeczki.

„Dwa razy dał jej klapsa w pupę. Raz, kiedy pomazała aksamitną kanapę kredkami, drugi raz, gdy ignorując jego ostrzeżenia, podeszła zbyt blisko do basenu. Po tych klapsach Elvis był całkiem załamany. Wyglądał, jakby popełnił najcięższą zbrodnię”.

Podobnie jak wiele dzieci gwiazd hollywoodzkich nastoletnia Lisa też chciała mieć normalne życie, jak inni rówieśnicy. Ale jej dom nie przypominał domów innych dzieci. Ona była córką Presleya.

„Wielu moich kolegów z klasy zwróciło, inni umarli, jeszcze inni są na odwyku albo zostali bohaterami skandali” – zwierzyła się tygodnikowi „Paris Match” w roku 2008.

Zaczynają się ucieczki, awantury domowe z matką. Szesnastolatce udaje się wyjść cało z szalonej jazdy uliczkami Beverly Hills. Z narkotycznej sypialni budzi się po 72 godzinach. „Nigdy nie



Elvis Presley i Priscilla Presley z córką Lisą Marie, 5 lutego 1968 r.

FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

widziałam, żeby ktoś wciągnął tyle kokainy” – powie o niej przyjaciółka.

Żeby uchronić córkę przed pokusami „substancji” i ucieczkami, Priscilla zamyka ją w domu. Szukając zajęcia, Lisa wciąga się w lekturę książek scientologicznych i staje się wyznawczynią Rona Hubbarda, proroka Kościoła scientologicznego z Los Angeles. Scientologia nie ma dobrej opinii, ale to ona prawdopodobnie uratowała dziewczynę przed przedawkowaniem. To chwila normalnego życia dla Lisy. Wychodzi za mąż za Danny’ego Keougha, rodzi dwoje dzieci: Riley i Benjamin.

W roku 1998 mija okres moratorium testamentu i Lisa może wreszcie

otrzymać pieniądze ze spadku po ojcu. Trzynastostronicowy testament zawiera listę wszystkich dóbr, które odziedziczy, poczynawszy od ciemnych okularów i zabawek dla psa aż do posiadłości w Graceland, która jest najbardziej po Białym Domu odwiedzanym obiektem w Stanach Zjednoczonych, w roku 1982 ustanowionym jako muzeum. Lisa ma na koncie 200 mln dol., ale pieniądze nie sprawiają jej radości.

CÓRKA SWEGO OJCA

Ma charakter buntowniczy; wybierając karierę muzyczną, wie, że będzie musiała się zmierzyć z mitem

ojca. Zapracować na sławę nie jest łatwo, gdy jest się córką Elvisa. „Staram się być artystką. Staram się nie być tylko córką Elvisa Presleya. Ale też od tego nie uciekam” – powiedziała Lisa w 2003 r. w wywiadzie dla „New York Timesa”. Jednak jako artystka pozostała niczym więcej jak córką. Nagrała trzy albumy, żaden nie stał się hitem. Przy okazji wydanego w roku 2012 „Storm and Grace” wyznała: „Wiem, że nie udało mi się uciec od sławy ojca”.

Za to medialnym hitem stało się jej małżeństwo z Michaeliem Jacksonem zawarte w roku 1994. Córką króla rocka z królem popu! To była światowa sensacja, zakłócona tylko przez plotki, że do małżeństwa doszło głównie po to, aby przykryć podejrzenia o pedofilskich zachowaniach Michaela Jacksona. Początkowo wszystko układa się dobrze, zakochana małżonka zmienia nawet nazwisko na Lisa Marie Presley-Jackson. Dziennikarze usiłują wywęszyć, czy małżonkowie uprawiają seks. „Tak” – powie później Lisa magazynowi „Rolling Stone” i potwierdzi to w wywiadzie z Oprah Winfrey. „Ale od seksu Jacko wolał spędzać wieczory, czesząc mnie i robiąc mi makijaż. Na poduszce było zawsze pełno podkładu. Tak, jakbym spała z kobietą”. Z czasem stosunki między małżonkami zaczęły się psuć; w roku 1995 nastąpiła separacja, wkrótce po niej związek się zakończył.

Po Jacksonie następuje kolejny adept show-biznesu – aktor Nicolas Cage, wielki fan Elvisa, siostrzeniec Francis Forda Coppola. Ślub scientologiczny na Hawajach, kolejne zauroczenie, kolejna porażka. Para rozstaje się po trzech miesiącach. „Mentalnie mieliśmy oboje po 12 lat. Wzloty były wspaniałe, ale upadki to było samo dno”.

Kurtyna zapada na jakieś 20 lat. To chwila spokoju i życia rodzinnego w Calabasas, północnej dzielnicy Los Angeles, rezerwacie celebrytów. Basen, solarium, sala masażu, sala kinowa. Sześć pokoi, 700 metrów i wspaniały widok na wzgórze. Ze związku z czwartym mężem, Michaeliem Lokwoodem, przychodzi na świat bliźniaczki: Harper Vivienne i Finley. Zakupy w supermarkecie, gdzie, jak donosiły wścibskie lokalne gazety, pani Presley polowała na zniżkowe

kupony. Małżeństwo z Lokwoodem rozpadnie się po 10 latach.

I to wtedy niespokojny duch przypomni o sobie.

TO CUD, ŻE ŻYJESZ

W roku 2018, w czasie wywiadu promującego trzecią płytę, Lisa Marie po raz pierwszy przyznaje się publicznie do problemów z uzależnieniem od opioidów. Wtedy liczbę Amerykanów uzależnionych od tych substancji oceniano na dwa miliony. Codziennie umiera 90 z nich. „Mój psychiatra mówi, że to cud, że jeszcze żyję” – wyznaje wtedy.

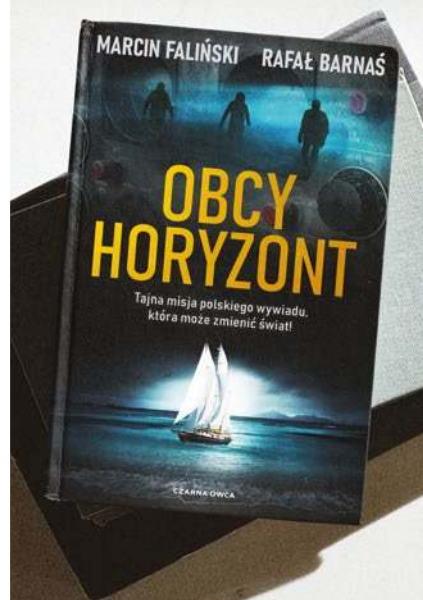
W przedmowie do książki „Stany Zjednoczone opioidów. Przepis na uwolnienie kraju od bólu” Presley opisała swoją walkę z uzależnieniem, które, jak twierdzi, zaczęło się po tym, gdy w roku 1988, po urodzeniu bliźniaczek, zaczęła brać środki przeciwbólowe. Miała wtedy 40 lat. „Lekarz przepisał mi lekarstwa na ograniczony czas używania. Ale kiedy spróbowałam, miałam ochotę brać dalej. Nie jestem doskonała. Mój ojciec nie był doskonały, nikt nie jest. Uczysz się, jak z tym walczyć, a potem starasz się pomagać innym”.

Ofiarą uzależnień stał się również Ben, ukochany syn, z którym Lisę Marie łączyła wyjątkowa więź. Był dla niej w jakiś sposób reinkarnacją Elvisa. Oboje wytatuowali sobie taki sam deseń na stopie. Chłopak próby samobójcze podejmował już wcześniej, ta z 12 lipca 2020 r. okazała się skuteczna. Ten cios całkowicie załamał matkę.

Magazynowi „People” wyznała: „Śmierć mojego syna zniszczyła życie moje i moich córek. Wbrew temu, co się często mówi, czas nie jest w stanie uleczyć bólu. Ból zostaje i trzeba z nim żyć. Na początku otaczają cię bliscy, miesiąc później, jeśli masz szczęście, pytają, co słyszeć”. I także: „Zakładając, że śmierć bliskiej osoby jest tak tragiczna, wiesz, że ty także będziesz się czuła nią naznaczona. Codziennie odczuwam poczucie winy”.

8 stycznia Lisa Marie wróciła do Memphis, aby uczcić 88. urodziny ojca. Cztery dni później guwernantka znalazła ją bez oznak życia. Reanimacja się nie udała, do szpitala dowieziono pacjentkę w stanie śmierci klinicznej. © Wszelkie prawa zastrzeżone

**Tajna misja
polskiego
wywiadu,
która może
zmienić świat!**



**premiera
08.02.2023**

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Żeby cię lepiej zjeść



★★★★★
REŻ. MARK MYLOD
„MENU”
(„THE MENU”)
USA 2022

wyst. Anya Taylor-Joy, Nicholas Hoult, Ralph Fiennes

Bogacz złem wcielonym – to mantra popkultury ostatnich lat, czasem satyryczna, jak w serialu „Biały Lotos”, czasem marksistowska do bólu, jak u Rubena Östlunda w nagrodzonym Złotą Palmą (mocno na wyrost, moim zdaniem) filmie „W trójkącie”. Czarna komedia Marka Myloda bliższa jest temu pierwszemu spojrzeniu, zresztą jej twórca dał się poznać w ostatnich latach jako reżyser niejednego epizodu „Sukcesji”, która na szczęście jednowymiarowa nie była (za to bardzo zabawna).

Do luksusowej restauracji na niewielkiej wysepce przybywa grupa wyselekcjonowanych gości, by za grube pieniądze zaznać kulinarnych rozkoszy niedostępnych zwykłym śmiertelnikom. Jedni bogaci i zblazowani, inni lśniący przebrzmiałą sławą celebrytów

(aczk wcióż bogaci), jeszcze inni dopiero aspirujący (z nadzieją na bogactwo, acz na razie cieszący się z samego otarcia o wyższe sfery). Młody Tyler (Nicholas Hoult) jest jednym z tych ostatnich, z entuzjazmem zachwycając się tym, co dla pozostałych towarzyszy podróży jest raczej oczywiste. Towarzyszy mu Margot (Anya Taylor-Joy), sarkastycznie komentująca wszystko, co im się przytrafi. A przytrafi się więcej, niż oczekują, gdyż mistrz ceremonii, znany na całym świecie szef kuchni maestro Slowik (Ralph Fiennes), zamierza wyładować na gościach swoje głębokie frustracje.

Od haute cuisine do makabry niczym z horroru – bogaci na litość nie zasługują, aczkolwiek oryginalne jest tu wytłumaczenie głębokiej niechęci pana Slowika do wszystkich nadzianych i przeżartych klientów. Otóż oni to odpowia-

dają za jego nieszczęście, którym jest utrata wiary w sens tego, co się robi. Przez nich z ukochanego zawodu czerpać już satysfakcji nie może. Rada byłego prezydenta Komorowskiego (zmień robotę i weź kredyt) nie wchodzi w grę, pozostaje krwawa pomsta. Wszystko to jest przeżabawne, bo Mylod doskonale prowadzi ansamblu dobrych aktorów (co zresztą pokazywał wcześniej w „Sukcesji”), i tak film, który bez echa przemknął przez ekrany polskich kin, stał się wielkim hitem styczniowego streamingu, lokując się w czołówce najchętniej oglądanych premier. W finale rzecz okaże się bezwstydną populistyczną, ale przesłanie wydajdzie poza standardowe narzekanie na wstrętnych bogaczy: świat miałby się lepiej, gdybyśmy umieli cieszyć się z rzeczy drobnych. Czy dotyczy to tylko krezusów? Nie tylko. ©©

NOWE SERIALE: „KOWBOJKA Z KOPENHAGI”

Tajemnicza Miu (Angela Bundalovic), z początku wydaje się ofiarą, potem cudotwórczynią, a potem mścicielką. Miu kupowana jest przez kobiety pragnące cudu – zająć ją w ciążę – jako talizman, który to umożliwi. Jednocześnie znajdziemy ją na drodze krwawej zemsty za doznaną krzywdę,

wszystko to zaś ubrane jest w nadnaturalną walkę dobra ze złem. Nicolas Winding Refn („Pusher”, „Drive”, „Neonowy demon”) stworzył wystylizowaną do przesady opowieść neo-noir. Nie dla wszystkich, ale jego fani będą zachwyceni. ©© **Piotr Gociek**
• sez. 1 „Kowbojka z Kopenhagi”, Dania

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „Zapomniana dolina” („Vale Dos Esquecidos”), Brazylia 2022
- reż. Parker Finn „Uśmiechnij się” („Smile”), USA 2022
- miniserial „Miliony Gunthera” („Gunther's Millions”), USA 2023



Hej, łopaty w dłoń!

KINO

Film Mateusza Głowackiego nie ma nic wspólnego z maszynką do zarabiania pieniędzy zwaną „polską komedią romantyczną” i już za to należy mu się plus dodatni. Jest przedstawicielem cyklu trochę bardziej ambitnego, któremu przyświeca motto: „Rodacy, co się z nami stało?”.

Bo – jak wiadomo – Polak z Polakiem rozmawiać nie umie, potrafi się tylko kłócić. Chrzczyny, pierwsza komunია, wesele czy stypa – każda okazja jest dobra, by doszło do czołowego zderzenia patriotów ze światowcami, ateuszów z dewotami, małorolnych z drobniomieszczanstwem tudzież arogancji z hipokryzją. Łączy nas tylko wódka. Starzych zatrzał jad nienawiści. A co z młodymi? Żyją w świecie

wirtualnym, od prawdziwego się odcięli. Na tym tle dziadek, który kocha mizerię, sąsiadkę i piosenki Karela Gotta, jawi się gigantem. Niestety, umiera już w pierwszej scenie, zostawiając zaskakujący testament oraz zwycięski kupon loterii, włożony do kieszeni marynarki, w której go pochowano. Zanim jednak w ruch pójda łopaty, skłócona rodzina musi ustalić, komu i ile się należy. Scenarzyści wysyłają sygnały, że stać ich na więcej, cytują Kieślowskiego („Pamiętaj, nic nie musisz”), lecz jeśli

rzecz ogląda się bez bólu, to dzięki aktorom, którzy po raz kolejny ratują polski film przed hańbiącą śmiercią przez utopienie w bagnie stereotypów. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. MATEUSZ GŁOWACKI
„MASZ CI LOS!”
POLSKA 2023

wyst. Robert Wabich, Izabela Kuna, Sonia Bohosiewicz



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE

DAMA W OPAŁACH

KINO

Ludzie, cyrk przyjechał! Kto by pomyślał, że spotkanie byłej dziewczyny Bonda, niegdysiejszego pupila Indiany Jonesa i gwiazdy klasycznego horroru, przyniesie takie skutki. Sięgnięcie po wykonawców, po których nie spodziewaliśmy się już niczego nowego, było częścią szatańskiego planu. Kwan

i Scheinert, agenci chaosu, pędzą z akcją na złamanie karku. Przez ponad godzinę na ekranie panuje radosna anarchia. Idea światów równoległych (w jednym z nich ludzie zamiast palców u rąk mają parówki) nigdy nie została wyłożona z takim impetem. Chłopaki lubią rozwałkę, lecz w gruncie rzeczy to film dla pań. Mamy tu kobiecy kryzys wieku średniego (bohaterka odkrywa, że jest najgorszą wersją samej siebie), a kluczowe dla fabuły są relacje matka – córka. Jedenaście oscarowych nominacji robi wrażenie. Zważywszy na nowe hollywoodzkie trendy, może się jednak skończyć triumfem tylko w jednej kategorii: montażu. ©©



★★★★★

REŻ. DAN KWAN, DANIEL SCHEINERT
„WSZYSTKO WSZĘDZIE NARAZ”
USA 2022

wyst. Michelle Yeoh, Ke Huy Quan, Stephanie Hsu

SKANDALICZNIE UTALENTOWANA **arte**

Dokument o pannie z dobrej rodziny, która nie dostała się na studia, więc dla zabicia czasu napisała powieść epatującą seksem przed- i pozamążerskim. W 1954 r. to była sensacja. Wydawca zwęszył szansę na wywołanie skandalu. Pomogła krytyka, nazywając dzieło debiutantki „arcydziełem cynizmu

i okrucieństwa”. Françoise Sagan, zwana nad Wisłą Saganką, znalazła się w jądrze cyklonu. Choć pseudonim wzięła z prozy Prousta, a tytuł z poematu Éluarda, to zirykowała literackie salony, które uznały ją za „gwiazdeczkę”. Na próżno zapewniała, że „Witaj smutku” to nie autobiografia, i broniła się przed rolą następczyni Colette tudzież rzeczniczki młodego, zbuntowanego pokolenia. Dla jankesów była „Jamesem Deanem w spódnicy”. Dziś Francuzi z łezką w oku wspominają czasy, gdy dyktowali światu intelektualne mody, a fragmenty powieści czyta Catherine Deneuve. ©©

★★★★★

REŻ. PRISCILLA PIZZATO
„FRANÇOISE SAGAN. WITAJ, SMUTKU: KSIĄŻKA, KTÓRA WSTRZĄSNĘŁA FRANCJĄ”
FRANCJA 2022



Wiesław Chelminiak

GRA TYGODNIA: „DEAD SPACE REMAKE”

Kiedy wychodziła pierwsza część trylogii „Dead Space”, gracze, którzy dziś łapią się na minimalny wiek PEGI dla tego tytułu, byli dumnymi użytkownikami nocników. Po 15 latach gra wciąga i straszy równie mocno. Remake zrobiony jest porządnie, uno-

wocześnia tytuł i wprowadza sporo dobrych zmian. Przypomnijmy: jako uczestnik misji naprawczej trafiamy na statek kosmiczny, z którym utraciono łączność. Okazuje się, że czeka nas tam walka o przetrwanie. Kto nie próbował, koniecznie niech nadrobi.



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE

★★★★★

Kto już raz to przeżył... niech spróbuje przeżyć i drugi. Świetny tytuł! ©©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** survival horror, akcja, TPP
- **Platforma:** XSX, PS5, PC
- **Producent, dystrybutor:** Motive Studio, Electronic Arts

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Celnie i smacznie

Wbrew pozorom nie potrzeba wcale wielu słów, by opowiedzieć nie tylko ciekawie, lecz także – paradoksalnie – wyczerpująco o dziesiątkach ważnych pisarzy i ich dziełach. Tak właśnie zrobił Marcin Gugulski, wydając „Moje ulubione książki o Warszawie”, w których napisał o 76 autorach, czasem w kilku zdaniach, czasem w kilkudziesięciu, ale zawsze celnie i smacznie. Było to możliwe po pierwsze dlatego, że sam nie jest literaturoznawcą (przypomnę, że działał w opozycji demokratycznej, był bliskim współpracownikiem Jana Olszewskiego i rzecznikiem prasowym jego rządu, parał się też dziennikarstwem), a jedynie synem legendarnego warszawskiego polonisty, Ireneusza Gugulskiego, dzięki czemu o istotnych dla siebie książkach mówi z pasją, często z miłością, ale nigdy jak zawodowy krytyk – i chwała mu za to, a po drugie, w jedną całość zebrał tu podredagowane nieco noty, które wcześniej poumieszczał na Facebooku, z natury rzeczy lapidarne. Tym samym Facebook choć raz do czegoś sensownego się przydał.

Właściwie nie wiadomo, czy bardziej interesują autora pisarze i ich utwory, skądinąd gęsto cytowane, czy wizerunek Warszawy, który z nich się wyłania. Niekiedy zdarza się nawet, że trudno wskazać na związki konkretnego autora z nadwiślańską stolicą, ale nie ma to większego znaczenia. Ta, rozpisana na odcinki, opowieść przede wszystkim oddaje hołd naszej historii, przypominając strofy i zdania, które w dziejach tych znaczyły więcej niż literatura. Były ich tworzywem i krwią serdeczną.

Opowiada więc Marcin Gugulski o Gajcym, posiłkując się „Śpiewem murów”, o Lechoniu wspartym o „Rejtana”, o Herbercie i jego „Guzikach”. Ale prawdziwie zachwyciło mnie wspomnienie błogosławionego Ładysława z Gielniowa, bernardyna i kaznodziei, patrona Warszawy, pierwszego – przed Rejem! – polskiego poety, twórcy jakże niepoprawnego dzisiaj, sławnego niegdyś, a obecnie budzącego zgrozę wiersza „Jezusa Judasz przedał za pieniądze nędzne”. Jak również odkurzenie pięknej elegii Franciszka Karpińskiego „Powrót z Warszawy na wieś” („Otóż mój dom ubogi! Też lepienie ściany...” itd.).

Czytamy dalej np. o innym Karpińskim – Jakubie, autorze znakomitego i – niestety – szerszej nieznanego „Taternictwa nizinnego”, który – powiada Gugulski – „w aresztach wydoskonił cenną, a zbyt rzadką w czasach PRL, cnotę małomówności. Gdyby tak wielu nie mówiło tam wówczas tak wiele i tak chętnie, niejedna biografia wyglądałaby dziś lepiej, a komunizm w Polsce i gdzie indziej być może zakończyłby się ciut wcześniej i może w nieco lepszym stylu”.

Nie wszystkie sądy Marcina Gugulskiego dają się jednak wybronić. Ani Polska nie zaczęła się w latach 70., kiedy autor „Moich ulubionych książek o Warszawie” rozpoczął swą działalność opozycyjną, ani to, jaką postawę zajmowali wówczas pisarze, nie decyduje o ocenie i ich twórczości i ich samych. Zresztą bywalcy internetowej strony zwrócili już uwagę na to, że Gugulskiemu, wytykającemu Wojciechowi Żukrowskiemu i Stanisławowi

Ryszardowi Dobrowolskiemu ich polityczne afiliacje, nie przeszkadzały one w wypadku Stanisława Grzesiuka. Autor wyjaśniał na Facebooku, że dla niego „Grzesiuk to przede wszystkim sąsiad z Sielc i podwórkowa legenda. Tak samo i w Broniewskim widzę przede wszystkim żołnierza i świetnego poetę, choć oczywiście o jego wkładzie w budowanie komunizmu trudno zapomnieć”. Trudno się z tym nie zgodzić. Ale co by było wtedy, gdyby Gugulski pomieszkował drzwi w drzwi z któryś z inkryminowanych przez niego ludzi pióra? Nie od rzeczy byłoby też przypomnieć, że Żukrowski we wrześniu 1939 r. był ranny, odznaczony został Krzyżem Walecznych, AK-owską kartę miał też Dobrowolski, tak że Broniewski nie był żadnym bohaterskim wyjątkiem. A rozpisuję się o tym tylko dlatego, że za niesprawiedliwy uważam komentarz dotyczący Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, któremu autor „Moich ulubionych książek o Warszawie” wytyka m.in. „Chryzostoma Bulwicia podróż do Ciemnogradu”, przy Broniewskim nie wspominając o daleko bardziej sławnym „Słowie o Stalinie”. Podkreślam to, niezależnie od faktu, że chyba najważniejsze słowa w poezji polskiej XX w. napisał nie kto inny, jak tenże Broniewski:

*Życie jest diabła warte
Poza Szopenem, Mozartem;
Poza Słowackim i Mickiewiczem
Jest w ogóle niczem.*

Co do tego nie ma dwóch zdań. A za „Moje ulubione książki o Warszawie” – szczególnie za ujętego w nich Gombrowicza, który żadnym sposobem nie jest w stanie zachwycić Gałkiewiczem – ich autorowi bardzo dziękuję. ©



★★★★★
MARCIN GUGULSKI
„MOJE ULUBIONE
KSIĄŻKI
O WARSZAWIE”
FUNDACJA
ARCHIWUM JANA
OLSZEWSKIEGO,
WARSZAWA 2022



POCZYTANKI

Czekając na cuda

Czekałem na to wznowienie z utęsknieniem – „Kontakt” Carla Sagana to jedna z najpiękniejszych książek o ludzkich marzeniach. Tych wykraczających poza zwykłe codzienne „abyśmy zdrowi byli”.

Gdy byłem dzieckiem, żyłem w przekonaniu, że przyszłość nadejdzie w krokach opisywanych nie tylko przez fantastów, lecz także naukowców całkiem serio prognozujących najbliższe lata i dekady. Stała baza na Księżycu miała być oczywistością do końca XX w.; wyprawy na rozmaite planety Układu Słonecznego – podobnie. Nie przychodziło mi do głowy, że wraz z końcem zimnej wojny ochota na kontynuowanie kosmicznego wyścigu osłabnie. Dziś kinowa „poważna” fantastyka podpowiada, że od kosmosu należy wręczyć się odwrócić. Przerazająca pustka martwego wszechświata w „Ad Astra” Jamesa Graya. Wroga próżnia w „Grawitacji”. Tylko Ziemia nam pozostaje, nikt nigdzie na nas nie czeka. Zajmijmy się więc tym, co na naszym podwórku, a jest czym – epidemie, wojny, głód.

Powrót do książki Sagana (jedyne dzieła literackiego cenionego naukowca i popularyzatora nauki) jest w tej sytuacji ożywczą odmianą i powiewem dawno zapomnianej nadziei. Jest to

bowiem opowieść o cudzie. A nawet o trzech cudach.

Cud pierwszy – ktoś tam jest. Daleko stąd, na granicach naszej wyobraźni. I podejmie próbę kontaktu, choć nie bez obaw (historia naszego krwiożerczego gatunku takie obawy uzasadnia). Cud drugi – będziemy umieli wyciągnąć tę dłoń dostrzec i zjednoczyć się ponad politycznymi podziałami, by na wyzwanie odpowiedzieć. Wreszcie cud trzeci, który reprezentuje w powieści zderzenie dwóch głównych bohaterów, Ellie Arroway (ambitna astronom) oraz człowieka wiary Palmera Jossa, którzy są w stanie nawzajem się zrozumieć. Wzywał do takiego dialogu Walter Miller jr w „Kantyczce dla Leibowitza”, twierdząc, że jeśli nauka i religia nie znajdują znowu wspólnej drogi, to efekty będą dla świata katastrofalne.

Sagan określał siebie jako agnostyka, ale jednocześnie wykpiwał tych, którzy emanują pewnością, że Bóg nie istnieje. Takiego dowodu, mówił Sagan, nie da się naukowo przeprowadzić. Bliski był mu Bóg Einsteina czy Spinozy. Jeszcze bliższe były mu optymizm i nadzieja na utopię, której dał wyraz w „Kontakcie”. Wiele wizji przyszłości namalowali naukowcy – ta Sagana jest jedną z niewielu, co do której chciałbym, żeby się ziściła. ©



★★★★★
CARL SAGAN
„KONTAKT”
ZYSK I S-KA 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Od Bałtyku do Morza Czarnego, od Morza Czarnego do Adriatyku – co łączy kraje Trójmorza? Pierwsza część dwutomowej historii regionu obejmuje okres od zarania do początków XX w. Co ważne, prof. Roszkowski nie pomija i kultury.



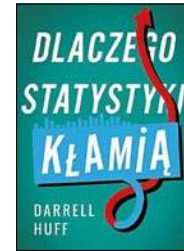
WOJCIECH ROSZKOWSKI
„ORZEŁ, LEW I KRZYŻ”
BIAŁY KRUK

Trzy wczesne powieści Wildsteina, od dawna niedostępne, wznowione w jednym tomie (z poprawkami autora). Pierwszą z nich wyróżniono Nagrodą Kościelskich. Druga opisuje świat polskiej emigracji w Paryżu lat 80.



BRONISŁAW WILDSTEIN
„JAK WODA. BRAT. O ZDRADZIE I ŚMIERCI”
PIW

Napisana w 1954 r. książka o tym, jak manipulując danymi, można udowadniać rozmaite tezy, pozostaje jedną z ważniejszych książek XX w. Współczesnym uzupełnieniem są książki Joela Besta – też warte przekładu.



DARRELL HUFF
„DLACZEGO STATYSTYKI KŁAMIĄ”
ZYSK I S-KA

Okrutna opowieść o przerażających czasach – trójgłosem swych bohaterów Pjankowa opowiada o Hołodomorze – wielkim głodzie na Ukrainie, który wywołany przez Sowietów był ludobójczą bronią przeciw temu narodowi. ©

recenzuje Piotr Gociek

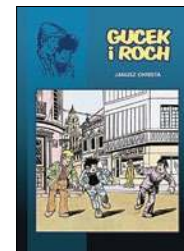


TANIA PJANKOWA
„WIEK CZERWONYCH MRÓWEK”
MOVA

KOMIKS TYGODNIA:

„GUCEK I ROCH”

Kryminalna opowieść współczesna twórcy „Kajka i Kokosza” o dwóch polskich marynarzach ukazywała się początkowo w odcinkach na łamach magazynu „Relax”. Ostatecznie powstały dwa albumy – „Tajemniczy rejs” oraz „Kurs na półwysep Jork”. Czarno-białe wersje wznowiono w tomie „Kajtek, Koko i inni” (2004), teraz



JANUSZ CHRISTA
„GUCEK I ROCH”
EGMONT 2023

ukazuje się pełna wersja barwna, w twardej oprawie. Pierwszy tom prowadzi z Gdańska ku Ameryce Południowej, drugi – z Japonii na Malaję. © Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Moda i sport

Zapewniają komfort i wygodę, ochraniają ciało, zmniejszając ryzyko kontuzji, pomagają osiągać lepsze wyniki. Nie można też zapominać, że oprócz tego powinny dobrze i modnie wyglądać. Strojom sportowym poświęcona jest wystawa „Moda i sport” w Kamienicy Szołayskich, oddziale Muzeum Narodowego w Krakowie.

„W XX wieku staliśmy się świadkami spektakularnego rozwoju mody sportowej – piszą autorzy wystawy. – Propagowany przez

wybitnych pedagogów i lekarzy zdrowy styl życia, polegający również na regularnych ćwiczeniach fizycznych, wymagał odpowiedniej odzieży. Ubioru sportowe zaczęły się coraz bardziej odróżniać od codziennych”. Ekspozycja składa się z kilkudziesięciu przykładów odzieży sportowej. Tej dawnej, a także współczesnej. Są wśród nich i kobiece pumpy na rower z końca XIX w., i współczesna odzież rowerowa. Są komplet do gry w golf z lat 30. XX w., strój do gimnastyki z czasów PRL, przedwojenna kurtka narciarska i kombinezon polskich skoczków, a także stroje kąpielowe od 1910 r. do współczesności. ©©

GDZIE? *Kraków, Muzeum Narodowe Kamienica Szołayskich*
KIEDY? *do 21 stycznia 2024 r.*



FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE



FOT. MUZEUM TATRZAŃSKIE W ZAKOPANEM

POD TATRAMI

Niedawno otworzono nową wystawę stałą w odrestaurowanym budynku gmachu głównego Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem. Jest to piąta z kolei stała ekspozycja w głównym gmachu. „Tym razem zagadnienia z zakresu historii, kultury i przyrody tego tak miłego Polakom zakątka naszego kraju przybliżone zostały z perspektywy SPOTKANIA – wydarzenia, które rozpoczęło się przeszło półtora wieku temu i trwa do dziś” – zaznaczają kuratorzy. ©©

GDZIE? *Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem*
KIEDY? *ekspozycja stała*

NA SŁUCH

Tożsamość potwierdzona



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

Zyjemy obecnie w czasach ogromnego braku zaufania, społecznych podziałów, niepewności, kłamstwa, propagandy i inwigilacji – mówi Mariusz Duda, lider Riverside.

Tematem ósmego albumu warszawskiego zespołu jest „Tożsamość”. Pierwszy utwór, „Friend or Foe?”, traktuje o udawaniu kogoś innego i poszukiwaniu własnej drogi. W 13-minutowym „The Place Where I Belong” Duda rozważa, czy żyć w zgodzie ze sobą czy dawać komfort innym. I tak dalej, i tak dalej przez 53 minuty. Ta tożsamościowa koncepcja zapewne rozbudzi progresywne umysły, ale z drugiej strony single zapowiadające płytę nieco wystraszyły fanów. Padało fundamentalne, progresy-

tywne pytanie, czy czasem zespół się nie sprzedaje i nie popłynie na popowe wody. Bez obaw. Tworzące klamrę na albumie „Friend or Foe?” i „Self-Aware” zostały odpowiednio rozciągnięte do siedmiu i prawie dziewięciu minut. Pośród hitów mamy prawdziwie progresywną ucztę nienaruszającą zasad kanonu. Jest wzniośle, wirtuozowsko, a utwory ciągną się napędzane solówkami. Do tego mamy miłe melodie, nawiązania do lat 80. i „miękkie” wokale lidera Mariusza Dudy à la A-ha.

„ID.Entity” mimo powagi tematu jest znacznie pogodniejszy od ostatnich dzieł Riverside. Sprzedaje się znakomicie, m.in. w Niemczech, a grupa udaje się na długie tournée za ocean. ©©



★★★★★
RIVERSIDE
„ID.ENTITY”
MYSTIC



★★★★★
BOB DYLAN
„FRAGMENTS – THE BOOTLEG SERIES VOL. 17”
COLUMBIA

To już 17. odcinek przeszukiwania przepaistych archiwów Dylana. Tym razem padło na lata 1996–1997 i sesje do albumu „Out of Mind”. Wielkich odkryć nie uświadczymy, ale fani znajdą wiele powodów do sięgnięcia do kieszeni.



★★★★★
MÅNESKIN
„RUSH!”
EPIC

Rzymianom, jako jednym z nielicznych zwycięzców Eurowizji, udało się zaistnieć na międzynarodowej arenie. Zawdzięczają to bardziej buńczucznej postawie niż szczególnej oryginalności. Ich piosenki mają odpowiedni drive, ballady łapią za serce, a hardrockowej konkurencji dla Måneskin nie widać. ©©



FOT. NATALIA KABANOW

Oszukani oszuści



Grzegorz Kondrasiuk

Krystian Lupa. Guru. Geniusz. Jedyny, który się ostał z pokolenia twórców niegdysiejszej potęgi polskiego teatru. Jeśli kto ciekaw, co z niej zostało, to polecam ostatnią z premier Lupy – „Imagine”

dokonuje na żywa, bez znieczulenia, wiwisekcji złudzeń swoich i swojego pokolenia. Zamiast Junga przydałaby się tu „Krytyka cynicznego rozumu” Petera Sloterdijka, jako główny kontekst filozoficzny do analizy pułapki, w której się sam zamknął człowiek Zachodu...

Wrażenie referowania własnych myśli w obecności publiczności, przy aktorach, poprzez, a czasem pomimo obecności aktorów, potęguje autorski styl reżysera. Jest niewidoczny, ale stale obecny, jako głos komentujący sceniczne wydarzenia, czasem wchodzący w dialogi z postaciami. Umieścił sam siebie na plakacie, jak z zatroskaną miną masuje się po skroniach...

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że narcystycznie, ironicznie i złośliwie bawi się wymyślonymi przez siebie widmami, a ponieważ

dysponuje zespołem – jak się wydaje – wciąż podzielającym przekonania Johna Lennona zapisane w tekście „Imagine”, robi się z tego wielopoziomowa zabawa. Przeszłość przenika się z teraźniejszością, fikcja miesza z aluzjami do obecnych zdarzeń, a poglądy Lupy – z poglądami jego aktorów.

Wydaje mi się też, że spektakl odśpiewa więcej, niż by chciał jego twórca. Tak bardzo szczerzy w obrębie własnej formy, w wypowiedziach programowej, kryjąc się co prawda za znakiem zapytania, zmienia ton. Tamte klęski niczego nie zmieniają, nie uwiązają, głoszonej przez New Age, konieczności przemiany: „Czy da się wygenerować drugą falę – przemianę religijną społeczności ludzkiej bez wiary w osobniczą nieśmiertelność?”. I jeszcze: „Ta idea jest niezbędna do ratowania planety”.

Tymczasem w spektaklu co i rusz, choć usiłuje być zaangażowany w bieżące tematy i dawać nadzieję, pozwala sobie na odśpiewanie całej rozpacz, sarkastyczne uwagi. Jasno z nich wynika, że utopie to wielkie kłamstwa, wielcy ludzie, autorytety, prorocy nowej epoki, gwiazdy zgromadzone na scenie – to oszuści, więcej nawet, „oszukani oszuści”. „Nigdy nie byliśmy szczęśliwi!” – wykrzykuje. „Ecce homo” – cicho i z rozpaczą dopowiada, samotny na scenie w długich, komentowanych przez reżysera monologach, Andrzej Kłak. Nadziei nie daje żadna idea gromadząca ludzi, żadna wspólnota. „Pier. olony naród” kojarzy się Lupa z żołnierzami Wehrmachtu maszerującymi przed Hitlerem. Nastąpiła katastrofa tego projektu, jakim jest człowiek.

Jest jeszcze w „Imagine” pewne nieszczęście. Polega ono na tym, że nikt nie powstrzymał Mistrza przed dodaniem do tej spójnej wypowiedzi kolejnych godzin spektaklu, w którym widmo Artauda błąka się po postapokaliptycznym krajobrazie, spotykając a to kosmitów, a to Napoleona, a to rozerotyzowaną Ewę Skibińską. Mistrz nie zawałał się także przed użyciem, na wielki finał, pływającego w szamańskim tańcu Piotra Skiby – po pięciu godzinach powtarzania tego, co Joseph Conrad zawarł w jednym, pamiętnym słowie. ©

„IMAGINE”
SCENARIUSZ: KRYSZTOF LUPA
I KREACJA ZBIOROWA AKTORÓW
REŻYSERIA I SCENOGRAFIA:
KRYSZTOF LUPA
KOPRODUKCYJA TEATRU
POWSZECHNEGO W ŁODZI I TEATRU
POWSZECHNEGO IM. ZYGmunTA
HÜBNERA W WARSZAWIE



Wojciech Golonka

Jeśli Rosja nie powinna być pokonana ze wszelką cenę, to musi być cena, której płacić za jej pokonanie nie warto. Okazało się, że taka dyskusja w Polsce może się odbywać

Na początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę George Soros oznajmił, że nie ma obecnie większego priorytetu niż pokonanie Władimira Putina, który jest największym zagrożeniem dla społeczeństwa otwartego; priorytetem, któremu powinny ustąpić, jak wskazywał, nawet problemy epidemii COVID-19, ocieplenia klimatu czy kryzysów migracyjnych. Jest w tym zatem pewien paradoks, że na łamach „Rzeczpospolitej”, której amerykański miliarder jest współwłaścicielem za pośrednictwem swych funduszy inwestycyjnych, ukazał się niedawno mocny apel byłego doradcy prezydenckiego o trwałe zawieszenie broni na Ukrainie, które bynajmniej nie rozłożyły władcy Kremla na łopatki. Wręcz przeciwnie, tekst „Trismus, czyli szczękościsk Putina” autorstwa Romana Kuźniara, przedstawiający sposób na zakończenie tego największego konfliktu zbrojnego w Europie od czasów drugiej wojny światowej, stanowi wart odnotowania wyłom w dotychczasowej wizji imperatywu wyparcia za wszelką cenę sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej z okupowanej Ukrainy. Zatem w obecnych warunkach Rosja nie powinna być pokonana ze wszelką cenę, a zatem jest cena, której płacić za jej pokonanie nie warto, a zatem imperatyw kalkulowania zysków i strat, tj. racjonalności politycznej, zagościł w publicystyce „głównego nurtu”, co w obliczu dotychczasowych trendów jednak zaskakuje.

„ONUCYZM”

Mówiąc o kalkulacji zysków i strat w toczącej się wojnie, nie twierdzę przy tym, że nie ma ona od początku (a nawet jeszcze wcześniej) miejsca



Profesor Roman Kuźniar w niedawnym tekście w „Rzeczpospolitej” uznał, że zawieszenie broni na Ukrainie to lepsze rozwiązanie niż „wykrwawianie się” bez końca

FOT. BARTŁOJĘ ZBOROWSKI/PAP

Jaki koniec wojny na Ukrainie?

w gabinetach politycznych europejskich stolic, z Kijowem na czele, choć ma się rozumieć, można się spierać o przesłanki do uwzględnienia na szali, a przede wszystkim o kryterium słusznej miary – np. tam, gdzie jedni widzieć będą głównie katastrofę gospodarczą do uniknięcia, inni podkreślą konieczne gospodarcze poświęcenie dla wyższego obiektywnie lub tylko subiektywnie celu.

Rzecz jednak w tym, że dotychczas podobne kalkulacje, owszem – dla decydentów politycznych, miejmy nadzieję, oczywiste – były w publicystyce jeśli nie wprost zakazane, to jednak mocno piętnowane. Przede wszystkim piętnowane były w Polsce, czego doświadczył niedawno naczelny naszego tygodnika ze strony pełnomocnika rządu ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej. Stanisław Żaryn ogłosił bowiem na Twitterze: „Tezy zbieżne z rosyjską dezinformacją zagrażają bezpieczeństwu przestrzeni informacyjnej RP”, a jako przykład podał m.in. zrzut nagłówka z portalu DoRzeczy.pl. Chodziło o rozmowę Pawła Lisickiego z Wojciechem Cejrowskim w programie „Antysystem”, dotyczącą przekazania polskich leopardów Ukrainie, a opatrzoną nagłówkiem: „Cejrowski: Rząd powinien się spowiadać. Lisicki: Kto pyta, ten zostaje ruską onucą”. Minister Żaryn dał zatem do zrozumienia, że rząd nie powinien się spowiadać opinii publicznej ze swoich decyzji i już samo zadawanie pytań ze strony publicystów jest przejawem rosyjskiej dezinformacji, zwanej potocznie ruskim onucyzmem.

Gwoli wyważenia problemu – podobna niedopuszczalna w czasie pokoju ze strony rządu próba zdyskwalifikowania, a wręcz cenzury debaty medialnej ma w dobie wojny teoretycznie uzasadnienie w postaci bezpieczeństwa narodowego: media i szeroko pojmowana publicystyka nie powinny utrudniać i kwestionować strategii wyznaczonej do osiągnięcia wyznaczonych celów politycznych w czasie wojny, to zrozumiałe, *salus rei publice*, *suprema lex*.

Przejaw takiego rozumowania można było znaleźć w ostrzejszej wymianie zdań Witolda Repetowicza z Łukaszem Warzechą na Twitterze, w której ten pierwszy bez ogródek oświadczył: „W wojnie informacyjnej nie ma miej-

sca na prawdę obiektywną (z pewnymi wyjątkami)” a także „wojna informacyjna polega na stosowaniu zarówno środków defensywnych, jak i ofensywnych. Niemniej liczy się to, po czyjej stronie, a o tym świadczy stosowana narracja”. Abstrahując od wadliwego sformułowania, które czyni z prawdy obiektywnej wręcz wroga polityki – skuteczna retoryka nie polega przecież na negacji prawdy, a na podkreślaniu lub pomijaniu danych jej aspektów, wedle okoliczności – główny problem jest w tym, że podczas gdy dla jednych jest oczywiste, że Polska jest w stanie wojny z Rosją, dla drugih, przeciwnie, jest oczywiste, iż Polska nie jest i wojować przeciw Federacji Rosyjskiej nie powinna. To właśnie ta różnica percepcji (choć nie tylko) tłumaczy zawziętość sporu i wojnę – na szczęście tylko na atrament i klawiaturę – która toczy się w naszym kraju – o to, czy publicystyka może sobie pozwolić na publiczną dyskusję o zasadność stano-

Do tej pory kalkulacje dotyczące sposobu zawarcia rozejmu były w polskiej publicystyce piętnowane

wiska i poszczególnych kroków naszych władz względem wojny rosyjsko-ukraińskiej czy też powinna ślepo popierać jedyne słuszne stanowisko rządu (partii, administracji Białego Domu tudzież frakcji amerykańskich neokonserwatystów), identyfikowane jako zawsze nieomylnie tożsame z polską racją stanu.

Otóż spór ten można byłoby łatwo zażegnać, wprowadzając – jeśli rzeczywiście zachodzą ku temu przesłanki – przewidziane w polskim porządku konstytucyjnym stany nadzwyczajne, w tym wypadku stan wyjątkowy lub wojenny, rzeczywiście umożliwiające cenzurę prewencyjną. Sęk w tym, że podobne rozwiązania nie są władzy na rękę, zatem ułomność pominiętych właściwych narzędzi prawnych nadrabiana jest nachalną nagonką, z jej decybelami, skutkującą w praktyce wylewem inwektyw i niezwykle szczuciem ze strony pobudzonej do tego tłuszczy.

Precyzuję dość szczegółowo to specyficzne tło, aby uzmysłowić, dlaczego wizja Romana Kuźniara na łamach „Rzeczpospolitej” jest w tym kontekście czymś rzeczywiście wyjątkowym.

KUŹNIAR A „REALIŚCI”

Sam Kuźniar nie jest postacią przypadkową, a z racji swej profesji wykładowcy stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Warszawskim oraz doświadczenia zawodowego – doradcy ministra obrony narodowej (2007–2010), a następnie doradcy prezydenta Bronisława Komorowskiego – jego głos powinien siłą rzeczy wzbudzić uwagę.

Cóż obrazoburczego zaproponował zatem Roman Kuźniar? Przede wszystkim wyszedł z założenia, że trzeba szukać lepszego rozwiązania „niż wykrwawianie się bez końca” Ukrainy. Następnie zaproponował podparty historią pragmatyczny realizm: „W konfliktach zbrojnych nierzadkie są momenty, kiedy to, co sprawiedliwe, zderza się z tym, co strategicznie i politycznie osiągalne. [...] Warto tu przypomnieć, że kraje odzyskują swoje terytoria niekiedy po wielu latach, jak w przypadku Francji, która straciła Alzację w wojnie francusko-pruskiej w 1871 r., a odzyskała dopiero po pierwszej wojnie światowej. Z kolei Związek Sowiecki sam wycofał się z okupowanej przez kilka lat po drugiej wojnie światowej części Austrii. Czasem trzeba poczekać do sprzyjającego momentu. Poczekać nie znaczy wyrzekać się”.

Nie sądzę, że podane przykłady są odpowiednie do problemu wschodniej Ukrainy i Krymu, pomijam fakt, że na ich podstawie można by wysuwać roszczenia Polski do Kresów (co jest rzeczywiście obecnie elementem rosyjskiej dezinformacji), abstrahując zwłaszcza, na ile odzyskanie Krymu po latach byłoby w ogóle realne, ale sama potrzeba długotermiowego zamrożenia konfliktu jest u autora uargumentowana: „Brak perspektyw prawdziwych negocjacji pokojowych nie powinien wykluczać możliwości zgody na rozejm, jeśli taka byłaby wola obu stron. Taki rozejm, który – zgodnie z Kartą Narodów Zjednoczonych – nie przesądza o pozycjach prawnych stron, dałby Ukrainie szansę nie tylko na zatrzymanie dewastujących kraj bombardowań, lecz także na powrót do normalnego życia

■ ze wszystkim, co to oznacza, i nie trzeba tego tutaj wyjaśniać". Polski ekspert nazywa następnie to rozwiązanie modelem koreańskim i rzeczywiście od pewnego czasu hasło rozejmu na wzór koreański krąży w publicystyce, choć bardziej pod kątem tego, co dla Kremla w dobie obecnej zdawałoby się wyjściem z dotychczasowego impasu militarnego.

Czy prof. Kuźniar dołączył zatem do wyklętego chóru realistów, pokroju prof. Mearsheimera, który na przekór sypiącym się na niego krytykom powtarzał konieczność uwzględniania interesów bezpieczeństwa narodowego Rosji w Europie Wschodniej i właśnie w ich podważaniu przez USA i NATO upatrywał główny powód obecnej wojny? Pokroju sędziwego Kissingera, który na początku kryzysu ukraińskiego, w marcu 2014 r., proponował rozwiązanie w postaci „równomiernego niezadowolenia” obu stron?

Otóż wspomniany autor wyraźnie chce się odciąć od podobnych postaw, które traktuje jak kapitulantstwo: „Czym innym jest pohukiwanie od niemal pierwszych dni wojny na Ukrainę czy na Zachód, że już, natychmiast, trzeba siadać do rozmów pokojowych z Moskwą. To nic innego jak kapitulacja przed agresorem. Ukraińcy zdążyli się o tym przekonać. I żadne szczytne zakłęcia nie mają do tej sytuacji zastosowania”. Zatem bez odrzucenia negocjacji przed wojną i na jej początku, sugeruje Kuźniar, nie byłoby dziś wciąż suwerennego państwa ukraińskiego, natomiast obecnie rozejm byłby uzasadnionym najwyższym dobrem Ukrainy.

PODWAŻONA NARRACJA

Niezależnie, czy jest w tym odcieciu się od „realistów” pierwszej godziny u realisty w południe spójność, nie ma wątpliwości, że podobny apel ze strony byłego doradcy prezydenta Rzeczypospolitej podważa narrację o wojnie, którą należy bezwarunkowo wspierać aż do wyparcia Rosjan z Krymu. Małostkowością byłoby zbywać głos Kuźniara w ramach polskiej wojny partyjnej, twierdząc, że chodzi o wieloletniego politycznego współpracownika Platformy Obywatelskiej, a zatem o obóz uległy Moskwie etc. W rzeczywistości Kuźniar wyraził klarownie to, co od kilku miesięcy daje półgębkiem do zrozumienia szef połączonych sztabów armii

USA gen. Mark Milley, a nawet sekretarz NATO Jens Stoltenberg.

Pierwszy powiedział ostatnio, że w roku 2023 Ukraina nie będzie w stanie dokonać przełomu w terenie, a pod koniec listopada twierdził nawet, że tego typu konflikt jest w terenie nie do rozstrzygnięcia, sama zaś ukraińska armia powinna wykorzystać atuty swej letniej kontrofensywy do negocjacji zawieszenia broni zimą. Stoltenberg z kolei wskazał niedawno, że Ukrainę czeka perspektywa negocjacji, ale musi najpierw wzmocnić w terenie właśnie swoją pozycję negocyjną, przez co być może miał na myśli położenie jej sił zbrojnych w Donbasie, o którym sam prezydent Zełenski mówi, że jest trudne, w niektórych miejscach nawet krytyczne.

Rolą mediów jest i pozostanie dyskusja o racjonalności posunięć i nagłaśnianie realnych zagrożeń

Deklaracjom tym towarzyszą z kolei ruchy zachodnich rządów, które właśnie zdecydowały się na wysłanie Ukrainie ciężkiego sprzętu ofensywnego w postaci czołgów, a dyskusja medialna o możliwości dostarczenia także zachodnich myśliwców stanowi, mimo oficjalnych dementi, być może nawet przygotowanie opinii publicznej na krok, który jeszcze w marcu ubiegłego roku prezydent Joe Biden uznawał za faktyczne rozpoczęcie trzeciej wojny światowej. Czy chodzi zatem o wzmacnianie pozycji negocyjnej czy o kontynuowanie walki aż do ostatecznego zwycięstwa, aż Rosja przyjdzie błagać Ukrainę na kolonach o pokój w Perejasławiu, jak rozmarzył się niedawno w rozmowie z prezydentem Zełenskim prezydent Andrzej Duda? Ze swej strony Kreml, jak wskazują komentatorzy, bardziej niż do klęcznika szykuje się na razie do ofensywy mającej przełamać opór ukraińskich sił zbrojnych.

Powyższy stan rzeczy wskazuje, że na obopólny rozejm, podparty ekonomią krwi pokolenia ukraińskich poborowych i zatrzymaniem dalszej dewastacji kraju, może nie być w najbliższym czasie miejsca

dopóty, dopóki przynajmniej jedna z walczących stron uważa, że może doprowadzić do decydującego rozstrzygnięcia w terenie, przekładającego się na jego pozycję przy stole negocyjnym. Niezależnie od tego, na ile, wobec powyższych niewiadomych, rzeczywiście możliwa jest do zrealizowania propozycja prof. Kuźniara, jej głównym atutem na chwilę obecną jest pewne odde-monizowanie w mediach głównego nurtu możliwości dyskusji o perspektywach zakończenia wojny na Ukrainie.

Nie ludzę się, że w roku wyborczym władza odpuści piętnowanie dyskursu odbiegającego od prorządowej narracji, niemniej rolą mediów jest i pozostanie dyskusja o racjonalności posunięć i nagłaśnianie realnych zagrożeń. Jak trafnie wskazał Jeffrey Sachs, amerykański ekonomista odpowiedzialny za doradzanie krajom bloku wschodniego w dobie ich transformacji gospodarczej (przez co niekoniecznie przysporzył sobie w Polsce samych przyjaciół), a zarazem radykalny krytyk wojennego stronnictwa amerykańskich neokonów (przez co w Polsce ma jeszcze mniej wśród swych dotychczasowych przyjaciół), naszą zachodnią bolączką obecnej wojny jest pomieszanie ról: ministrowie spraw zagranicznych mówią językiem wojny, nie dyplomacji, z kolei media są bardziej ich tubą propagandową niż społecznym bezpiecznikiem polityki poszczególnych państw. Ten mechanizm budowania niepodważalnej narracji, w oczach wielu uzasadniony potrzebą pokonania za wszelką cenę Rosji, jest w rzeczywistości sam w sobie niebezpiecznym, drugim po COVID precesem sankcjonowania wszechmocy aparatu państwowego. Aparat ten nie jest jednak nieomylny – COVID właśnie to mocno uwydatnił – o możliwości korupcji politycznej nie wspominając (nie tylko tej rodem z Moskwy czy z Kataru).

Obrazoburcze pytania i dyskusja o dalszych etapach wojny rosyjsko-ukraińskiej i zagrożenia wynikających zeń dla nas to także pytanie o kondycję debaty publicznej na Zachodzie i w Polsce. Byłoby dziwnym paradoksem, gdybyśmy, broniąc demokracji na Ukrainie, osłabiali dodatkowo ten jeden z filarów poprawnego funkcjonowania naszej demokracji – innego ustroju nie mamy – który i tak nie powala jakością swej kondycji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

TOMASZ ROWIŃSKI: Czy potrzebne było Polakom powstanie w 1863 r.?

DR HAB. LECH MAŻEWSKI: Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Nie ulega wątpliwości, że w sprawie sposobu ostatecznego rozwiązania kwestii chłopskiej rację miał obóz czerwonych, który doprowadził do wybuchu insurekcji styczniowej. W ówczesnych realiach absolutnie nie do przyjęcia była propozycja formułowana przez margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, żeby dokonać oczyszczania chłopów z urzędu, a następnie przeprowadzić skup czynszów, co zajęłoby ok. 20 lat. W dodatku nie istniał żaden mechanizm kredytowy, który umożliwiłby wcześniejszy skup czynszów. Czerwoni również skutecznie sparowali politykę margrabiego, mającą na celu dalsze istnienie państwa rosyjsko-polskiego, o czym zadecydował kongres wiedeński w 1815 r.

Ale przecież wciąż pytamy się o rzecz szalenie ważną: Czy można było odzyskać Rzeczpospolitą?

Nie było na to żadnych szans, a sama idea stworzenia trialistycznego państwa – polsko-litewsko-rusińskiego, bo Ukraińców wtedy jeszcze właściwie nie było – okazała się nie mieć w praktyce żadnego poparcia ze strony zbiorowości, do których była adresowana. Ów trializm, nawiązujący do postanowień umowy hadziackiej z 1658 r., stawiający Rusinów na równi z Polakami i Litwinami, został całkowicie zignorowany na terenach dawnych województw ruskich. Na obszarach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego opowiedziało się zbrojnie za takim rozwiązaniem ustrojowym głównie polska szlachta, z wyjątkiem Żmudzi, gdzie do powstania poszło też tamtejsze chłopstwo. Na koniec wreszcie na terenach etnicznie polskich walczone nie tyle o restytucję Rzeczypospolitej wielu narodów, ile o odzyskanie niepodległości przez Polskę.

Słowem, w sprawie chłopskiej zryw styczniowy był konieczny, a utrzymywanie dualizmu rosyjsko-polskiego z 1815 r. nie miało przyszłości po klęsce Królestwa Polskiego w wojnie z Rosją w 1831 r., choć w ówczesnych warunkach mogło być ciągle użytecznym narzędziem do prowadzenia polityki polskiej. Natomiast zupełnym niewypałem ustrojowo-politycznym okazało się sformułowanie idei

trializmu polsko-litewsko-rusińskiego, a właściwie polsko-litewsko-białorusko-rusińskiego, bo Wielkie Księstwo Litewskie w historycznym kształcie już nie istniało. A za taki wielonarodowy twór mało kto chciał umierać.

Właściwie dlaczego czerwoni walczyli z dualizmem rosyjsko-polskim?

Czerwoni to lewicowi liberałowie, dla których istnienie konserwatywnej i autorytarnej Rosji było ideologicznym wyzwaniem. Do tego dochodziła pamięć o krzywdach, których doznaliśmy ze strony wschodniego mocarstwa. Stąd

Ukraina, a nie Polska, chyba że w toku dalszych walk Kijów utraciłby najważniejszy posiadany atut, czyli dużą i bitną armię. Poza tym należy pamiętać, że to przecież Polska ma być sługą narodu ukraińskiego. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy się godzić na takie rozwiązanie ustrojowo-polityczne, zakładające naszą podrzędną rolę. Co do Białorusi zaś, to najpierw należałoby zbrojnie ją pokonać, a później przekonać do tego pomysłu.

Warto przypomnieć, że Józef Piłsudski w trakcie wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. szedł jeszcze dalej, gdyż obok



**Z dr. hab. Lechem Mażewskim,
historykiem prawa, politologiem
rozmawia Tomasz Rowiński**

Dziedzictwo powstania styczniowego

próba dalszego utrzymywania dualizmu rosyjsko-polskiego była ich zdaniem śmiertelnym zagrożeniem nie tylko dla Polski, lecz także całej liberalnej Europy. Żeby tak się nie stało, należało wylać morze polskiej krwi w beznadziejnej walce z Rosją, bo tylko wtedy Rosja mogła jawić się nam jako przysłowiowe imperium zła. I tak się właśnie na okres prawie dwóch pokoleń stało. To, że w latach 1861–1862 doprowadzono do spolszczenia Królestwa Polskiego i wytworzenia tam polskiego ośrodka władzy, dla czerwonych nie miało żadnego znaczenia.

W trakcie konfliktu na Ukrainie ponownie w polskiej debacie publicznej pojawiła się idea unii politycznej, tym razem w wersji polsko-ukraińsko-białoruskiej. Co pan o tym sądzi?

Nawiązanie do stanowiska czerwonych z roku 1863 jest tu oczywiste, przy czym podmiotem dominującym w takiej strukturze państwowej byłaby teraz

ukonstytuowania wielonarodowej Rzeczypospolitej miało powstać nad Dnieprem państwo ukraińskie z nami sprzymierzone, a na Kremlu po pokonaniu bolszewików chciano osadzić Borysa Sawinkowa w postaci kolejnego Dymitra Samozwańca. O mało co, gdyby nie zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej w sierpniu 1920 r., Polska za te fantazje na miarę księcia Giedymina zapłaciłaby utratą świeżo odzyskanej niepodległości.

Nie sądzi pan jednak, że bez roku 1863 nie byłoby niepodległości w 1918 r., ponieważ u schyłku pierwszej wojny światowej sprawa narodowa interesowałaby wąskie środowiska elit inteligentkich, czyli faktycznie postszlacheckich?

Ma pan rację i jednocześnie nie ma. Gdyby chłopci w Królestwie dostali ziemię na własność w 1862 r. z rąk polskiej władzy, na której czele stał Wielopolski, a nie na mocy ukazów Aleksandra II z początku marca 1864 r., to żadne powstanie nie



Józef Chełmoński, „Epizod z powstania 1863”, obraz powstał w latach 1884–1886

FOT. LIGIER PIOTR/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

byłoby potrzebne i nie trzeba byłoby później walczyć o świadomość narodową chłopów. Dlaczego zatem ci włościanie nie mieliby stanąć do wojny z bolszewikami, tak jak stało się to w 1920 r.? Słowem, w wyniku uwłaszczenia chłopów ukształtował się ostatecznie nowoczesny naród polski, tyle że, gdyby dokonał tego margrabia, do czego miał wszelkie dane, poza niemożnością przewyciężenia szlacheckiego egoizmu, walczone by później nie tyle o unarodowienie mas chłopskich, ile o ich uobywatelnienie. A tak polscy inteligenci postszlacheckiego pochodzenia musieli starać się o jedno i drugie naraz.

Przypomina pan, że powstańcy chcieli odzyskać nie Polskę, ale Rzeczpospolitą. Dziś łatwo krytykować takie nastawienie. Ale czy w wyobraźni polskich polityków tamtego czasu inne myślenie w ogóle było możliwe?

Prawdą jest, że większość ówczesnej klasy politycznej tak właśnie myślała, aczkolwiek nie wiem, czy dla Andrzeja Zamoyskiego, przywódcy konserwatywno-liberalnego obozu białych, przyłączenie do Królestwa Polskiego guberni litewsko-ruskich byłoby równoznaczne z odtworzeniem dualizmu polsko-litewskiego. Być może sięgnięto by tu do tradycji Konstytucji 3 maja 1791 r., która w miejsce anachronicznego już rozwiązania dualistycznego stanowiła powstanie jednolitego państwa polskiego.

Był jednak polityk, który o ustrojowo-politycznej przyszłości Polski myślał zupełnie inaczej. Dla Wielopolskiego trzonem Polski było Królestwo Polskie, a na los guberni litewsko-ruskich, pozostających nadal w granicach Cesarstwa, można było wpływać z Warszawy po rekonstrukcji ustrojowej państwa, z jaką mieliśmy

do czynienia w latach 1861–1862. Innymi słowy, nie trzeba było podejmować kolejnej wojny z Rosją, aby polepszyć położenie ziem zaniemeńskich i zabużańskich, powstrzymując ich depolonizację. A już w ogóle w myśleniu ustrojowo-politycznym margrabiego nie było miejsca na żadne fantazje o dualistycznej czy trialistycznej Rzeczypospolitej.

A jednak Aleksander Wielopolski nie może być pozytywną postacią tej historii.

Powstanie musiało wybuchnąć, gdyż dominujący wówczas na scenie politycznej obóz czerwonych nie wyobrażał sobie innej Polski niż podejmującej nieustannie walkę z Rosją. Wedle nich to właśnie było sensem naszego istnienia. Gdyby jednak Wielopolski przeprowadził w 1862 r. uwłaszczenie chłopów, nadając im użytkowaną przez nich ziemię na wła-



Polski rewizjonizm zostałby skierowany przeciwko mocarstwom niemieckim, głównie Prusom, a nie – jak dotychczas – Rosji. Mogłoby to umożliwić utrzymanie dalszej współpracy francusko-rosyjskiej, rozpoczętej w trakcie obrad pokojowej konferencji paryskiej z 1856 r. To z kolei nie pozwoliłoby Prusom pod kierownictwem kanclerza Ottona von Bismarcka na dokonanie zjednoczenia Niemiec, co miało miejsce po uprzednim pokonaniu Danii wspólnie z Austrią w 1864 r., Austrii w 1866 r. i Francji w latach 1870–1871. Warunkiem jednak powodzenia takiej polityki było, aby nie doszło do wybuchu powstania w Królestwie. I za to w dużym stopniu odpowiedzialność spada na margrabiego, ale już do przedłużania się tego zrywu przyczynił się swoimi nieumiejętnymi działaniami politycznymi Napoleon III. Kurczowe trzymanie się zachodniej klamki, w tym przypadku przez białych, bardzo często tak się dla nas kończy.

Ale czy to nie jest tylko gdybanie?

Pół wieku później właśnie taka koalicja francusko-rosyjska, z udziałem jeszcze Wielkiej Brytanii, a od 1917 r. także Stanów Zjednoczonych, podjęła wojnę z Niemcami, przy czym tym razem próba zorganizowania antyrosyjskiej ruchawki w Królestwie animowana na początku sierpnia 1914 r. przez Piłsudskiego spaliła na panewce. W rezultacie Królestwo stanęło de facto po stronie koalicji antyniemieckiej. Droga do niepodległości Polski została w ten sposób otwarta, co nie powiodło się wcześniej.

Czy możemy powiedzieć, że jakieś konsekwencje powstania styczniowego trwają do dziś?

Oczywistą konsekwencją powstania styczniowego jest ostateczne rozwiązanie sprawy chłopskiej na ziemiach polskich. Mógł to zrobić Wielopolski, ale nie pozwolił mu na to szlachecki egoizm. Realizacja programu uwłaszczenia chłopów na zasadzie przyznania im prywatnej własności użytkowanej przez nich ziemi pozostawiłaby żywość pracę do powstania jedynie z hasłem bezwzględnej walki z Rosją, co szybko dałoby się opanować.

W 1863 r. czerwoni sformułowali ponadto program budowy trialistycznej Rzeczypospolitej, a nie unitarnej pań-

Źródłem zagrożenia dla nas może być nadmierna uległość wobec zagranicy bądź egoizm polskich elit

stwa polskiego, o co spór trwa do dziś. Trudno tę konsekwencję nocy styczniowej uznać za pozytywną. I wreszcie kto wie, czy do odzyskania niepodległości przez Polskę w nowym kształcie terytorialnym, idącym w kierunku tego, który uzyskaliśmy w 1945 r., a nie w latach 1918–1921, nie doszłoby wcześniej, ale na przeszkodzie tego stanął wybuch, a następnie klęska zrywu 1863 r. Trzeba było zatem czekać pół wieku na kolejną szansę na odzyskanie przez Polskę niepodległości i to była trzecia – absolutnie katastrofalna – konsekwencja powstania styczniowego. W efekcie międzynarodowej koniunktury z 1914 r., której dalekim skutkiem było pojawienie się w 1918 r. pustki geopolitycznej w środkowej i wschodniej Europie, odzyskaliśmy wreszcie niepodległość. Po 1989 r. walka o niepodległość Polski wcale się nie zakończyła, co widać chociażby w postaci groźby uczynienia z nas czegoś w rodzaju województwa w ramach federalizującej się Unii Europejskiej.

Jak zatem można określić lekcje wpływające z powstania styczniowego?

Po raz kolejny mogliśmy się przekonać, że polska polityka – godna tego miana – musi być oparta na czterech elementach: geopolitycznemu realizmowi powinny towarzyszyć polityczny umiar, brak zależności od czynników zewnętrznych oraz odrzucenie społecznego egoizmu. Dopiero to wszystko razem daje szansę na sukces. Zagrożenie dla nas nie tylko wynika zatem z działań obcych mocarstw, lecz także jego źródłem mogą być maksymalizm, nadmierna uległość wobec zagranicy bądź egoizm samych polskich elit.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr hab. Lech Mażewski
– historyk prawa, politolog, autor książek „Powstańcy szantaż i polityka odwetu” oraz „Polska jako junior partner”.

sność, to mielibyśmy jedynie powtórkę kompletnie nieudanego zrywu z 1846 r. To próba złego rozwiązania sprawy chłopskiej sprawiła, że czerwoni uzyskali powstańcze paliwo. Nie były nim fantasmagorie o ustanowieniu trialistycznej Rzeczypospolitej czy branka z połowy stycznia 1863 r. Słowem, to margrabia dał szansę czerwonym przeprowadzenia powstańczego zrywu, gdyż branka z połowy stycznia 1863 r. była tylko użytecznym dla spiskowców pretekstem.

Ale czy istnienie tego quasi-państwka, jakim było Królestwo Polskie w roku 1863, miało w ogóle jeszcze jakikolwiek sens?

Po rekonstrukcji ustrojowej i rozwiązaniu sprawy chłopskiej Królestwo Polskie byłoby nadal państwem rewizjonistycznym, tyle że o odmiennym wektorze rewindykacji terytorialnych.

Szlakiem polskich badaczy Syberii



Obraz A. Sochaczewskiego „Pożegnanie Europy”

FOT. ARCHIWUM JACKA PAŃKIEWICZA



Jacek Pańkiewicz

Wielcy patrioci – zesłańcy polityczni – nie doczekali się w swojej ojczyźnie uznania za zaszczytne dokonania badawczo-odkrywcze zauralskich terytoriów

To, że Mikołaj Kopernik czy Maria Skłodowska-Curie wnieśli niebagatelny wkład w światowe dziedzictwo, znane jest wszystkim. Wędrując na mało utartych szlakach, wielokroć zdarzało mi się natknąć na innych wybitnych rodaków. Nad brzegiem Oceanu Indyjskiego na Madagaskarze odkryłem pomnik Maurycego Beniowskiego, ongiś władcy tej wyspy, na Wyspach Trobrianda w Papii-Nowej Gwinei byłem świadkiem żywych wspomnień światowego blasku

antropologa Bronisława Malinowskiego. W Australii, nieopodal Góry Kościuszki, trafiłem na monument Pawła Edmunda Strzeleckiego, utytułowanego eksploratora tego kontynentu. W Peru wypatrzyłem siedmiometrowy obelisk poświęcony budowniczemu Centralnej Kolei Transandyjskiej, Ernestowi Malinowskiemu, natomiast w kameruńskim Limbe nie umknęła mojej uwadze tablica pamiątkowa Stefana Szolca-Rogozińskiego, badacza tego kraju.

Galeria kultowych na świecie Polaków ogranicza się do niewielkiej liczby wyrazistych osób. Bywa też tak, że poza granicami naszego kraju popularność i uznanie osiągnęli badacze i odkrywcy, którzy powiększali zakres wiedzy o świecie, zapelniając na mapach ostatnie białe plamy. Kiedy na konferencji prasowej w 2016 r. w Warszawie przewodniczący ChRL Xi Jinping przywołał nazwisko polskiego ambasadora ostatniego cesarza z dynastii Ming, Michała Boyma, dziennikarze nie potrafili ukryć zdezorientowania. Nie

znali nazwiska. Trudno się dziwić, bo ceniący Polak odszedł w zapomnienie, nie zdobywając należnej mu pozycji w gronie najświetniejszych badaczy Orientu. A ogrom osiągnięć w sferze nauki wszechstronnie uzdolnionego uczonego ma wartość ogólnoswiatową. Twórca prac z zakresu botaniki, zoologii, medycyny, historii, geografii i języka chińskiego uważany jest za pioniera europejskiej sinologii. Pamięć o nim zachowała się natomiast w Chinach, gdzie zyskał sobie przydomek Polski Marco Polo.

Inną nietuzinkową postacią zasługującą na pomnik i miejsce w podręcznikach był Benedykt Polak. Wrocławski franciszkanin uczestniczył w posłannictwie Giovanniego da Pian del Carpine, którego papież Innocenty IV wysłał w 1245 r. ze specjalną misją do wielkiego chana, najpotężniejszego władcy średniowiecza. W swoim liście prosił rządzącego imperium mongolskim syna Dżyngis-chana o zaprzestanie najazdów na kraje Europy, a także proponował przyjęcie chrześcijaństwa. Niedostatecznie

dotąd spopularyzowana godna uwagi wyprawa pierwszego polskiego podróżnika miała znamienne i przełomowe znaczenie w dziejach eksploracji. Dostarczyła informacji o życiu i obyczajach Mongołów oraz organizacji ich państwa. Francuz Louis Vivien de Saint-Martin, autor fundamentalnej pracy poświęconej odkryciom geograficznym, napisał w 1873 r.: „Tworzy ona godną uwagi epokę w historii geografii Azji”, a profesor historii na Uniwersytecie w Birmingham Charles Raymond Beazley nazwał ją „najbardziej doniosłą podróżą” w ówczesnych dziejach świata.

SZACUNEK DLA DYBOWSKIEGO

Niegdyś, pośród kamczackich wulkanów, zetknąłem się z nazwiskiem Benedykta Dybowskiego, jednego z najbardziej zasłużonych i znanych zesłańców, który zasłynął nad Bajkałem z mających nierzadko prekursorski charakter prac w zakresie nauk biologicznych. Jego imię występuje 50 razy w nomenklaturze geologicznej i zoologicznej Syberii.

Na mocy amnestii w 1877 r. wrócił do okupowanej przez Moskali Warszawy. Jednak zrażony stosunkami panującymi w naukowych gremiach, a może bardziej porwany nostalgią postanowił wyjechać na kontrakt rządowy jako lekarz na Kamczatkę, która dla Rosjan zawsze była synonimem oddalenia, istnego „końca świata”. Godził tam z powodzeniem obowiązki medyka z wyprawami i badaniami antropologicznymi czy faunistycznymi, poznając Kamczatkę i Sachalin. Dobroczynność i współczucie okazane tubylczej ludności zaskarbiły mu szacunek i popularność. W trosce o biedujących mieszkańców Wysp Komandorskich zaprowadził tam rolnictwo i ogrodnictwo, sprowadził kozy, króliki, reny, co już za życia przyniosło mu rozgłos. Do kraju powrócił definitywnie w 1882 r., by objąć katedrę zoologii na Uniwersytecie Lwowskim.

W 2013 r. zdecydowałem przypomnieć o głośnych Polakach, dla których owiana ponurą reputacją Syberia była nie tylko miejscem zsyłki, lecz także polem do badań naukowo-odkrywczych, które z powodu braku własnej państwowości niestety nierzadko zapisywane były na konto Rosji. Projekt wyprawy szlakiem polskich zesłańców wywiezionych w XIX w. w głąb Imperium Rosyjskiego za udział w powstaniu listopadowym i styczenio-



wym czy za uczestnictwo w spiskach patriotycznych objęty został patronatem ministra kultury jako wyraz aprobaty dla wydarzenia o szczególnym charakterze. Starając się odciąć od naukowego polonocentryzmu, zamierzałem oddać cześć tej rzeszy deportowanych, którzy mieli być przede wszystkim odizolowani od swoich rodaków, tak aby daleko za Uralem nie sprawiali zagrożenia imperatorowi.

Los tych ludzi zwykle zależał od nich samych, od ich wykształcenia i przedsiębiorczości. Zmagali się z przeciwnościami surowej natury, ale pracując w wymagających nieprzeciętnego hartu ducha prymitywnych warunkach, ujawniali w sobie romantyczną żyłkę nieznanego, znajdując pole dla rozwijania własnych pasji poznawczych. Można stwierdzić, że naukowe i cywilizacyjne zasługi badaczy, którzy z konieczności oddali serca i umysły przybranej ojczyźnie, stworzyły nietuzinkowe podwaliny pod nowoczesną wiedzę o wschodnich rubieżach Rosji. Badacz relacji polsko-rosyjskich w XIX w., dr. hab. Antoni Kuczyński z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, twierdzi: „Nie wszyscy Polacy na zsyłce maszerowali w kajdanach i doświadczali okrucieństwa, niekoniecznie byli ofiarami caratu. Dla multum katorżników, zachowująca swój groźny i złowieszczy wydźwięk, Syberia dała możliwość samorealizacji zawodowej”.

GALERIA ZEŚLAŃCÓW NAUKOWCÓW

Szczególne osiągnięcia odnotował Aleksander Czekanowski. Wychowany w wileńsko-krzemienieckich tradycjach naukowych pierwsze lata kategorii spędził

w ciężkich warunkach w Kraju Zabajkalskim. Tam też w latach 1873–1875 Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne powierzyło mu prowadzenie badań geologicznych. Ogromną wartość miało wyjaśnienie struktury geologicznej olbrzymich obszarów zaliczanych do najstarszych części skorupy ziemskiej. Zgromadził zbiory obejmujące tysiące okazów paleontologicznych, botanicznych i zoologicznych. Swoje obserwacje zawarł w licznych publikacjach, niestety w Polsce mało znanych. Nazwisko Czekanowskiego spotyka się kilkakrotnie w nazewnictwie geograficznym Syberii. W nekrologu zredagowanym przez zarząd RTG napisano: „Nazwisko Czekanowskiego na zawsze pozostanie w pamięci wśród epokowych twórców wiedzy geograficznej”.

Wśród plejady zesłańców tego okresu wybija się skromny samouk Jan Czerski, którego wcześniej przymusowo wcielono do armii carskiej. Współtowarzysze nie doli nie kryli swojego podziwu dla jego zaangażowania i sumienności w pracy badawczej. Na zlecenie RTG Czerski opracował prekursorską mapę wybrzeża Bajkału. W 1891 r. Akademia Nauk skierowała go na pomiary topograficzne i do prac geologicznych w dorzeczu Kołymy. Choroba nie pozwoliła mu dokończyć ambitnej misji, zmarł w 1892 r. na płuca w 47. roku życia, w dolnym biegu długiej na ponad 2 tys. km rzeki. Nikogo nie wyróżniono taką liczbą nazw na mapach azjatyckiej części Rosji jak właśnie jego.

W państwie zaborczym obywatele podlegali obowiązkowi służby wojskowej, część, wbrew własnej woli, pracowała w administracji państwowej. Była też

niezamożna szlachta kresowego pogranicza, której odebrano folwarki. Młodzi ludzie, pozbawieni dworów i możliwości edukacji, w tej skomplikowanej rzeczywistości dobrowolnie zaciągali się w oficerskie szeregi zaborczej armii, która zapewniała rozwój, awans społeczny i godziwe życie. Rodzime elity polityczne i kulturalne w znacznym stopniu popierały to układanie się z najeźdźcą. Historia też nie obwinia zbyt wielu tych, którzy złożyli przysięgę na wierność carowi. W owych niezwykle trudnych czasach ludzie świadomi myśleli o tym, jak nie dopuścić do konfrontacji, niepotrzebnego rozlewu krwi, masowych prześladowań, zsyłki na Sybir, a nawet utraty resztek autonomii.

Dobrowolnie za chlebem udawały się tam także tysiące kresowych rodzin, które nie miały odwagi emigrować do

zdobycze zachodnich zwyczajów. W dobrym tonie było tam wszystko, co polskie: polski krawiec i lekarz, polski chleb, piwo, meble czy mydła firmy Wysockiego. Spośród 30 praktykujących lekarzy większość stanowili rodacy. Inżynierowie pochodzący z uczelni rosyjskich prowadzili wielkie budowy, rodzina Zawadowskich wzniosła handlowe imperium, nowator przemysłu węglowego Ignacy Sobieszczański nadawał ton guberni, fortunę zdobył odkrywca złóż ropy naftowej Witold Zglenicki, a słynący z działalności dobroczynnych Alfons Kozieli-Poklewski zaistniał jako polski Rockefeller. Ziomkowie obsadzali sądownictwo i administrację. Mikołaj Franciszek Saładzki był dobrze notowanym prezydentem Irkucka, w 1902 r. taką samą funkcję sprawował tam wychodźca z Litwy Bolesław Piotrowicz Szostakowicz, dziadek „ambasadora” polskiego prof. Bolesława Szostakowicza. Właściciel kopalń złota Zachary Cybulski był burmistrzem Tom-ska, Aleksander Zenowicz gubernatorem Tobolska, a gen. Bolesław Kukiel prezesem zachodniosyberyjskiego oddziału RTG. Miejscowy periodyk „Sibir” w 1881 r. ubolewał: „Wkrótce język polski wyruguje z użycia naszą mowę. Wszędzie w hotelach, sklepach i na ulicy słychać ich dysputy”.

Szacuje się, że na początku XX w. nasze, stopniowo wrastające w syberyjską ziemię wychodźstwo liczyło 70 tys. osób i co czwarty mieszkaniec posiadał polski rodowód. Mówi się, że Syberię zdobyli Kozacy, a zagospodarowali Polacy, oficjalnie obywatele Imperium Rosyjskiego narodowości polskiej. „Kultura rosyjska przeniknięta jest polskim genem” – głosił Aleksander Pietrow, historyk z irkuckiego uniwersytetu. Jeden z największych uczonych rosyjskich, geograf Piotr Siemionow Tienszański, pisał zaś z uznaniem: „Dorobek kilku dziesiątków zesłańców pod względem wielostronności, skali i objętości nie miał sobie równych”.

W nasyconym rodzimym duchem Irkucka poznałem potomka tamtej generacji. Aleksander K., zacnego charakteru emerytowany pracownik naukowy, którego dziadek należał do elity miasta, nie ukrywa rozterki: „Moja droga doszła donikąd. Nie, nie wyjadę już do Polski, bo za głęboko tu wrosłem. Nie mam swojej ziemi ojców, którą znałem tylko z opowiadań. Jestem zawieszony w obczyźnie, nie odnalazłem nigdy własnej tożsa-

mości i ostatnie lata przychodzi mi żyć z rozdartą duszą”.

TABLICA MEMORIALNA

Po cyklu konferencji, spotkań w różnych środowiskach w Irkucku i zaprezentowaniu mediom celu naszego projektu dotarłem z Krzysztofem Petkiem i Grzegorzem Lityńskim na Kamczatkę. Na oficjalnym spotkaniu z gubernatorem Władimirem Iljuchinem otrzymałem zgodę na zawieszenie przy centralnej ulicy miasta memorialnej tablicy poświęconej zasłużonemu dla regionu Benedyktowi Dybowskiemu. Kilka miesięcy później przywiozłem do Pietropawłowska Kamczackiego granitową płytę, którą przy dźwiękach muzyki Chopina 6 lutego 2014 r. uroczystie wmurowano przy ulicy Lenina pod numerem 46.

Odczuwam głębokie poczucie zadowolenia, że w czasie obchodów 150. rocznicy powstania styczniowego mogłem przypomnieć protagonistów tamtej epoki. Władimir Iljuchin w przesłanej mi laurce napisał: „To ważne dla nas wydarzenie niesie w sobie kształcącą i edukacyjną misję. Syn polskiego narodu Benedykt Dybowski pozostawił zaszczytną pamięć w historii Rosji [...]”. W imieniu wszystkich mieszkańców Kraju Kamczackiego wyrażam wdzięczność za Pański twórczy potencjał, za to, że urzeczywistnił swój projekt przywrócenia historycznej części i oddania należytego szacunku tym, którzy wnieśli wkład w poznanie Syberii i Dalekiego Wschodu Rosji”.

Napawają nas dumą figury badaczy surowej, zauralskiej krainy, a także szokują zaległości w popularyzacji miriady pozostałych, zmuszonych do tułaczego życia wychodźców, którzy zasłużyli na trwałe dobre imię. Biorąc pod uwagę ogrom krzywd, które ich dotknęły, oraz znaczące dokonania w ich drugiej ojczyźnie, której poświęcili życie, trzeba przyznać, że kraj narodzin nie obszedł się z nimi najlepiej.

Na cokołach pomników stawia się zwykle żołnierzy, artystów, przywódców politycznych, a nie zawsze wspomina się o niestrudzonych naukowcach i odkrywca-
ch ożywiających wiedzę o nieznanych. Żaden z tych przeznaczonych patriotów, wiernych synów narodu, nie doczekał się adekwatnej pozycji w świadomości potomnych. Mało poczyniono starań, aby bogate polskie dziedzictwo kulturowe zostało przykładowie upamiętnione.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Ameryki Północnej czy Brazylii. Wyjeżdżali kupcy, rzemieślnicy i inteligencja, która pod zaborem nie mogła liczyć na żadne stanowiska urzędnicze. Wykształceni w Sankt Petersburgu czy w Moskwie inżynierowie kolonizowali i zagospodarowywali te odległe, niegościnne terytoria. Pełni inicjatywy, wyróżniający się na rosyjskim tle wykształceniem i znacznie wyższym stopniem kulturowym wtapiali się w miejscową społeczność, zyskując powszechny szacunek i sympatię. Nie bacząc na piętno skażonych politycznych, cieszyli się poważaniem lokalnego środowiska naukowego i byli cennym nabytkiem dla miejscowej administracji, bo przynosili do odciętej od reszty świata peryferii europejską cywilizację i wpływali znacząco na rozwój tej części Azji.

Był okres, że przybyłszy znad Wisły i Niemna tworzyli klimat Irkucka, wnosząc



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Komuniści II RP w Warszawie

Arcyciekawa publikacja Elżbiety Kowalczyk „Komuniści w Warszawie. Działalność Komitetu Warszawskiego KPRP/KPP (1918–1938)” została wydana w ubiegłym roku przez IPN. Jest to praca źródłowa, bardzo bogato udokumentowana (autorka dotarła również do archiwów postsowieckich, które już teraz zapewne długo nie będą dostępne).

Opisana została czerwona pajęczyna tworzona przez „funków” (funkcjonariuszy) konspiracyjnych struktur komunistycznych, instytucji agenturalnej wobec państwa polskiego, dających do obalenia polskich władz i przyłączenia II RP do „ojczysty proletariatu”.

Liczebność organizacji komunistycznych nie była wprawdzie imponująca (na tle bogatego, jawnego życia politycznego w ówczesnej Polsce), ale ich kadry systematycznie przechodziły intensywne szkolenia w Związku Sowieckim, nie tylko polityczne i ideologiczne, lecz także z zakresu wojskowości, dywersji, szpiegostwa oraz zamachów terrorystycznych i skrytobójstw.

Mimo braku możliwości legalnego działania (zostali tego pozbawieni już w 1919 r. w wyniku terroru i oficjalnego programu – likwidacji „pańskiej” Polski) komuniści korzystali z licznych form działalności legalnej, przez wchodzenie do organizacji działających jawnie oraz zakładanie „niewinnych”

struktur własnych, pozorujących działania legalne. Ważnym zagadnieniem były finanse, pochodzące głównie z moskiewskiej centrali, a na rzecz kompartii. A od strony logistycznej i informacyjnej działała „technika partyjna” (utajniona nawet przed szeregowymi działaczami) zapewniająca łączność, druk, transport, „legalizację” (produkcję fałszywych dokumentów dla tzw. nielegalów, czyli funków usilnie poszukiwanych przez policję i wojsko). Powszechną praktyką była zmiana nazwisk na polskie.

Zamachami terrorystycznymi, szpiegostwem i pozyskiwaniem agencji w WP zajmował się Wydział Wojskowy, najmniej chyba znana komórka KPP.

W 1938 r. KPP została przez Stalina rozwiązana, a większość działaczy, którzy znaleźli się w jego zasięgu, została wymordowana. Dla II RP, a później dla Polskiego Państwa Podziemnego, było to dobrodziejstwo, ponieważ wpływy sowieckiej agencji zostały wydatnie zmniejszone. Ci, którzy przeżyli, stworzyli podwaliny pod Polskę Ludową – głównie jej aparat terroru. Ich nazwiska można znaleźć na... Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Największą wartością tej publikacji są obszerne aneksy zawierające dokumenty, fotografie, prasę, ulotki itp., a zwłaszcza życiorysy, w większości dotychczas mało znane lub całkiem nieznane. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Początki „Świata Młodych”

Najslynniejsze polskie czasopismo dla młodzieży powstało z połączenia dwóch innych tytułów: „Świata Przygód” i dwutygodnika harcerskiego „Na Tropie”. Nowy tygodnik zadebiutował 7 lutego 1949 r. i od samego początku przez jego redakcję przewijały się interesujące osoby. Należeli do nich: Jerzy Janicki, późniejszy scenarzysta seriali telewizyjnych („Dom”, „Polskie drogi”), oraz Wanda Chotomska, która zasłynęła jako popularna autorka książek dla dzieci. W tygodniku pracował też poeta Miron Białoszewski, a naczelnym został Janusz Domagalik. Natomiast Henryka Chmielewskiego (Papcia Chmiela) mianowano kierownikiem graficznym.

Z perspektywy czasu zadziwia inwencja ówczesnych autorów. Bohater komiksu „Ścisłe tajne” pochodził z Rawy Mazowieckiej i pokonał szlak bojowy od Lenino do Berlina, co nie przeszkodziło mu przemierzyć wcześniej kilku europejskich państw jako członkowi Polskich Sił Zbrojnych podległych rządowi w Londynie.

Autorkami innego cyklu były Maja Berezowska i Magdalena Samozwaniec, jednak wymyślona przez nie historia Murzyna i Chińczyka prześladowanych ze względów rasowych w USA nie zdobyła uznania czytelników. Podobnie jak powieść o Don Kichocie, który pod wpływem polskich harcerzy porzucił za-

wód błędnego rycerza i został maszynistą kolejowym.

Pod naciskiem władz zaczęto ograniczać drukowanie komiksów, a nieliczne, które się pojawiały, miały nachalny wydźwięk propagandowy. Oczywiście nikomu nie przyszło do głowy, by nazywać je komiksami, bo określenie to było jeszcze groźniejszym symbolem imperializmu niż Coca-Cola. Wobec tego używano nazwy „film obrazkowy”.

Mimo wszelkich problemów „Świat Młodych” zyskiwał coraz większą popularność. Inna sprawa, że na polskim rynku nie miał żadnej konkurencji. Jego nakład przekroczył 200 tys. egzemplarzy i gazeta zaczęła ukazywać się dwa razy w tygodniu. Złośliwi twierdzili, że jej powodzenie jest spowodowane brakami w dostawach papieru toaletowego, ale tytuł szybko wrósł w krajobraz prasowy nad Wisłą.

Wprawdzie w każdym numerze musiały pojawiać się zachwyty nad osiągnięciami sowieckiej kultury i nauki, ale w zamian można było sobie pozwolić na publikację o charakterze komiksowym. Nikt jednak wtedy nie przypuszczał, że jeden z kolejnych filmów obrazkowych sprawi, iż „Świat Młodych” zyska miano kultowego, a jego kierownik graficzny na stałe zapisze się w dziejach polskiej kultury. Wystarczyli pewna mała mówiąca po polsku i jej dwaj kompani. Do tego czasu musiało upłynąć jeszcze prawie 10 lat. ©©



Maciej Szymanowski

Przy rekordowej frekwencji, z rekordowo wysokim wynikiem, po rekordowo długo prowadzonej własnej kampanii wyborczej po funkcję prezydenta Czech sięgnął generał armii w stanie spoczynku Petr Pavel. Liczba skrajnie odbiegających od siebie charakterystyk tej postaci, która pojawiła się następnie nie tylko w polskich mediach, potwierdziła, że Petr Pavel nadzwyczaj dobrze opanował w swoim życiu nie tylko kunszt żołnierza wojsk powietrznodesantowych, lecz także sposób komunikowania się typowy dla oficera wywiadu i dyplomaty

Petr Pavel urodził się w listopadzie 1961 r. w bardzo małym i jeszcze bardziej urokliwym mieście Plané, w zachodniej części byłej Czechosłowacji, jako dziecko księgowej oraz oficera wywiadu wojskowego, związanego z partią komunistyczną jeszcze w okresie międzywojennym. Mundur stał się drugą twarzą także młodego Petra, który najpierw ukończył kadeckie gimnazjum w Opawie, następnie Akademię Wojsk Lądowych Vyškovie, aby w 1983 r. trafić do oddziałów powietrznodesantowych w Prostějovie. Na kilka lat przed aksamitną rewolucją wstąpił do partii komunistycznej oraz absolwował szkolenie wywiadowcze połączone z intensywną nauką języka francuskiego. Wcześniej – za namową ojca – dobrze opanował zarówno język rosyjski, jak i angielski. To właśnie znajomość tego ostatniego języka po 1989 r. stała się przepustką do nowego rozdziału życia ówczesnego podpułkownika. Jako jeden z nielicznych wysokich rangą czeskich oficerów znających język angielski był wysyłany na różne szkolenia do brytyj-

Kim jest generał Petr Pavel?



skich i amerykańskich szkół wojskowych, wziął udział w misji pokojowej UNPROFOR na Bałkanach, trafił do Sojuszniczego Dowództwa Sił Połączonych, pełnił funkcję oficera łącznikowego w czasie tzw. drugiej wojny w Zatoce Perskiej, która doprowadziła do upadku reżimu Saddama Husajna.

Od 2012 r. Petr Pavel pełnił funkcję szefa Sztabu Generalnego Czeskich Sił Zbrojnych, aby trzy lata później objąć stanowisko szefa Komitetu Wojskowego NATO – po sekretarzu generalnym drugie najważniejsze w strukturach sojuszu. W ten sposób stał się pierwszym w dziejach paktu byłym żołnierzem Układu Warszawskiego, który sięgnął po tak wysoką funkcję. A zarazem najwyższą od lat postawioną Czechem w organizacjach międzynarodowych.

W 2018 r. Petr Pavel powrócił do kraju i przeszedł na emeryturę po 40 latach wojskowej kariery. Trochę wykładał, ale głównie prowadził przy pomocy różnych stowarzyszeń i fundacji – w tym współzакładanych przez samego siebie – działalność prospołeczną. Sporo podróżował w tym czasie po kraju, także w okresie pandemii. W wypowiedzi z 2019 r. dla tygodnika „Reflex” po raz pierwszy daje do zrozumienia, że ma prezydenckie ambicje, choć dopiero wiosną 2022 r. wyznaje to w pełni otwarcie. Próba zajęcia przez Rosję całej Ukrainy i wybuch regularnej wojny na Wschodzie otwierają dla postaci i przemysłu generała praktycznie wszystkie media. Z drugiej strony to czas, kiedy daje się poznać w cywilnym ubraniu, pojawiając się publicznie nawet w klasycznej flanelowej koszuli w kratę, która stanie się później jedną z ikon kampanii wyborczej.

Z dziennikarzami chętnie spotyka się w swoim domu w Černoučku, położonym zaledwie 4 km od góry Říp, na której według legendy praojciec Czech zdecydował o zaprzestaniu dalszej wędrówki i osiedleniu się przez jego naród w kotlinie zwanej później czeską. Popularne nad Wełtawą powiedzonko „Czym dla Mahometa Mekka, tym Říp dla Czecha” jest co prawda przesadą, jednak do dzisiaj faktem pozostaje, że kolejny czeski prezydent raz w roku, zwykle w dniu św. Jerzego, udają się w pieszą pielgrzymkę na szczyt tej osadzonej w głębokiej narodowej mitologii góry (456 m n.p.m.), demonstrując

tym zarówno przywiązanie do narodowej tradycji, jak i własną sprawność fizyczną.

Dla zarejestrowania kandydatury w wyborach prezydenckich gen. Pavel zebrał ponad 80 tys. podpisów obywateli (z wymaganych 50 tys.). „Przywróćmy Czechom spokój i porządek” – stało się naczelnym hasłem jego kampanii, w której od początku wszystkie sondaże przyznawały zwycięstwo właśnie generałowi. Zwłaszcza gdyby w drugiej turze wyborów miał się zmierzyć z byłym premierem Andrejem Babišem, liderem od lat najpopularniejszej nad Wełtawą

W 2015 r. Petr Pavel jako pierwszy żołnierz byłego Układu Warszawskiego zajął stanowisko szefa Komitetu Wojskowego NATO

partii ANO. Rzeczywistość potwierdziła sondaże. Po wyrównanej pierwszej turze, gdzie generał wyprzedził byłego premiera o zaledwie kilkanaście tysięcy głosów, w drugiej turze, m.in. dzięki poparciu przekazanemu mu przez innych kandydatów w wyborczym wyścigu, otrzymał blisko milion głosów więcej, przy rekordowej – ponad 70-procentowej – frekwencji, rozstrzygając wyborczy pojedynek stosunkiem głosów 58 proc. do 42 proc. na swoją korzyść.

TAJEMNICZE POGLĄDY

Zwycięstwo Petra Pavla okazało się przekonujące i jasne. Jednak odpowiedź na pytanie, co ono będzie oznaczać w praktyce, wcale nie jest taka prosta. Kiedy czeski tygodnik „Echo24” rozesał kandydatom na prezydenta ankietę z 20 pytaniami mającymi wyborcy ułatwić wybór, dwóch nie odesłało odpowiedzi: Andrej Babiš i... Petr Pavel. Co jeszcze ciekawsze, o ile redaktorzy „Echo24” łatwo poradzi sobie z zadaniem rekonstrukcji poglądów Babiša na podstawie jego wcześniejszych publicznych wypowiedzi, o tyle nieomal całkowicie poległ przy podobnej próbie w przypadku Pavla. Okazało się, że nic nie wiadomo o poglądach kandydata na

prezydenta państwa na takie, wydawałoby się naturalne, tematy, jak: kto jest najważniejszą postacią historyczną dla generała, jaka jest jego ulubiona książka, film czy miejsce spędzania wakacji. Także niemożliwe okazało się wskazanie, czy bliżej mu do lewicy czy prawicy albo co sądzi o pomysle federalizacji UE.

W kwestiach międzynarodowych nie pozostawiające cienia wątpliwości pozostawały wypowiedzi generała dotyczące potrzeby dalszego wzmacniania NATO, w tym przez jego dalsze rozszerzenie, oraz jednoznaczna krytyka rosyjskiego ekspansjonizmu. A także konieczność wzmacniania Unii Europejskiej oraz działań UE jako całości – tu jednak bez wchodzenia w żadne dalsze szczegóły.

Jeszcze jako kandydat na prezydenta Petr Pavel zadeklarował też chęć udania się do Warszawy w swoją drugą – czyli de facto w pierwszą zagraniczną – podróż, biorąc pod uwagę to, że czescy prezydenci i premierzy od lat zwyczajowo odwiedzają po wyborach najpierw Bratysławę. Prezydent elekt zapowiedział także rychłe wybranie się wraz z prezydent Słowacji, Zuzanną Čaputová, z wizytą do Kijowa, co jest gestem nie do przecenienia z uwagi na krwawą wojnę i ogólną sytuację panującą obecnie na Ukrainie, jak i stopniowo, ale stale malejące – w obu zresztą państwach – poparcie społeczne dla dalszego udzielania pomocy temu krajowi i jego obywatelom. (Na przykład w badaniu sondażowym ośrodka CVVM z polityką czeskiego rządu w sprawie świadczenia pomocy Ukrainie zgadzało się w grudniu ub.r. 42 proc. ankietowanych, a nie zgadzało się 52 proc. obywateli).

Chociaż czeski prezydent ma bardziej ograniczony zakres kompetencji niż prezydent RP, o głowie francuskiego państwa już nawet nie wspominając, to pochodzący z wyborów powszechnych mocny i świeżo zdobyty mandat społeczny stwarza nowemu prezydentowi spore pole do działania. Prezydent elekt już zapowiedział kontynuację podróży po kraju celem zapoznania się z oczekiwaniami obywateli, których odzwierciedlenie następnie chciałby widzieć w postaci konkretnych ustaw. Wyraził też pragnienie uczestniczenia w posiedzeniach rządu – „częściej, niż czynili to moi poprzednicy”. A dodajmy, że wszystko to

są zapowiedzi działań w sytuacji, kiedy zaprzysiężony przed nieco ponad rokiem rząd utracił znaczącą część popularyści, ciesząc się obecnie zaufaniem zaledwie 30–35 proc. obywateli.

POCZUCIE ROZCZAROWANIA

Z ujętego w programie rządzącej koalicji naczelnego motta – „Oszczędzać na państwie, nie na ludziach” – na razie nie udało się nic zrealizować. Deficyt budżetowy wzrósł, a nie zmalał, a reszty dokonała wyższa niż w Polsce inflacja, przy niższym wzroście wysokości pensji. Tym samym średnia płaca realna uległa w ub.r. w Czechach obniżce aż o 8 proc. Czeską prezydentkę w Radzie Unii Europejskiej rząd (słusznie) uważa za swój sukces. Z formalnego punktu widzenia wszystko przebiegło sprawnie. Przeciwnemu obywatelowi czas prezydentki kojarzy się jednak z długim,

Popularyści czeskiemu rządowi – opartemu na sojuszu aż pięciu partii – nie przysparzają spory wewnętrzne

zdecydowanie zbyt długim oczekiwaniem na tzw. europejskie rozwiązanie mogące ograniczyć gwałtownie rosnące ceny energii elektrycznej. Dopiero kiedy zaczęły się uliczne protesty obywateli, którzy otrzymali kilkasetprocentowe podwyżki zaliczek na opłaty za energię elektryczną, rząd przystąpił do tworzenia programów osłonowych dla obywateli.

Co więcej, ostatnie tygodnie upływają w Czechach pod znakiem problemów z dostępnością antybiotyków i innych leków w aptekach, na co rząd reaguje posunięciami mogącymi przynieść z pewnością korzystne zmiany, ale w perspektywie dwóch–trzech lat. O obiecanej reformie emerytalnej słuch zaginął.

Działania rządu, a raczej brak realnych działań, nie rozprasza dobrze widocznego także na wyborczej mapie kraju strachu zatrudnionych w głównych centrach przemysłowych z wpływu tzw. Green

Dealu na miejsca ich pracy i sposób życia. Popularyści rządowi nie przysparzają też spory wewnętrzne. Rząd – oparty na sojuszu aż pięciu partii, od dysponującej wieloletnim doświadczeniem płynącym ze sprawowania władzy prawicowej partii ODS premiera Petra Fialy do liberalnie antysystemowych Piratów – w zasadzie znajduje się w fazie permanentnego uzgadniania „stanowiska w sprawie stanowiska”.

Co prawda, kolejne dwa lata, w trakcie których nie będą się odbywały żadne wybory, otwierają, jak w każdej demokracji, okienko możliwości do energicznych działań. Jeśli jednak ten czas nie zostanie dobrze wykorzystany, to większe może pojawić się potem społeczne rozczarowanie. Tak wysoki poziom zaufania, okazywany w ostatnich wyborach gen. Pavlovi, daje się tłumaczyć również tym, że nad Węłtawą narasta poczucie społecznego rozczarowania. A z drugiej strony rosną oczekiwania co do bardziej energicznych działań ze strony rządzących. Kiedy tych brak, zwykle dzieje się to, co od wielu miesięcy właśnie śledzimy na Słowacji: rozpisany na odcinki spektakularny upadek rządów coraz bardziej skłóconej i zajmującej się sama sobą prawicy.

POLITYKA WOLNA OD PODZIAŁÓW?

Wracając jeszcze do sukcesu odniesionego przez Petra Pavla, nie sposób nie zauważyć, że idealnie wpisał się on w pewną linię postrzegania państwa i polityki przez (chyba) większość czeskiego społeczeństwa. Ideą „postpolitycznej” polityki, polityki wolnej od podziałów na lewicę i prawicę,

Vaclav Havel, pierwszy prezydent Czech, zaskarbiał sobie przez lata serca i umysły milionów Czechów, bez względu na dzielące ich różnice co do wieku czy wykształcenia. Lider partii ANO, pełniący przez osiem lat funkcję wicepremiera, okazał się atrakcyjny dzięki swojej wizji państwa jako dużego przedsiębiorstwa, które powinno być zarządzane bardziej przez menedżerów niż przez polityków. W dość podobny kierunek myślenia o państwie i polityce zdaje się mocno wpisywać także Petr Pavel, który 9 marca stanie się formalnie czeskim prezydentem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Instytutu im. Wacława Felczaka w Warszawie.

TOMASZ D. KOLANEK: Zdecydowana większość ludzi na Zachodzie, w tym w Polsce, jest przekonana, że Putin to Rosja, a Rosja to Putin. Jak pan – człowiek, który od 20 lat zajmuje się badaniem Rosji i który przez wiele lat był przewodnikiem po Rosji – na to patrzy?

PROF. MICHAŁ LUBINA: Putin na pewno nie jest całą Rosją. Reprezentuje on sobą tradycyjny paradygmat władzy w Rosji. Putin to najlepszy przykład tego, jak niemal od zawsze wygląda i działa rosyjski mainstream polityczny, czyli jakkolwiek to zabrmi: tradycyjne podejście do rosyjskiego sprawowania władzy i relacji władza – człowiek. Putin to również tradycyjne podejście do idei mocarstwowej w Rosji – największego państwa świata, które istnieje od wieków. Podkreślam jednak raz jeszcze: to, co reprezentuje Putin, to nie jest cała Rosja. Są tam również inni ludzie i inne wizje Rosji, świata, polityki – jedne są bardziej opozycyjne, inne bardziej nacjonalistyczne, jeszcze inne skrajnie szowinistyczne. Biorąc jednak w nawias te wszystkie rozważania, Putin jest przedstawicielem „głównego nurtu” i w pewien sposób ucieleśnieniem odwiecznego podejścia do ludzi rosyjskich władz oraz hasła „Albo Rosja będzie mocarstwem, albo nie będzie jej wcale”.

Putin bardziej nawiązuje do „tradycji” komunistycznej ZSRS czy może do tradycji Rosji carów?

Putin jest eklektyczny, a mówiąc bardziej teoretycznie poprawnym językiem, jest on hybrydowy, to znaczy: łączy różnego rodzaju elementy.

Podstawowym problemem Federacji Rosyjskiej po 1991 r. jest brak (nowej) rosyjskiej idei, czyli jakiejś jednej ogólnej idei państwa. W przypadku Rosji carskiej taką ideą były różnego rodzaju warianty prawosławne, jak idea „Trzeciego Rzymu” czy „Rosji jako obrońcy Słowiańszczyzny” etc. Z kolei jeśli chodzi o ZSRS, to mieliśmy do czynienia z mesjanizmem internacjonalistycznym, z przerobionym marksizmem, którego główne założenie mówiło, że należy skomunizować i zateizować cały świat. Federacja Rosyjska mimo podejmowanych prób i wysiłków nie ma takiej jednej idei, o takim natężeniu jak Rosja carów czy ZSRS.

Jeżeli spojrzymy na to, jakie były główne pomysły Federacji Rosyjskiej na siebie samą w ostatnich 30 latach, to wi-

dać, że Moskwa szuka jakiegoś głównego elementu politycznego. Raz jest to obrona Rosjan poza granicami, innym razem antyamerykanizm. Nie jest to jednak ten sam poziom ideowy, co 100, 200, 300 lat temu. To wszystko jest trochę intelektualnie drugoligowe, słabsze i bardziej ograniczone niż koncepcje sprzed dekad czy wieków.

Federacja Rosyjska nie jest na tym samym poziomie ambicji i potęgi, co jej poprzednie wcielenia, które miały ambicje globalne. Tutaj mamy do czynienia z ambicjami lokalnymi ograniczającymi się do terytorium byłego ZSRS i pozostałych obszarów „bliskiej zagranicy”.



Z prof. Michałem Lubiną, politologiem, badaczem stosunków międzynarodowych rozmawia Tomasz D. Kolanek

Kto zagospodaruje rosyjską pustkę duchową?

Jednocześnie jednak ze względu na to, że Federacja Rosyjska cały czas po 1991 r. szuka swojego miejsca na świecie, stara się wybierać to, co w danej chwili jest najlepsze z tradycji carów i komunistów. Najlepszym przykładem jest tutaj plac Czerwony w Moskwie. Z jednej strony mamy tam mauzoleum Lenina, z drugiej sobór Wasyla Błogosławionego, z trzeciej mury Kremla, z czwartej czerwone gwiazdy na otaczających budynkach. Ewidentnie więc jest to próba połączenia dwóch tradycji. Próba, która nie za dobrze się zgrywa. Wśród ludzi takim placem Czerwonym jest właśnie

Władimir Putin, który również próbuje łączyć elementy carskie i sowieckie.

Na dobrą sprawę jedyna rzecz, która jest spójna od wieków w Rosji, to imperializm, mocarstwowość, przekonanie, że „albo Rosja będzie mocarstwem, albo nie będzie jej wcale”.

Jak spojrzymy na Putina i jego władzę, to widzimy kilka okresów. Początkowo mamy ewidentne przyłączenie się do Zachodu, co widać wyraźnie po 11 września 2001 r. Potem jednak Putin stopniowo od tego odchodził. Moim zdaniem było to zamierzone działanie, ponieważ w ten sposób Putin szukał rosyjskiej tożsamości i miejsca Rosji we współ-

czesnym świecie. To wszystko łączy się z poszukiwaniem rosyjskiej duszy. Czy to kiedykolwiek się uda? Tego nie wiem, ale wiem za to, że Rosja nigdy nie zrezygnuje z idei mocarstwowości.

Czy elementem rosyjskiej duszy jest swego rodzaju mesjanizm? Wywołał pan „Trzeci Rzym” czy „obronę Słowiańszczyzny”? W mojej ocenie teraz Rosja przedstawia się jako „ostatni obrońca prawdziwego chrześcijaństwa, który nawróci świat”...

Proszę zauważyć, jak wygląda rosyjska propaganda, jeśli chodzi o wojnę na Ukrainie. Mówią o denazyfikacji, o walce z satanistami etc. Często jest to po prostu

■ groteskowe, co nie zmienia jednak faktu, że pośrednio ujawnia to potrzebę duchową wielu Rosjan.

Proszę pamiętać, że Rosjanie są narodem duchowo bardzo mocno sponiewieranym przez wiek XX. Przed rewolucją październikową rosyjski mesjanizm był spójny w sensie intelektualnym. Obecnie po komunistycznym walcu, który jeździł po Rosjanach przez niemal cały wiek XX, mamy do czynienia z jednym wielkim chaosem. To pokazuje, że komuniści nie zabili w Rosjanach elementów duchowych i potrzeb wyższych, metafizycznych. Mam wrażenie, że Rosjanie wciąż poszukują uzasadnienia dla swojego mesjanizmu, a co za tym idzie, swojego imperializmu. Nie jest na pewno tak, że wszystko odbywa się na prostackim poziomie, w sensie: „Atakujemy Ukrainę, bo chcemy być imperium”. Moim zdaniem oni szukają czegoś więcej: „Chcemy być imperium, bo mamy misję”.

Przypomnę tylko, że patriarcha Cyryl powiedział, że to, co na Ukrainie ma znaczenie metafizyczne, to walka z Antychrystem. To chyba najlepiej pokazuje, że Rosjanie mają potrzebę uzasadniania tego, co robią, niezależnie od tego, czy jest to dobre czy złe z perspektywy metafizycznej. Brakoby miejsca, gdybym chciał wymienić tutaj wszystkie uzasadnienia wojny na Ukrainie. Po co są one przedstawiane Rosjanom? Żeby przekonać ich, że nie chodzi tylko o samo najechanie i podbicie Ukrainy, tylko o „coś więcej”. Czy to się udaje? Moim zdaniem nie zawsze i nie wszędzie. Wszystko przez chaos duchowy po 1991 r., z którego Rosja do dziś nie wyszła.

Chce pan powiedzieć, że Rosjanie sami z siebie nie wierzą czy to w rosyjski mesjanizm, czy to w rosyjski syndrom oblężonej twierdzy, tylko służą im to do usprawiedliwiania wszystkiego?

Nie. Moim zdaniem w przypadku Rosji mamy do czynienia z bardzo ciekawą mieszanką elementów racjonalnych i metafizycznych. Myślenie kategoriami buforów czy tego, żeby oddalać zagrożenie od rdzenia kraju, jest mocno realistyczne i pod tym względem stąd też wynika pewne zrozumienie dla działań Rosji w określonych kręgach tzw. realistów politycznych na Zachodzie. Elementy racjonalne są w pewnym sensie uniwersalne. Jeśli ktoś mówi nam, że NATO osacza

Rosję, to jedna osoba może się z tym nie zgadzać i argumentować, dlaczego to nie jest prawda. Z drugiej jednak strony nie możemy nikomu zabronić myślenia, że tak jest, ponieważ w jakimś sensie jest to racjonalne.

Całe piękno, a może cała tragedia Rosji polega na tym, że elementy racjonalne, czyli te, które są w jakimś stopniu zdroworozsądkowe, łączą się z elementami duchowymi i ideologicznymi. To wszystko się ze sobą miesza, przez co nie wiemy do końca, co doprowadziło do danej decyzji. Jeżeli spojrzymy na Ukrainę, to z jednej strony mamy do czynienia z racjonalnym myśleniem w kategoriach typu: Kijów jest prozachodni; z Kijowa jest blisko do Moskwy; wniosek: to zagrożenie dla Rosji. Z drugiej strony mamy element kulturowy, czyli chęć zawładnięcia dziedzictwa Rusi Kijowskiej i z tej perspektywy nie może być niepodległej Ukrainy, ponieważ sypie się cały paradygmat z przejściem od Kijowa do Moskwy w czasach Rusi. Do tego jeszcze dochodzi element emocjonalny pt. „Ukraińcy to Małorusini” czy też „młodszy bracia”. Na dobrą sprawę te wszystkie elementy są ze sobą połączone i pomieszane zarówno na poziomie jednostkowym, jak i państwowym, a co za tym idzie, bardzo trudno to rozsupłać.

To nie jest tak, że decyduje jeden element. Jest takie trafne stwierdzenie: „Jeżeli ktoś bada jakiegokolwiek nauki społeczne i uważa, że jest jedna przyczyna, która o czymś decyduje, to powinien zmienić zawód”. Nigdy nie jest tak, że jest jedna przyczyna, a w przypadku Rosji jest to szczególnie ciekawe. Elementy duchowe w jednym miejscu dominują, a w innym ich praktycznie nie ma w przestrzeni publicznej. Raz są one propagandą, a raz prawdziwą wiarą. Raz uzasadnieniem, a raz próbą poszukiwania sensu działania.

Czymkolwiek by jednak były elementy duchowe, to moim zdaniem pokazują one jedną prawdę o „charakterze narodowym” (jeśli możemy użyć tej kategorii): trzeba czegoś więcej niż tylko siły. Siła jest oczywiście niezbędna, żeby była jasność. Rosjanie to naród kochający siłę, ale za tą siłą musi stać jakaś idea. Ponieważ obecnie Rosja ma problem z tą ideą, to ma również problem z jej uzasadnieniem i stąd, jak już podkreślałem, dziesiątki wytłumaczeń agresji na Ukrainę, czasem sprzecznych ze sobą.

Powiem szczerze: nie wiem, czy Rosjanie uwierzyli Cyrylowi, że na Ukrainie trwa wojna religijna, ale odnoszę wrażenie, iż wielu z nich autentycznie wierzy, że prawosławie to ostatni





FOT. ADRIAN STOLIK

bastion prawdziwego chrześcijaństwa, które nie jest „zepsute” chociażby przez ideologię LGBT tak jak chrześcijaństwo na Zachodzie. I tutaj moje pytanie: Czy w Rosji ma miejsce, jak niektórzy sugerują, swego rodzaju odrodzenie religijne czy to wszystko jest teatrem, grą, maską? Cyryl w sposób niewystarczający uzasadnił Rosjanom przyczyny użycia siły na Ukrainie, więc poszukamy odpowiedzi u muzułmanów Kadyrowa?

Jeśli chodzi o patriarchę Cyryla, to człowiek ten kojarzy mi się z postacią z filmu „Lewiatan”. Pod koniec filmu widzimy scenę, w której hierarcha wygłasza kazanie o tym, że Pan Jezus wszystko widzi i każdego ze wszystkiego rozliczy, a sam mówiący te słowa jest zdegenerowany do szpiku kości. Cyryl, który był agentem KGB, człowiekiem, do którego powinno się mówić „towarzyszu”, a nie „batuszko”, dla mnie nie jest, mówiąc najdelikatniej, człowiekiem przekonującym. Nie wykluczam jednak, że może mieć w sobie jakieś elementy duchowe, ale z zewnątrz każdy widzi, jak źle to wygląda. Powiem teraz coś banalnego: w prawosławiu Cerkiew zawsze żyła z władzą dobrze. To jest tradycja bizantyjska, która jest kompletnie inna niż w Europie Zachodniej. To jest tradycja, która istnieje od IV w. n.e., i zgodnie z nią Cerkiew musi być przyklejona do władzy.

A czy władza musi być przyklejona do Cerkwi?

Władza teoretycznie powinna być chrześcijańska. Trzeba jednak pamiętać o elemencie asymetrii siły: od czasów Bizancjum to władza była silniejszym elementem niż Cerkiew. Są to na pewno raz w mniejszym, raz w większym stopniu naczynia połączone – jedni wpływają na drugich, ale jednak zawsze władza jest silniejsza.

Trzeba pamiętać również o tym, że Cerkiew przez wieki była coraz bardziej podporządkowywana przez władzę w Rosji. Pamiętam, jakim szokiem było dla mnie, kiedy na studiach rosjoznawczych dowiedziałem się, że Piotr I wprowadził zasadę: jeśli ktoś w spowiedzi powie, iż ma pomysł spisku czy wystąpienia przeciwko władzy, to spowiednik ma obowiązek doniesienia o tym władzy państwowej. To było dla mnie absolutnie szokujące. Tajemnica spowiedzi to fundament chrześcijaństwa, wielu polskich księży w czasie wojny oddało życie, broniąc tajemnicy spowiedzi, a tutaj proszę: władza wymagała, batiuszka donosił.

Powtarzam: w tym modelu władza zawsze jest silniejsza i Cerkiew ma to z tyłu głowy. Ale do tego dochodzi jeszcze jeden element, który moim zdaniem jest bardzo racjonalny: mamy do czynienia

ze swego rodzaju specyficznym odrodzeniem duchowym w Rosji po 1991 r. Problem polega na tym, że odrodzenie to odbywa się na wielkiej pustyni duchowej, ponieważ komunizm przeorał dusze większości Rosjan i zostawił tam pustkę. Na tej pustce próbuje się prawosławie, ale nie próżnują również protestanci czy najróżniejsze sekty, od okołochrześcijańskich do różnych egzotycznych, np. indyjskich. Prawosławie jednak jest nadal najsilniejsze, ale z drugiej strony na razie to odrodzenie nie jest jakieś nadzwyczajne, więc Cerkiew potrzebuje opieki państwa, by odzyskać to, co straciła w czasach komunizmu.

Jeśli chodzi o wartości tradycyjne, to Rosja wciąż jest w czołówce krajów, jeśli chodzi o liczbę rozwodów (według danych Rostatu wskaźnik rozwodów wynosi 4,1; podczas gdy w żadnym innym kraju europejskim nie doszedł powyżej 3,1; w Polsce jest to 1,7; dane Eurostatu), tak jakby rozwód był wpisany w tamtejszą tożsamość; Rosja jest europejskim liderem, jeśli chodzi o liczbę aborcji (według WHO w 2019 r. w Rosji dokonano 351 aborcji na 1000 urodzeń; dla porównania: w Szwecji było to 306, a w Niemczech 130), tak jakby aborcja była tam elementem codziennej kultury i nawet zakaz reklamowania aborcji wprowadzony przez Putina nie jest w stanie tego zmienić etc.

Jedynym, co wyróżnia Rosję, jeśli chodzi o wartości tradycyjne, jest sprzeciw wobec LGBT i gender. Ja jednak traktuję to jako element sprzeciwu wobec Zachodu i obrony własnej tożsamości. Nie musi to wynikać z prawosławia, tylko z wywołanego już syndromu obłądzonej twierdzy – Rosja nie chce być taka jak Zachód; Rosja nie chce, aby Zachód narzucił jej kolejne elementy, więc trzyma się tego, co ma, i odrzuca przekonanie o wielości płci. Bowiem, jakkolwiek to absurdalnie brzmi np. dla Ukraińców: Rosja nie uważa się za agresywną, tylko za defensywną, za katechona, tarczę chroniącą przed złem. A że najlepszą obroną jest atak, to mamy wojnę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Michał Lubina – politolog, podróżnik, badacz stosunków międzynarodowych, specjalista w problematyce stosunków rosyjsko-chińskich.



Piotr Włoczyk

Najnowsza książka Chisa Whipple'a ujawnia kulisy kluczowych decyzji amerykańskiej administracji w obliczu wojny na Ukrainie. W tej historii pojawia się też ważny polski wątek

Amerykanie po raz pierwszy poważnie zaniepokoiili się ruchami rosyjskich wojsk niemal dokładnie rok przed pełnoskalową inwazją na Ukrainę. Na początku 2021 r. wywiad satelitarny USA wykrył duże zgrupowania wojsk rosyjskich przy granicach z Ukrainą. Były one zdecydowanie zbyt duże jak na rutynowe na ćwiczenia, które Rosjanie przeprowadzali tam od lat. Zanim jednak na dobre rozbrzmiały w Waszyngtonie dzwony alarmowe, Rosjanie wycofali stamtąd większość wojsk.

Opublikowana w styczniu książka „The Fight of His Life: Inside Joe Biden's White House” („Walka jego życia: Kulisy Białego Domu Joe Bidena”) dziennikarza Chisa Whipple'a odbiła się w USA szerokim echem. Autor dotarł do kluczowych decydentów i opisał polityczną kuchnię Białego Domu pod rządami Bidena. Większość książki dotyczy naturalnie meandrów polityki wewnętrznej, a jednak spora część koncentruje się na wojnie na Ukrainie, szczególnie jeżeli chodzi o cztery kluczowe miesiące przed inwazją.

MISJA SZEFA CIA

Gdy jesienią 2021 r. rosyjskie wojsko wróciło w dużej liczbie na granice z Ukrainą, amerykański wywiad zaczął przekazywać do Białego Domu coraz bardziej alarmujące informacje. Wszystko wskazywało na to, że nie są to żadne ćwiczenia ani nawet próba zastraszenia Ukrainy, tylko przygotowania do uderzenia z Białorusi i samej Rosji, które właśnie wchodziły w ostateczną fazę.

Whipple – na podstawie rozmów z decydentami z najbliższego grona prezydenta USA – opisuje, jak Biden postanowił nie popełniać błędów Obamy z 2014 r. i zadecydował, że należy po-



Kulisy rosyjskiej inwazji

FOT. DREW LANGER/GETTY IMAGES

dzielić się informacjami wywiadowczymi. I to zarówno z kluczowymi sojusznikami, jak i generalnie z opinią publiczną.

Podczas spotkania G20 w Rzymie w październiku 2021 r. prezydent USA ujawnił w rozmowach z przywódcami Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Włoch swoją wiedzę na temat rosyjskich planów. Jedynie Brytyjczycy uznali, że należy do tego podchodzić poważnie. Reszta przywódców miała według informacji Whipple'a okazać daleko idący sceptycyzm. W grupie sceptyków wyróżniali się Niemcy, którzy przekonywali resztę, że Putin jedynie przeży muskuły i że uderzenie na Ukrainę jest kompletnie nierealne. Rosja miałaby w tej optyce zbyt dużo do stracenia, by atakować Kijów i próbować zmienić ukraińskie władze.

Szczególnie cenne informacje przynosi Whipple na temat wizyty Williama Burnsa, szefa CIA (w czasie prezydentury George'a W. Busha był on ambasadorem USA w Rosji), który odwiedził Kreml. Rozmówcy Whipple'a oceniają Burnsa jako najlepszego amerykańskiego znawcę putinowskiej Rosji, którego mógł wy-

śłać Biden. Burns wylądował w Moskwie 2 listopada. Jego pierwszym rozmówcą był Nikołaj Patruszew, od 2008 r. szef Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej (a wcześniej, w latach 1999–2008, szef FSB). Z informacji Whipple'a wynika, że Patruszew autentycznym zdumieniem zareagował na słowa Burnsa.

„Ku zdziwieniu dyrektora CIA Patruszew był zaskoczony, a nawet zszokowany. Czy tylko grał? Burns uważał, że nie; ewidentnie Putin trzymał swoje plany wojenne w tajemnicy przed Patruszewem. Odzyskując rezon, Patruszew przedstawił Burnswi całą litanię skarg na zachowanie USA, a także przechwalał się potęgą rosyjskiej armii. Mimo że Rosja nie może konkurować z USA na płaszczyźnie gospodarczej, Patruszew ostrzegł, że jej zmodernizowane siły zbrojne są teraz równym rywalem dla Amerykanów” – pisze Whipple.

Dyrektor CIA wysłany został do Moskwy z jasną misją: miał dać znać kluczowym rosyjskim decydentom, że Amerykanie wiedzą o ich planach, a także miał zagrozić Rosjanom nałoże-

niem zabójczych sankcji, jeżeli ci mimo wszystko zignorują groźby Waszyngtonu. Patruszew niewiele sobie zrobił z ostrzeżeń Burnsa. Podobnie wyglądały rozmowy z Aleksandrem Bortnikowem, szefem FSB, Siergiejem Naryszkinem, dyrektorem Służby Wywiadu Zagranicznego, a także z Jurijem Uszakowem, doradcą Putina do spraw zagranicznych. Burns odnotował, że wszyscy trzej byli niewzruszeni przedstawionymi przez niego informacjami, ale uderzyło go, że żaden z nich nie dementował ich.

W końcu doszło do rozmowy z samym Putinem. Jednak mimo że Burns pofatygował się do Moskwy, prezydent Rosji nie przyjął go osobiście. Rozmowa odbyła się przez telefon, ponieważ Putin wówczas jeszcze miał się panicznie bać zarażenia koronawirusem. Po tym, jak Burns powiedział Putinowi, że Amerykanie znają w detalach plany wojenne Rosjan, prezydent Rosji miał przedstawić standardową litanię żalów do Ameryki za rozpychanie się w świecie i powiedział, że rosyjskie wojska jedynie ćwiczą obronę państwa przed Ukraińcami. Putin nic sobie nie robił z gróźb wprowadzenia sankcji, stwierdzając, że Niemcy nie pozwolą zbyt mocno uderzyć w Rosję. Burns przekazał Bidenowi, że jego zdaniem Putin jest już zdecydowany uderzyć i uważa, że ma do wypełnienia dziejową misję – naprawienie „krzywd”, które spadły na Moskwę po 1989 r.

BEZ RESETÓW

Pół roku wcześniej podczas spotkania z Putinem w Genewie Biden, nie wierząc już w powodzenie resetów, starał się zbudować z nim „stabilną relację”, by skupić się przede wszystkim na rywalizacji z Chinami. Co się stało w tym czasie, że Rosjanie postanowili rzucić Amerykanom rękawicę? Wiele wskazuje na to, że fatalnie wyglądająca ewakuacja z Afganistanu i błyskawiczny upadek rządu w Kabulu wspieranego przez Amerykanów (na co przez 20 lat poszło ok. 2 bln dol. z kieszeni amerykańskich podatników) ośmieliły Moskwę. Mówiąc wprost: Rosjanie poculi krew.

Autor książki powołuje się tu na swoją rozmowę z Richardem Clarkiem, emerytowanym amerykańskim dyplomatą i znawcą tematyki bezpieczeństwa, który tymi słowami podsumował pozycję sekretarza

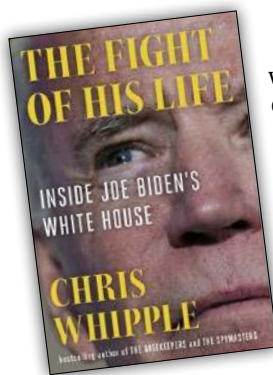
stanu Antony’ego Blinkena w obliczu dramatycznych wydarzeń w Afganistanie: „Sprawiał wtedy wrażenie, jakby miał charyzmę rozgotowanego makaronu. Pozwalał, by reporterzy go przekrzykiwali. Nie sprawiał wrażenia, że jest osobą władczą, a tego właśnie potrzeba, by zastraszyc potęgę atomową, żeby nie poszła na wojnę”. Okazanie przez Amerykę słabości w Afganistanie mogło być jednym z decydujących argumentów w rosyjskich kalkulacjach na temat próby zmiany układu sił w Europie Środkowo-Wschodniej.

Whipple pisze, że po wizycie Burnsa w Moskwie Amerykanie uzgodnili plan działania, który składał się z trzech głównych elementów: dzielić się z sojusznikami danymi wywiadowczymi, upubliczniać rosyjskie plany odnośnie do dokonywania prowokacji, które miały usprawiedliwiać inwazję na Kijów, a także rozpocząć wysyłkę broni przeciwpancernej, czyli przede wszystkim słynnych już javelinów.

W książce pojawia się też wątek rosyjskiego ultimatum wystosowanego w grudniu 2021 r. wobec Zachodu (głównym adresatem byli oczywiście Amerykanie). Było to potwierdzenie obaw, że Rosjanom nie chodzi tylko o Ukrainę, lecz o wypchnięcie wpływów NATO-wskich z naszej części Europy. Ukraina miała być w rosyjskich planach jedynie pierwszym etapem tych działań.

Burns w styczniu 2022 r. jeszcze raz polecał na Wschód. Tym razem wysłany został przez Bidena do Kijowa, by przekonać Ukraińców, że Rosjanie naprawdę uderzą, a pełnoskalowa inwazja zacznie się od zabójstwa prezydenta Ukrainy przez rosyjskie siły specjalne. To miało otrzeźwić Zełenskigo. Szef CIA przekazał też prezydentowi Ukrainy szczegóły rosyjskich planów mających pozwolić im szybko zająć Kijów.

„Burns dał mi szczegółowe informacje na temat rosyjskich planów wojskowych odnośnie do pierwszego dnia inwazji. Strefą zero miało być lotnisko Antonowa, położone 20 mil na północ od Kijowa. To był główny cel strategiczny Putina w pierwszych godzinach wojny; gdyby jego żołnierze zajęli je i przejęli nad nim kontrolę, to mogliby użyć lotniska jako punktu



wypadowego do przeprowadzenia decydującego uderzenia na Kijów”.

Jak jednak wiemy, Ukraińcy odparli pierwszy desant śmigłowcowy Rosjan, co uniemożliwiło wykorzystanie tego lotniska do przylęcia wielkich rosyjskich maszyn transportowych.

W książce pojawia się też polski wątek: propozycja przekazania Ukrainie naszych migów.

„W marcu 2022 r. Biden i jego ekipa zostali niemile zaskoczeni; polski rząd nagle ogłosił, że planuje dostarczyć Ukrainie rosyjskie migi z czasów sowieckich – pisze Whipple. – Jakby tego było mało, zamiast wysłać je bezpośrednio, Polska chciała je przekazać do bazy Ramstein – instalacji US Air Force w Niemczech. Stamtąd ukraińscy piloci mieli polecieć myśliwcami do strefy wojennej. Dokładnie takiej taktycznej miny Biden starał się uniknąć. Migi to poważna broń, którą Władimir Putin mógł uznać za game changera, jeżeli za ich sterami usiedliby ukraińscy piloci”.

Pokazując ten epizod z perspektywy Waszyngtonu, Whipple twierdzi, że była to jedyna większa rysa na relacjach pomiędzy sojusznikami z NATO (książka ukazała się przed dyskusją o przekazaniu leopardów) w kontekście udzielania pomocy Ukrainie. Temat ten miał być zresztą omawiany na specjalnie zwołanym w tym celu spotkaniu Bidena, sekretarza obrony Lloyda Austina i przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów gen. Marka Mileya. Ostatecznie ustalono, że wiceprezydent Kamala Harris, która właśnie leciała do Polski, zakończy ten temat. Whipple pisze, że Biden zadzwonił do niej, gdy była ona na środku Atlantyku, i powiedział: „Przełącz Dudzie, żeby zamroził plan odnośnie migów”, a także: „Powiedz Dudzie, że to moja decyzja polityczna i że ty mówisz w moim imieniu”.

Harris miała potem powiedzieć w trakcie rozmowy z polskim prezydentem: „Zrozum, nie będziemy popierali przekazania tych samolotów z uwagi na powody, które wskazaliśmy, ale skupmy się teraz na tym, co już robimy”. W ten sposób temat migów miał zniknąć z radarów.

Po 24 lutego rośnie ukraińska „diaspora” w Dubaju. Ekskluzywny kurort upodobało sobie wielu polityków i oligarchów, których stać na to, aby w tak pięknych okolicznościach przyrody przeczekać wojnę. Część z nich nie zamierza wracać. Dziennikarskie śledztwo w tej sprawie przeprowadził i opublikował pod ironicznym tytułem „Batalion Dubaj” portal Ukraińska Prawda. Wielu wysoko postawionych „turystów” spędziło nad Zatoką Perską noworoczno-świąteczne ferie. Julia Tymoszenko odpoczywała na prywatnej plaży, mieszkała w luksusowej willi, do samochodu wsiadała jedynie na podziemnym parkingu, a jednak świat obiegiło nagranie, na którym widać, jak była premier opala się pod bliskowschodnim niebem.

W Dubaju przyłapano też kilku deputowanych do Rady Najwyższej ze zlikwidowanej decyzją władz prorosyjskiej partii Platforma Opozycyjna – Za Życie. A konkretnie: Natalię Korolewską, jej męża Jurija Sołoda, Wadyma Stolara oraz Suto Mamojana. Korolewska i Sołod wracać na Ukrainę raczej nie zamierzają. W Dubaju kupili nieruchomość wartą 10 mln dol., zrezygnowali też z mandatów deputowanych. Z Rady Najwyższej odszedł też inny polityk Platformy – Ołeh Wołoszyn. To swoją drogą oznacza, że skład Rady zmniejszy się do 408 deputowanych (przed wojną, zgodnie z konstytucją, było ich 450). Najmniej w historii Ukrainy.

Poza prorosyjskimi politykami w Dubaju na stałe mieszkają m.in. oligarchowie Walerij Choroszkowski, a także powiązany z byłym szefem MSW Arsenem Awakowem Wilen Szatworian. Jednak bliskowschodnie wojaże biznesmenów czy polityków opozycji to mało znaczące ciekawostki w porównaniu z aferami, w które zamieszani są przedstawiciele władz. W hiszpańskiej Marbelli nowy rok powitał wraz z rodziną zastępca prokuratora generalnego Ołeksij Symonenko. Na 10-dniowy urlop pojechał samochodem należącym do żony Iwowskiego biznesmena i polityka partii Solidarność Europejska Hryhorija Kozłowskiego. Wyjazd wyszedł na jaw, gdy żona Symonenki opublikowała na Instagramie zdjęcie z Hiszpanii. W drodze powrotnej za kierownicą siedział ochroniarz Kozłowskiego. Według medialnych doniesień w przeszłości biznesmen zajmował się przemysłem papierosów.



W Dubaju przyłapano kilku deputowanych do Rady Najwyższej ze zlikwidowanej prorosyjskiej partii Platforma Opozycyjna – Za Życie, m.in. Wadyma Stolara (na zdjęciu)

Korupcja w cieniu wojny



Maciej Pieczyński

Pomimo rosyjskiej agresji ukraińscy politycy i urzędnicy wyjeżdżają na egzotyczne wakacje, kupują drogie posiadłości i jeżdżą luksusowymi samochodami. W ślad za falą medialnych doniesień o przypadkach korupcji na szczytach władz ruszyła fala dymisji

Symonenko stracił stanowisko. Został zwolniony na własne żądanie.

NIE CZAS NA ODPOCZYNEK

W odpowiedzi na publikację prasowe o wakacjach zastępcy prokuratora generalnego 23 stycznia Zełenski zakazał urzędnikom i parlamentarzystom wyjazdów zagranicznych z wyjątkiem służbowych delegacji. „Jeśli chcą odpoczywać teraz, to będą odpoczywać poza służbą państwową. Urzędnicy od teraz nie będą mogli wyjeżdżać za granicę na wakacje czy w jakich-

kolwiek innych niepaństwowych celach” – ogłosił ukraiński prezydent. Trzy dni później ambasada Ukrainy w Bangkoku zaprosiła mieszkających w Tajlandii Ukraińców na spotkanie z Mykołą Tyszczenką, deputowanym do Rady Najwyższej z ramienia prezydenckiej partii Sługa Narodu. Polityk zapewniał, że podróżuje służbowo, za wiedzą i zgodą przełożonych. Jednak przewodniczący parlamentu zaprzeczył, jakoby wysyłał deputowanego w delegację. Okazało się, że Tyszczenko przebywał za granicą od 30 grudnia, ale swój wyjazd

ukrywał aż do 26 stycznia. Gdy kolejna afera podróżnicza wyszła na jaw, Zełenski po raz drugi ogłosił zakaz opuszczania kraju w celach prywatnych, zaczynając od ironicznej uwagi: „Niestety, jestem zmuszeni powtórzyć dla tych, którzy nie dosłyszeli”. Jeszcze tego samego dnia Tyszczenko został najpierw zwolniony ze stanowiska zastępcy szefa parlamentarnej frakcji (odpowiednik klubu poselskiego), a następnie usunięty z partii.

NA SZCZYTACH WŁADZY

Jednak przedstawiciele ukraińskich władz nie muszą opuszczać kraju, żeby w cieniu wojny korzystać z życia i pławić się w luksusach. Dowodzi tego przypadek kolejnego „sługi narodu” – parlamentarzysty, szefa filii partii w obwodzie czernihowskim oraz wiceszefa frakcji w RN Pawła Chalimona. Według ustaleń Ukraińskiej Prawdy polityk już po wybuchu pełnoskalowej wojny kupił liczącą tysiąc metrów kwadratowych willę w prestiżowej dzielnicy Kijowa. Zapłacił niewiele ponad 10,3 mln hrywien (ok. 165,5 tys. zł), podczas gdy cena rynkowa budynków w tej okolicy i o podobnej powierzchni waha się od 50 do 60 mln hrywien. Poprzedni właściciel – hierarcha cerkiewny Ołeksandr Drabynko – twierdzi, że sprzedał nieruchomość po zaniżonej cenie, ponieważ pilnie potrzebował pieniędzy, tym bardziej po wybuchu wojny.

Oficjalnie dom kupiła Anastazja Kotelenc. Wiadomo o niej jedynie tyle, że pracowała w firmie handlującej bielizną i obroniła habilitację z filozofii – niewiele jak na właścicielkę ogromnej i drogiej willi w centrum stolicy. Dziennikarze Ukraińskiej Prawdy na terenie posiadłości sfotografowali zarówno Kotelenc z małym dzieckiem, jak i Chalimona. Nie wiadomo, czy oficjalna właścicielka jest tylko słupem czy kochanką – oboje odmówili mediom komentarza. Wiadomo natomiast, że Chalimon nie pełni już żadnych kierowniczych funkcji w partii. „Jeśli jesteś parlamentarzystą i masz w kieszeni parę zbędnych milionów hrywien, to powinienes pomóc swojemu krajowi. To twój obowiązek. Etyczna składowa tego uczynku jest sprzeczna z naszymi wartościami i z naszym poglądem na to, czym podczas wojny powinien zajmować się parlamentarzysta” – tak przewodniczący frakcji Sługi Narodu Dawyd Arachamija uzasadnił zwolnienie swojego zastępcy.

Stanowisko stracił również wiceszef biura prezydenta Kyryło Tymoszenko. Do niedawna jeden z najbliższych współpracowników Zełenskiego. Jeden z ostatnich, którzy w ekipie prezydenta trwali od czasów kampanii wyborczej 2019 r. Tymoszenkę zgubiło zamiłowanie do drogich (choć akurat dla niego darmowych) samochodów. Motoryzacyjną pasję urzędnika wyśledzili dziennikarze Ukraińskiej Prawdy oraz portalu Bihus.info. Okazało się, że wiceszef biura prezydenta jeździ chevroletem Tahoe, który firma General Motors przekazała Ukrainie jako środek transportu przeznaczony do ewakuacji ludności cywilnej z terenów działań wojennych oraz do misji humanitarnych. Tymoszenko nie zaprzeczył. Zapewniał jedynie, że auta używał służbowo, jeżdżąc na tereny wyzwolone spod okupacji, co i tak było sprzeczne z przeznaczeniem chevroleta. Samochód oddał. Ale to nie wszystko. O ile do pracy jeździł autem należącym do państwa, o tyle w celach prywatnych poruszał się samochodem należącym do prywatnego przedsiębiorcy Wemira Dawitiana. Warte ok. 100 tys. dol. porsche Taycan rocznik 2021 zarejestrowane jest na firmę Dawitiana.

Ponadto, podobnie jak kolega partyjny Chalimon, Tymoszenko ma słabość do monumentalnych nieruchomości. Wynajął liczącą 1,2 tys. mkw. posiadłość w Kozynie – malowniczo położonej nad Dnieprem sypialni Kijowa. Płaci w przeliczeniu 6 tys. dol. za miesiąc, podczas gdy cena rynkowa waha się od 10 do 25 tys. dol. Właścicielem willi jest znany deweloper Ihor Nikonow, którego firma jest beneficjentem rządowego programu ulg hipotecyjnych. Tak się składa, że Tymoszenko w biurze prezydenta odpowiadał za budownictwo. Przy czym nie wiadomo na pewno, czy cokolwiek załatwił biznesmenowi. Tak czy inaczej Tymoszenko sam zrezygnował ze stanowiska.

Z powodu podejrzeń o korupcję ze stanowiskami – i nie tylko – pożegnało się też dwóch przedstawicieli rządu. Wiceminister ds. wspólnot, terytoriów i rozwoju infrastruktury Wasyl Łozynski został zatrzymany, gdy odbierał łapówkę w wysokości 400

tys. dol. To miała być zapłata za ustawienie przetargu na zakup agregatów prądotwórczych – sprzętu szczególnie potrzebnego w kraju ze zrujnowaną infrastrukturą energetyczną. Przetarg „wygrała” firma, która mocno zawyżyła cenę oferowanego sprzętu – różnica miała trafić do kieszeni wiceministra. Łozynski został zdymisjonowany i czeka na rozprawę sądową. Grozi mu do 12 lat więzienia. Narodowe Antykorupcyjne Biuro Ukrainy prowadzi również śledztwo w sprawie Wiaczesława Szapowałowa. Jako wiceminister obrony był odpowiedzialny za zaopatrzenie armii w żywność, którą miał kupować po cenach trzykrotnie wyższych niż w supermarketach na obrzeżach Kijowa. Szapowałow zaprzeczył oskarżeniom, ale dymisję złożył, oficjalnie dla wizerunkowego dobra resortu. Jego były przełożony Ołeksij Reznikow nazwał dziennikarskie śledztwo „atakami medialnymi”.

OSTRE REAKCJE

Nadużycia sięgają również regionalnych działaczy. Były już gubernator obwodu dnipropietrowskiego Walentyn Reznitzenko między marcem a listopadem 2022 r. wydał zawrotną sumę 1,5 mld hrywien na remont dróg, choć ten akurat region niezbyt ucierpiał w trakcie walk. Pieniądze trafiły do firmy, której właścicielką jest trenerka fitness Jana Chlanta, prywatnie dobra znajoma, najprawdopodobniej partnerka urzędnika. Reznitzenko, wraz z czterema innymi gubernatorami, został zwolniony, a jego sprawą zajęła się prokuratura antykorupcyjna.

Po 24 lutego przez wiele miesięcy Zełenski otwarcie ignorował problem korupcji jako sprawę drugorzędą w porównaniu z obroną przed agresorem.

Kolejne afery, nagłaśniane przez media, oraz ryzyko utraty zaufania ze strony Zachodu sprawiły jednak, że zmienił podejście. Na razie sypią się głośne dymisje, za którymi nie muszą pójść wyroki sądowe. Jednak szef prezydenckiej frakcji w parlamencie obiecuje: „Możliwe, że tej wiosny będziemy wsadzać za kratki. Nie da się po ludzku, to będziemy działać zgodnie z logiką czasu wojny”.





TRANSSEKSUALNY UPADEK

Mistrzostwa świata w łyżwiarstwie figurowym w Finlandii zostały otwarte z rozgłosem. Nie chodzi o to, że jako specjalnie świat interesuje się kręceniem piruetów. Chodzi o to, że uroczystość otwarcia była „inkluzywna” i włączono do niej transseksualną łyżwiarkę, czyli mężczyznę, który uważa się za kobietę. Sęk w tym, że akurat nie za bardzo umiał jeździć na łyżwach, więc zaliczył spektakularne lądowanie na pośladdockach i we wstawianiu musiały pomóc mu inne osoby.

FOT. LAPARCAS/YOUTUBE, LAPARCAS

WOJNA WEDŁUG VERHOFSTADTA

Guy Verhofstadt, były belgijski premier, europoseł słynący z krytykowania Polski, podzielił się ze światem swoimi przemyśleniami na temat wojny na Ukrainie. Stwierdził, że „Rosja mogła nie dokonać inwazji na Ukrainę, gdyby nie doszło do brexitu”. Jego zdaniem Putin kalkulował, że po opuszczeniu UE przez Wielką Brytanię Zachód nie będzie zjednoczony w sprawie obrony.

HISZPANIA CORAZ BARDZIEJ IMIGRANCKA

W Hiszpanii przybywa więcej imigrantów, niż rodzi się dzieci, i jest to tendencja ogólnokrajowa – poinformował tamtejszy dziennik „El Confidencial”. A to nie wszystko. Spośród nowo narodzonych dzieci co czwarte przychodzi na świat z matki, która jest cudzoziemką. Przy tym te dane nie uwzględniają cudzoziemek, które przed urodzeniem dziecka zdążyły przyjąć hiszpańskie obywatelstwo.

CHIŃSKI ZWROT W SPRAWIE DZIECI

Wieloletnia polityka Chin (1979–2015), która m.in. zakazywała posiadania więcej niż jednego dziecka, zakończyła się widocznym problemem demograficznym. Teraz chiński rząd próbuje go odwrócić. Władze prowincji Syczuan przyznały ludziom żyjącym w nieformalnych związkach takie same przywileje po urodzeniu dziecka jak małżeństwom (m.in. wypłata wynagrodzenia matce w czasie, gdy przebywa na urlopie macierzyńskim).

ZA DOBRY W CHOWANEGO

Piętnastolatek z Bangladeszu bawił się z rówieśnikami w chowanego w dzielnicy portowej Čottogram. Schował się w kontenerze. Ponieważ kontener załadowano na statek płynący do Malezji, nastolatek został odnaleziony sześć dni później i 3,6 tys. km od domu. Był zaskoczony. ©©

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Pożegnanie z królową niebios



JACEK PRZYBYLSKI

Amerkański Boeing wyprodukował ostatni egzemplarz modelu 747. To symboliczny koniec pewnej ery. Pierwszy szerokokadłubowy, dwupiętrowy samolot w historii lotnictwa cywilnego wydawał się zbyt duży, aby kiedykolwiek mógł wzbić się w powietrze. A jednak. Pokazana po raz pierwszy podczas Paris Air Show w roku 1969 maszyna przez ponad pół wieku została wyprodukowana łącznie aż w 1574 egzemplarzach i sprzedana ponad stu klientom. U szczytu popularności Boeing sprzedawał 70 takich maszyn rocznie.

Słynny jumbo jet zrewolucjonizował podróże lotnicze i zmienił świat, sprawiając nagle, że stał się on „mniejszy” i bardziej dostępny dla zwykłego zjadacza chleba. Nie tylko pozwalał bowiem na loty bez międzylądowania na długich trasach, lecz także dzięki dużej liczbie miejsc umożliwiał zmniejszenie kosztów i pozwalał liniom lotniczym na skuteczną walkę o masowego klienta poprzez znaczące obniżki cen biletów.

Legendaria „królowa niebios” z charakterystycznym garbem na pokład mogła zabrać od 366 do 660 pasażerów, była więc chętnie

wybijana również przez rodziny królewskie i głowy państw (jako Air Force One latała od 1990 r.). Szybko weszła też do masowej kultury. Zagrała w wielu popularnych filmach – od „Żyj i pozwól umrzeć” w 1973 r. poprzez „Casino Royale” (2006) aż do „Operacji Argo” w roku 2012. Trafiła nawet na znaczki pocztowe.

Czterosilnikowy model 747 przegrał jednak z nowszymi i bardziej ekonomicznymi maszynami, jak choćby 787 Dreamliner o dużo niższym apetycie na paliwo. I choć królowej żal, to nowe maszyny skutecznie łączą mniejsze lotniska, a nie tylko wielkie huby. ©©



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Populiści biegną po władzę

Kampania obietnic przedwyborczych rozkręca się powoli, ale też do wyborów zostało jeszcze sporo miesięcy, więc polityczni pirotechnicy dopiero szykują swoje fajerwerki, nie chcąc się wystrzelać przed czasem.

A że ostatnie zwycięstwa wyborcze uczą, iż Polacy lubią dostawać prezenty i nie zawracać sobie przy tym głowy myśleniem, skąd się one biorą, czyli kto się na nie musi składać? Tak, właśnie to niechybnie sprawi, że wkrótce wyścig populistów uczyni z Polski arenę nie lada starcia.

Jedni będą chcieli obecne „500+” zamienić na „700+”, a inni – na „1000+”. Bo i dlaczegożby nie? Od przerzucania się obietnicami pęcznieć będzie „kredkowe”, zresztą już w grze pojawiła się obietnica laptopów od rządu PiS dla uczniów za prawie miliard złotych (!), a także przeróżne oferty finansowania rodzinom zakupu mieszkań. Partie prześcigać się będą w obietnicach wprowadzenia przez siebie – jeśli tylko wyborcy obdarzą ich władzą – kolejnych tarcz antyinflacyjnych i dodatków: na węgiel, gaz, prąd, benzynę i na co tylko jeszcze się da.

Z całą pewnością przybędzie też ofert dla emerytów. Czy bowiem godzi się, żeby po zaordynowaniu wypłat emerytur nr 13 i nr 14 nie pokusić się o obietnicę kolejnych w roku? Emerytury nr 15 i nr 16 z pewnością znajdą tego lata w Polsce wielu politycznych promotorów, liczących na

wdzięczność wyborców seniorów. Ale dlaczego, u licha, nie miałyby się pojawić obietnica 24 emerytur w roku?

Nie chce się też wierzyć, żeby po zwycięstwie, które w 2015 r. dała PiS m.in. obietnica obniżenia wieku emerytalnego z 67 lat dla kobiet i mężczyzn do na powrót 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn, nie znalazła się ani jedna siła polityczna, która nie obieca ścięcia tego limitu jeszcze bardziej – np. do 55 lat dla kobiet i 60 lat dla mężczyzn. Nie wspominając o obietnicy wielkich drożyznianych podwyżek emerytur.

Zresztą właśnie obietnice drożyznianych podwyżek dla różnych grup wyborców z pewnością będą znakiem tegorocznej kampanii. Któż bowiem da więcej, niż mogą obiecać politycy? Obietnice podwyżek pensji dla policjantów, strażaków, nauczycieli itd., a dla wszystkich – najwyższa na świecie płaca minimalna, wprowadzona prawem państwowym, a wypłacana z kas coraz bardziej podupadających i coraz częściej padających, bankrutujących firm prywatnych.

No i wisienka na torcie, czyli – jak zwykle – oferta specjalna dla rolników. Podczas tej kampanii, jako że wcześniej podarowano im już niemal wszystko, co się dało – obietnica zwolnienia z konieczności uiszczania jakichkolwiek, nawet tych obecnych, śladowych składek na emerytury, renty i opiekę zdrowotną. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zero-jedynkowa demagogia

Dyskusja o przekazywaniu pomocy wojskowej Ukrainie przybiera momentami absurdalną postać. „Powinniśmy przekazywać nasze czołgi (i nie tylko), bo każdy taki czołg na Ukrainie zwiększa nasze bezpieczeństwo i walczy tam zamiast tutaj” – mówią zwolennicy dotychczasowego kursu. Tyle że polska pomoc wojskowa dla Ukrainy nie ma jedynie dwóch wariantów: wszystko albo nic. Ma ogromnie dużo wariantów pośrednich.

Wbrew opiniom demagogów posłanie na Ukrainę 60 polskich czołgów nie odmieni losów wojny

Gdyby przyjąć punkt widzenia opisany wyżej, właściwie powinniśmy pozbyć się całego naszego uzbrojenia. Bo skoro „każdy nasz czołg na Ukrainie zwiększa nasze bezpieczeństwo”, to logiczne jest, że przekazując wszystkie – a najlepiej także wszystkie samoloty, a może w ogóle całe uzbrojenie Wojska Polskiego – zwiększylibyśmy bezpieczeństwo Polski jeszcze bardziej.

To oczywiście sprawa – zdanie rzeczy do absurdu, pod czym zwolennicy ofensywnego kursu nie chcą

się podpisać. A skoro tak, to znaczy, że jednak przyjmują, iż istnieje jakaś granica, poza którą oddawanie naszego sprzętu – podkreślmy: oddawanie, czyli przekazywanie go Ukrainie bezpłatnie – już nie zwiększa, ale zmniejsza nasze bezpieczeństwo. A skoro tak, to mamy prawo o tym właśnie rozmawiać: gdzie ta granica jest.

Przekleństwem polskiej debaty, nie tylko zresztą o Ukrainie, jest skłonność do traktowania wszystkiego w kategoriach zero-jedynkowych: wszystko albo nic. Skoro przekazaliśmy jakąś liczbę armatohau-bic, to musimy przekazać bez wahania nasze F-16.

Równie absurdalne jest stwierdzenie, że ograniczenie polskiej pomocy wojskowej – jako że przetrzebiliśmy już nasze zasoby, a na nowy sprzęt i wyszkolenie żołnierzy do jego obsługi musimy poczekać – będzie oznaczało upadek Ukrainy i pojawienie się Rosjan pod Lwowem. W tej chwili polski udział w dozbieraniu walczącego sąsiada spada, a jeszcze bardziej kluczowym graczem niż dotąd stają się siły rzeczy Amerykanie. Wbrew opiniom demagogów posłanie na Ukrainę 60 polskich czołgów nie odmieni losów wojny. Może natomiast stanowić istotną różnicę w naszym własnym potencjale odstraszenia. I to nim powinniśmy się teraz zacząć na poważnie zajmować. ©©

Nie ufaj nikomu



Jacek Przybylski

Spoofing, smishing, phishing, zatrute SMS-y i zainfekowane e-maile to coraz popularniejsze metody oszustów. Przestępcy podszywają się pod instytucje finansowe, policję, lekarzy czy urzędników skarbowki. Rząd planuje utrudnić im drogę do okradania Polaków. Najważniejsze jest jednak zachowanie czujności, niepoddawanie się emocjom i trzymanie prywatnych danych tylko dla siebie

Dzień dobry, Panie Jacku, dzwonię z biura informacji kredytowej, złożył pan wniosek w banku o kredyt na 10 tys. zł, ale brakuje pana umowy o pracę. Czy może ją pan podesłać? – słyszę w słuchawce. Dżentelmen z mocnym wschodnim akcentem podaje właściwie miasto mojego zamieszkania, a także ulicę, przy której mieszkam. Na ekranie wyświetla się numer należący do Biura Informacji Kredytowej.

Na szczęście wiem, że konsultanci BIK nie dzwonią w takich sprawach. Rozłączam się, sprawdzam numer na oficjalnej stronie i dzwonię do Biura Informacji Kredytowej. Słyszę, że podobnych przypadków podszywania się BIK odnotowuje wiele i że sprawa zostanie przekazana do działu zajmującego się bezpieczeństwem. Czy do wiem się o efektach? Nie. Czy mogę prosić o potwierdzenie zgłoszenia? Nie. Co mogę zrobić, żeby upewnić się, że nikt rzeczywiście nie podszywa się pode mnie w banku? Doradca radzi kupić raport BIK. Najtańszy kosztuje 49 zł. Nie czuję się komfortowo, że konsultant instytucji, pod którą podszył się oszust i która gromadzi moje dane, w takiej sytuacji proponuje mi zakup usługi. Zamawiam więc bezpłatną kopię danych – BIK jest ustawowo zobowiązany do jej przekazania. Ma na to 30 dni. I dobrze o tym wie. Na przykładzie wyłącznie mojego przypadku muszę stwierdzić, że mimo telefonicznego i e-mailowego zgłoszenia

spoofingu pracownicy BIK nie spieszą się z udostępnieniem bezpłatnego raportu. Na plik, o który poprosiłem 26 stycznia, nie doczekałem się do dnia oddania tego tekstu do druku (czyli 2 lutego). Skapitulowałem i zapłaciłem za raport. Ten otrzymałem w ciągu kilku sekund...

Z czego wynika tak długi czas oczekiwania na darmową kopię danych, skoro przygotowanie płatnej wersji raportu, o wiele ładniejszej graficznie i zawierającej dodatkowo ocenę punktową zajmuje zaledwie kilka sekund? „BIK wypełnia obowiązek udostępnienia danych, jakie przetwarza na temat swoich Klientów. Wynika on wprost z art. 106a i art. 106d ustawy Prawo bankowe. Zgodnie z ustawą BIK ma 30 dni na przygotowanie oraz przekazanie informacji w postaci Kopii Danych, choć w praktyce realizuje ten obowiązek znacznie szybciej” – tłumaczy „Do Rzeczy” ekspertka BIK Aleksandra Stankiewicz-Billewicz.

JAK CHRONIĆ SWÓJ MAJĄTEK

Według ekspertów telefony od oszustów podszywających się pod cieszące się zaufaniem instytucje odbiera coraz więcej Polaków. Techniczna podmiana informacji o nadawcy danego połączenia to tzw. spoofing. Ofiary takich oszustw tracą duże pieniądze, niekiedy cały majątek życia. Bo chociaż dużo osób już wie, że absolutnie nie wolno klikać w żadne linki w podejrzanych SMS-ach lub e-mailach, to telefon z numeru

zaufanej instytucji może uśpić czujność. Najlepiej w takich sytuacjach rozłączyć się i samemu wybrać numer danej instytucji.

Chociaż proceder znany jest na całym świecie, to przestępcy często pozostają bezkarni. Na szczęście nie zawsze. O skali dokonywanych oszustw może świadczyć choćby operacja międzynarodowych służb z listopada 2022 r., podczas której aresztowano 142 osoby na terenie krajów zachodniej Europy, Ukrainy, Australii, USA i Kanady. Przestępcy prowadzili stronę internetową, która umożliwiała podszywanie się pod zaufane korporacje. Według szacunków podanych przez biuro prasowe Europejskiego Urzędu Policji (Europolu) tylko za pomocą tej jednej strony oszuści mogli wyłudzić na całym świecie 115 mln euro, czyli równowartość ponad 540 mln zł.

Oszukańcze może być nie tylko połączenie telefoniczne, lecz także wiadomość SMS wzywająca np. do pilnego opłacenia rachunku za prąd, informująca o zamówieniu drogiej przesyłki czy o konieczności podania wrażliwych danych w celu jak najszybszego otrzymania nadpłaty podatku.

Walkę ze zjawiskiem spoofingu utrudnia fakt, że sama techniczna podmiana informacji o nadawcy jest w wielu krajach legalna i często wykorzystywana przez biznes, np. przez centra obsługi klienta, które mieszczą się w krajach z tańszą siłą roboczą, z których wykonywane są telefony do różnych krajów świata. Do skorzystania ze

spoofingu nie trzeba zaś specjalnych umiejętności, wystarczy skorzystać z jednego z wielu serwisów, który umożliwia tego typu usługi za niewielką opłatą. Legalnie robią to nie tylko telemarketerzy, lecz także np. lekarze, którzy dzwonią do pacjentów z prywatnych telefonów, a na smartfonach ich rozmówców wyświetla się numer szpitala lub przychodni.

– Regularnie prowadzimy kampanie ostrzegające przed działaniami przestępców i apelujemy o ochronę danych osobowych – informuje „Do Rzeczy” ekspertka BIK Aleksandra Stankiewicz-Billewicz. Podobne kampanie informacyjne, mające uchronić Polaków przed utratą pieniędzy, prowadzą również banki i urzędy. Oszuści stają się jednak coraz bardziej kreatywni, coraz lepiej wykorzystują też różne socjotechniki. – Obserwujemy, że z roku na rok liczba przestępstw związanych z podszywaniem się pod instytucje zaufania publicznego systematycznie wzrasta. Rejestrujemy każdy incydent i prowadzimy analizę, sprawdzając, czy osoba, która nam go zgłasza, nie padła już ofiarą kradzieży tożsamości. Od września 2021 r. odnotowaliśmy prawie 3,9 tys. tego typu zgłoszeń. Mamy jednak świadomość, że dzwoni do nas jedynie promil tych, którzy odebrali telefon od osób podszywających się pod BIK. Szacujemy, że w Polsce tego typu połączeń od oszustów podszywających się pod banki, elektrownie czy urzędy są dziesiątki tysięcy miesięcznie – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” dyrektor ds. bezpieczeństwa Grupy BIK Andrzej Karpiński, dodając, że np. tylko dzięki Platformie Antyfraudowej BIK analizującej wnioski w procesie kredytowym od 2017 r. udało się udaremnić wyłudzenia o łącznej wartości ponad 500 mln zł, z czego połowa tej kwoty przypada na rok 2022.

Aleksandra Stankiewicz-Billewicz zwraca również uwagę, że Biuro Informacji Kredytowej oferuje ofiarom kradzieży tożsamości darmowy Pakiet BIK – po zgłoszeniu sprawy na policję można m.in. sprawdzić w raporcie, w jakich instytucjach doszło do wyłudzeń i na jaką kwotę, a także aktywować usługę Alertów BIK, które ostrzegają przed kolejnymi próbami wyłudzeń.

Eksperci ds. cyberbezpieczeństwa jak jeden mąż powtarzają z kolei, aby prywatne informacje zachowywać dla siebie, bo co chociaż raz trafi do Internetu, to w nim pozostaje. Nie warto więc przypominać nazwiska panińskiego matki, wrzucać

zdjęć dokumentów czy nawet świadectw z czerwonym paskiem z wpisanym numerem PESEL nastoletniego dziecka. Warto też zadbać o bezpieczeństwo smartfonów i innych urządzeń, na których znajdują się dane i które działają w naszej sieci. Cyberprzestępcy do oszustwa potrafią bowiem wykorzystać nawet podłączony do Internetu ekspres do kawy. Koniecznie w kontach bankowych czy w serwisach pocztowych trzeba używać silnych haseł, a najlepiej uwierzytelniania wieloskładnikowego.

W razie utraty dokumentów, należy je jak najszybciej zastrzec. Statystyki ZBP oraz Komendy Głównej Policji pokazują, że z roku na rok rośnie liczba zastrzeganych dokumentów (z 437 tys. w 2003 r. do 2,29 mln w roku 2022), a jednocześnie maleje liczba przestępstw polegających na posługiwaniu się dokumentami innej osoby (w 2003 r. było ich 33 775, a w 2021 r. 4561). – Te dane pokazują, że prowadzona przez nas od lat akcja edukacyjno-informacyjna przynosi efekty. Coraz więcej klientów sektora bankowego wie, jak ważna jest ich tożsamość i że czasami ich dowód osobisty jest o wiele bardziej wartościowy niż karta kredytowa czy płatnicza, bo wyspecjalizowane osoby ze świata przestępczego potrafią go wykorzystać na wiele różnych sposobów – mówi „Do Rzeczy” dr Przemysław Barbrich, dyrektor Zespołu Komunikacji i PR Związku Banków Polskich. Przypomina również, że w razie utraty dokumentów wystarczy zgłosić ten fakt w jednym banku, aby dane automatycznie przekazano do Centralnej Bazy Danych, a następnie rozesłano do wszystkich banków, operatorów telefonii komórkowych oraz tysięcy innych firm i instytucji korzystających z Systemu Dokumentów Zastrzeganych. – Generalnie daje to klientowi pewność, że raczej nie ma możliwości, aby na jego tożsamość został zaciągnięty kredyt – tłumaczy nam dr Przemysław Barbrich. I podkreśla, że banki nigdy nie dzwonią do klientów z prośbą o podanie loginu, hasła, numeru PESEL czy innych danych wrażliwych. Jeśli ktoś o to prosi, to najlepiej się rozłączyć i samemu zainicjować rozmowę z danym bankiem.

– Mamy bankowe centrum cyberbezpieczeństwa. Prowadzimy stałą i bardzo dobrą współpracę z organami ścigania. Staramy się być zawsze o krok przed światem przestępczym, który jednak nie próżnuje. Stąd różne mody, od metody na wnuczka do spoofingu – mówi nam rzecz-

nik ZBP, zastrzegając, że o bezpieczeństwo muszą dbać nie tylko banki, lecz także ich klienci.

RZĄD KONTRA OSZUŚCI

Jak informuje ZBP, rekordowa próba wyłudzenia w Polsce w latach 2008–2022 opiewała na kwotę 25 mln zł, a aż 666 prób dotyczyło kwot równych lub większych niż 1 mln zł. Według najnowszego raportu infoDOK opracowywanego cyklicznie przez Związek Banków Polskich w IV kwartale 2022 r. przestępcy wykorzystujący cudzą tożsamość próbowali wyłudzić w bankach i firmach pożyczkowych 2269 kredytów (niemal 10 proc. więcej niż w tym samym okresie ubiegłego roku) o łącznej wartości 40,1 mln zł (51 mln zł mniej niż w czwartym kwartale 2021 r.). Jednocześnie ZBP odnotował najniższą w historii i całoroczną kwotę prób wyłudzeń. W całym 2022 r. próbowali wyłudzić kredyty i pożyczki na 194,1 mln zł. Średnia kwota udaremnionych prób wyłudzeń kredytów w IV kwartale 2022 r. wyniosła 13,2 tys. zł, a w całym 2022 r. – 17,6 tys. zł.

Aby zapobiegać kradzieżom tożsamości, resort cyfryzacji pracuje już nad stworzeniem specjalnego rejestru, w którym będzie można zastrzec swój numer PESEL za pośrednictwem coraz popularniejszej aplikacji mObywatel albo osobiście w dowolnym urzędzie gminy. Rząd chciałby, aby firmy przed zawarciem umowy miały ustawowy obowiązek sprawdzenia w rejestrze, czy dany numer PESEL nie został zablokowany. Jeśli bank lub instytucja udzielająca kredytów lub pożyczek i tak wypłaci pieniądze oszustowi podszywającemu się pod Kowalskiego, który wcześniej zastrzegł swój numer PESEL, to nie będzie mogła wysuwać z tego tytułu żadnych roszczeń. Wreszcie! Oczywiście taką blokadę będzie można czasowo zdjąć, aby samemu wziąć kredyt lub pożyczkę, a następnie ją przywrócić, by znów móc spać spokojnie.

Przedstawiciele branży w badaniu „Nadużycia w sektorze finansowym. Edycja 2022”, przeprowadzonym przez EY ze Związkiem Przedsiębiorstw Finansowych, przekonują, że „limitowany dostęp do odpowiednich baz danych o numerach PESEL mógłby w istotny sposób przyczynić się do ograniczenia przestępstw związanych z wyłudzeniami produktów finansowych”. Rząd powinien więc tę kwestię jak najszybciej uregulować.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Magda Linette, 30-letnia poznanianka, wie chyba dziś najlepiej w Polsce, jak trudna jest droga do spełnienia w zawodowym tenisie. I wcale nie chodzi o to, że przyszło jej grać niejako w cieniu gwiazdy tenisa znad Wisły – Igi Świątek, dominującej w ubiegłym sezonie na świecie. Chodzi o trudną drogę na szczyt, która wymaga wielu osobistych i finansowych wyrzeczeń w tej dyscyplinie.

W zakończonym niedawno turnieju wielkiego szlema w Australii nikt nie stawiał na Linette, choć oczywiście miała już w Polsce grono fanów. Tymczasem to tam właśnie, po ubiegłorocznej fali, zgąsła nieoczekiwanie gwiazda Igi Świątek (tu nie ma się o co jeszcze zamartwiać, przegrana kiedyś musiała się przytrafić), która odpadła już w jednej ósmej finału, przegrywając z Kazażką Jekateriną Rybakiną. Rok wcześniej Iga nie potrafiła powstrzymać łez, gdy nie awansowała do finału tego turnieju. I też odbieraliśmy to raczej jako porażkę.

W tegorocznym Australian Open na czwartej rundzie występy zakończył też Hubert Hurkacz. I wówczas, trochę zaskakująco, okazało się, że dalej w turnieju gra Linette. A przeciwniczek nie miała łatwych, może poza pierwszym meczem z Majar Szarif. Potem Polka pokonała po kolei: rozstawioną z numerem 16 – Anett Kontaveit, z numerem 19 – Jekatierinę Aleksandrową, z numerem 4 – Caroline Garcie, a w ćwierćfinale rozstawioną z numerem 30 Karoliną Pliškovą. Nie udało się dopiero w meczu z grającą piekielnie męski tenis i ogromną Aryną Sabalenko (numer 5 w światowym rankingu).

MILIONY ZAROBIONE

Dotarcie do ćwierćfinału oznaczało dla Polki dwie rzeczy. Po pierwsze, ogromny skok w rankingu kobiet. Magda Linette jest obecnie numerem 22 na świecie (w zeszłym roku była w pierwszej pięćdziesiątce, ale jeszcze w 2020 r. i wcześniej znajdowała się daleko poza setką).

Sukces oznaczał też premię finansową. Niebagatelną. Trzecia Polka, która walczyła o finał w Australii (poza Igą Świątek w półfinale tego turnieju dwukrotnie meldowała się Agnieszka Radwańska), otrzymała 621 tys. dol. amerykańskich premii, czyli ok. 2 mln 689 tys. zł. To dla



Magda Linette na Australian Open osiągnęła najlepszy wynik w karierze, dochodząc do półfinału turnieju

FOT. WILLIAM WEST/AFP/EAST NEWS



Łukasz Zboralski

W turnieju Australian Open, na którym liczono na Igę Świątek, błysnęła inna Polka – Magda Linette. To sukces okupiony latami pracy i wielkimi nakładami. Bo w tenisie nawet duże wygrane nie od razu zwracają wydatki

niej ogromny zastrzyk finansowy, bo – jak wynika z szacunków – w ogóle do tej pory zarobiła ok. 4,2 mln dol. A więc dużą część zarobków zdobyła jednorazowo na ostatnim turnieju, choć tzw. profesjonalny status w tym sporcie ma od 2009 r.

Poznanianka zaczynała bowiem swoją grę – podobnie jak Radwańska – pod okiem ojca, trenera tenisa, już w wieku pięciu lat. Już jako młoda zawodniczka odnosiła sukcesy. W 2006 r. została mistrzynią Europy do lat 14. Potem było jeszcze m.in. wicemistrzostwo Polski.

To, co ją charakteryzowało, to iście wielkopolski etos – i wspominał o tym niedawno w rozmowie ze Sport.tvp.pl jej były wieloletni trener Jakub Rękoś: „Już jako dziewczynka była bardzo zdeterminowana, konsekwentna oraz zdyscyplinowana. Wykazywała nieprawdopodobny etos pracy”. To właśnie Rękoś przestawił tę zawodniczkę z oburęcznego forehandu na jednoręczny.

Katorżnicza praca, baza w Chorwacji, na trochę w Chinach – to wszystko nie wystarczało do wspięcia się na tenisowy top. Bo życie tenisowych zawodowców spoza pierwszej setki nie jest tak piękne jak tych z czołówki. To wręcz często balansowanie na krawędzi wypłacalności. Zawodnicy muszą więc myśleć nie tylko o tym, jak się rozwijać na korcie, jakie starty w turniejach podejmować, kiedy odpuszczać. A trzy lata temu wydawało się, że Magda musi wręcz pożegnać się z tenisem na zawsze. – Przyszedł moment, że odpuściłam. Pierwszy raz w życiu powiedziałam sobie: „OK, nawet jeżeli mi nie wyjdzie, no to trudno. Zdarza się, mam tyle, ile mam, to ciało nie regeneruje się tak, jakbym chciała”. Pierwszy raz miałam spokój ducha w sobie, że to będzie OK, jeśli już dalej nie będę tego kontynuować – wyznała niedawno podczas wywiadu w „Dzień dobry TVN”.

Tenisiści muszą wciąż prowadzić też jedną trudną kalkulację – jak na to wszystko zdobyć pieniądze.

MILIONY WYDANE

Problem tenisistów lepiej widać na tle zawodników uprawiających sporty zespołowe. W amerykańskich ligach NBA, NHL czy NFL gwiazdy mają kontrakty, ale dochody dzielone są między graczy i właścicieli mniej więcej na pół. To nie zawodnik płaci za treningi, opiekę zdrowotną, podróże czy zakwaterowanie. Tenisiści, jako sportowcy indywidualni, na to wszystko muszą znaleźć sponzorów lub czerpać z własnych zasobów i zasobów rodzin. Profesjonalna gra i utrzymanie własnego teamu to koszt 150–200 tys. dol. rocznie. Ktoś, kto ma tylko trenera albo na pewnym etapie próbuje walczyć sam, i tak musi mieć rocznie gotowe 40–100 tys. dol.

Jak to wszystko jest trudne, pokazuje dobrze badanie Międzynarodowej Federacji Tenisowej, przeprowadzone w latach 2014–2015. Pokazało ono, że wśród

14 tys. tenisistów uczestniczących w turniejach w 2013 r. aż 6 tys. nie zdołało zarobić nawet jednego dolara. A zaledwie 336 mężczyzn i 251 kobiet przekroczyło próg rentowności. Dodajmy – w badaniu tym nie uwzględniano kosztu trenera!

I to właśnie była droga Magdy Linette. W 2015 r. wdarła się do setki najlepszych (89. miejsce w rankingu). Był to rok, w którym przeszła przez kwalifikacje wielkoszlemowych turniejów. We Francji i w Anglii skończyła na pierwszej rundzie, w Stanach Zjednoczonych – na drugiej. W następnych latach balansowała wokół 50. miejsca.

Trzeba sobie jeszcze uświadomić, że każde kwalifikacje wyczerpują fizycznie jeszcze przed pierwszą rundą. Dalsze miejsce w rankingu znów jest utrudnieniem – bo w losowaniu trafić można od razu na najmocniejsze zawodniczki. Tak było np. w 2017 r., gdy w US Open w pierwszym meczu przyszło jej grać z ówczesną liderką rankingu Karoliną

Pliškową (tegoroczny rewanż podczas AO tym bardziej musiał być słodki). Dodajmy, że w samym US Open Linette po raz pierwszy zagrała jako rozstawiona zawodniczka dopiero w 2020 r.

W przypadku Magdy Linette półfinał Australian Open trudno nazwać przypadkiem – jest raczej konsekwencją. Na kortach pokazała się jako zawodniczka kompletna, która techniką i myśleniem zdecydowanie radzi sobie z atletyzmem współczesnego kobiecego grania. Przypominało to najlepsze czasy tenisa z okresu Justin Henin.

Wszystko wskazuje na to, że Polka ma szansę na dłużej pozostać w kobiecej czołówce. Teraz ma też – przynajmniej na jakiś czas – zasoby, by móc to zrealizować. Choć dodajmy, że nigdy całe wygrane nie pozostają u zwycięzców. Jak przyznawała sama Linette, bardzo wielkie części nagród pochłaniają podatki w krajach, w których wygrane są wypłacane.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ZAROBKI W 2023 r. (w dolarach)

Mężczyźni

1. Novak Djoković	2,170,407
2. Stefanos Tsitsipas	1,673,228
3. Taylor Fritz	876,557
4. Karen Chaczanow	684,197
5. Frances Tiafoe	684,107
6. Tommy Paul	656,467
7. Jiří Lehečka	495,438
8. Cameron Norrie	472,152
9. Hubert Hurkacz	450,804
10. Sebastian Korda	443,106

Kobiety

1. Jessica Pegula	804,105
2. Madison Keys	517,930
3. Maria Sakkari	391,575
4. Iga Świątek	384,375
5. Caroline Garcia	307,535
6. Belinda Bencic	270,675
7. Martina Trávisan	260,275
8. Beatriz Haddad Maia	202,285
9. Petra Kvitová	200,335
10. Lucia Bronzetti	193,425
11. Paula Badosa	1151,648
12. Magda Linette	149,300

ZAROBKI W CAŁEJ KARIERZE (w dolarach)

Mężczyźni

1. Novak Djoković	166,861,716
2. Rafael Nadal	134,640,719
3. Roger Federer	130,594,339
4. Andy Murray	63,413,602
5. Pete Sampras	43,280,489
6. Stan Wawrinka	35,505,830
7. Alexander Zverev	33,223,053
8. David Ferrer	31,483,911
9. Marin Čilić	31,200,667
10. Andre Agassi	31,152,975
...	
97. Hubert Hurkacz	9,281,280

Kobiety

1. Serena Williams	94,816,730
2. Venus Williams	42,406,778
3. Simona Halep	40,203,437
4. Maria Szarapowa	38,777,962
5. Caroline Wozniacki	35,233,415
6. Petra Kvitová	34,963,986
7. Victoria Azarenka	34,927,538
8. Angelique Kerber	31,886,468
9. Agnieszka Radwańska	27,683,807
10. Swietłana Kuzniecowa	25,816,890

Magda Linette ok. 4,3 mln
(poza setką najlepszych zarobków)

TEST „DO RZECZY”: WZMACNIACZ SYGNAŁU FRITZ!REPEATER 6000

Obsługa wi-fi 6, piekielnie szybki transfer wi-fi, dwa porty Ethernet, w tym jeden o przepustowości 2,5 Gbit/s, banalnie prosta konfiguracja i obsługa, możliwość ustawienia dostępu do wi-fi dla gości – to największe zalety wzmacniacza sygnału FRITZ!Repeater 6000 niemieckiej firmy AVM.

Rok 2022 był kolejnym z rzędu, w którym średnia prędkość Internetu domowego w Polsce mocno przyspieszyła. Tym razem wzrost wyniósł 28 proc., a średnia w skali roku wyniosła 110 Mb/s – podał serwis SpeedTest.pl na podstawie niemal 42 mln testów wykonanych na tej platformie.

Coraz częściej – nawet na polskich wsiach – operatorzy sieci światłowodowych kuszą zaś prędkościami wynoszącymi 1 Gb/s lub nawet więcej. W czasach, gdy podłączenia do internetowej sieci potrzebują nie tylko kilka domowych laptopów, lecz także telewizory, automatyczne odkurzacze, kamery IP, zmywarka, piekarnik, pralka czy lodówka, ważna jest jednak nie tylko prędkość Internetu, lecz także zasięg domowego wi-fi. I wtedy przydają się wzmacniacze sygnału.

Wzornictwo testowanego urządzenia jest typowe dla niemieckiej AVM, której od lat nie da się pomylić z żadnym innym producentem. Na szczęście minęły już czasy, gdy sprzęty tej marki mogły obok Fiata Multipli stanowić najcenniejsze eksponaty na wystawach „najbrzydszych sprzętów wymyślonych przez człowieka”. Obudowa FRITZ!Repeater 6000 to stonowane połączenie błyszczącego białego



i czerwonego plastiku. Sprzęt wygląda schludnie, a nawet nowocześnie.

FRITZ!Repeater 6000 posiada dwa porty LAN. Jeden ma przepustowość 2,5 Gbit/s, a drugi 1 Gbit/s. I nie są to tylko chwytliwe marketingowe liczby na kartoniku. W naszych testach rzeczywiście uzyskiwaliśmy prędkości zbliżone do deklarowanych wartości maksymalnych, zwłaszcza gdy wzmacniacz działał jako mostek LAN. Repeater niemieckiej firmy obsługuje również technologię MESH, która ułatwia tworzenie w domu jednej dużej sieci bezprzewodowej, dzięki czemu jeśli zaczniemy oglądać serial w salonie, a później ze

smartfonem/tabletem przejdziemy do innego pokoju, to automatycznie przełączy się on do tego wzmacniacza, który oferuje najlepszą jakość połączenia.

Trójpasimowy repeater ma aż 12 wbudowanych anten i oferuje maksymalny łączny transfer wi-fi do 6000 Mbit/s (2400 + 2400 + 1200). Dzięki temu możliwe jest np. jednoczesne strumieniowanie serialu w popularnym serwisie VOD, odpalenie najnowszej gry na konsoli oraz udział w wideokonferencji.

Co istotne, testowany wzmacniacz może współpracować nie tylko z routerem firmy AVM, lecz także innych producentów. Konfiguracja jest szybka i banalnie prosta, bo polega w zasadzie na podłączeniu do prądu i naciśnięciu jednego przycisku na routerze i jednego na wzmacniaczu. Do tego niemiecki producent oferuje zarówno bardzo dobre oprogramowanie na komputer, jak i całkiem przyzwoitą aplikację na smartfony. Można więc ustawić tryb nocny, oddzielny dostęp do wi-fi dla gości etc.

Wady? Jest ich niewiele, bo testowany wzmacniacz jest rzeczywiście niezwykle potężnym urządzeniem, które w przypadku większości użytkowników będzie więcej niż wystarczające przez najbliższe lata. Minusem mogłoby być stosunkowo wysokie – jak na tego typu sprzęt – zużycie energii elektrycznej. Tak naprawdę największą wadą jest jednak cena testowanego modelu. Trzeba za niego zapłacić 1139 zł. ©©

Jacek Przybylski

ROBOT PUŚCI MUZYKĘ I OCZYŚCI POWIETRZE

Airbot Z1 chińskiej firmy Ecovacs to robot, który potrafi samodzielnie przemieszczać się po domu, jednocześnie oczyszczając powietrze przy użyciu m.in. filtra HEPA H13 i modułu do dezynfekcji UV (według producenta usuwa do 99,9 proc. bakterii i wirusów, w tym takie jak H1N1, gronkowiec biały czy E. coli). Dzięki dwóm wbudowanym głośnikom o mocy 7 W Airbot Z1, jeżdżąc po mieszkaniu lub domu, potrafi jednocześnie odtwarzać muzykę, np. z ulubionej playlisty na smartfonie użytkownika. Robot ma też wbudowany nawilżacz oraz odświeżacz powietrza z wymiennymi kapsułkami, dzięki czemu w razie potrzeby może zapewnić odpowiedni poziom wilgotności i pachnącą atmosferę. Mobilny oczyszczacz nawilżacz może również niczym pies podążać za swoim panem, aby zapewniać najlepsze doznania słuchowe. Gadżet jest też uzbrojony w kamerę, można



go więc niczym stróża wysłać, aby sprawdził, co akurat dzieje się w domu. Służba ma jednak swoją cenę. Airbot Z1 kosztuje 6999 zł.

PŁASKI MONITOR DLA GRACZY

Samsung zaprezentował pierwszy płaski monitor Mini LED skonstruowany specjalnie z myślą o graczach. Neo G7 ma 43-cale oraz rozdzielczość 4K (3840 x 2160). Częstotliwość odświeżania wynosi 144 Hz, kontrast to 4250:1, a czas reakcji (MPRT) to zaledwie 1 milisekunda (sic!). Monitor ma m.in. dwa złącza HDMI 2.1, jeden DisplayPort oraz dwa złącza USB 3.2 Gen 1 typu A. Jest też dostęp do funkcji Smart TV, dzięki czemu teledyski na YouTube czy seriale na Netflixie można obejrzeć nawet bez włączania peceta. Premiera spodziewana jest jeszcze w pierwszym kwartale obecnego roku. ©©



Jacek Przybylski



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pobożny bank Piotra Skargi

Oto instytucja, która dziś szokuje samą nazwą. Współczesne nam banki są bowiem wyjątkowo niepobożne, a ich działalność dla naszych przodków mogłaby zostać określona wręcz jako diabelska. Wciskają nam dziś śmieciowe pożyczki, ich wściekłość budzi zaś jakakolwiek skłonność do oszczędzania, bo przecież człowiek niewolnik XXI w. ma żyć tylko na kredyt, pozbawiony prawa do własności, spłacając przez całe życie abonament za: mieszkanie, telefon, komputer, samochód i pozwolenie na wydalenie dwutlenku węgla. Tymczasem w wieku XVI Kościół zakładał instytucje będące pierwszymi kasami samopomocy, mające wspomagać chrześcijan uczciwymi pożyczkami, aby nie wpadali w szpony lichwiarzy.

Prekursorem banku pobożnego był Piotr Skarga, który przebywając w Rzymie, zapoznał się z podobnymi instytucjami. Pierwsze bractwo miłosierdzia założył w Wilnie. Kiedy jednak w czerwcu 1594 r. został odwołany do Krakowa, utworzył tam Bractwo Miłosierdzia zajmujące się wyszukiwaniem takich ubogich, którzy nie zajmowali się żebranią – głównie mieszczan i wdów będących w kłopotach. Jego dewizą było hasło: „semino metam”, czyli „siej, abym zbierał”. Wkrótce na życzenie prowincjała zakonu jezuitów stworzył „Komorę Potrzebnych” zwaną także „Mons Pietatis”, czyli „Górą pobożności”. Był to pierwszy w Rzeczypospolitej bank pobożny, który działał w Krakowie, w kamienicy przy ul. Siennej 5; dom ten istnieje do dziś, jest tam także stosowna tablica. Od razu znalazły się środki na kapitał tej instytucji. Jak podaje Gloger, Campanus, wspomniany prowincjał zakonu jezuitów, złożył na ten



FOT. GROMA PUBLICZNA

cel 10 zł, a Bractwo Miłosierdzia ofiarowało 200 – były to znaczne sumy. Ta ostatnia oznaczała roczny dochód szlachcica z mniejszego folwarku. Wkrótce w działalność Komory zaangażowało się wielu pobożnych mieszczan i szlachty, tak że pod koniec XVI w. mogła ona rocznie dysponować kwotą 5 tys. zł, co było bardzo dużym kapitałem. Skarga stworzył całą jej organizację i statut. Komora pożyczala pieniądze potrzebującym i ubogim w zamian za zastawy, ale bez żadnego procentu lub na procent niewielki, co zabezpieczało przed lichwą i nadużyciami. Zarówno Bractwo, jak i Komora uzyskały zatwierdzenie praw i statutów przez króla Zygmunta III Wazę. Sam zresztą król wpisał się w poczet członków Bractwa, a w 1595 r. osobiście brał udział w uroczystej procesji.

Kapitał Komory rósł bezustannie wspierany darowiznami. W wieku XVII, w czasach potopu, wspomagała miasto, ofiarując duże sumy na kontrybucję dla Szwedów. Pomimo zubożenia Rzeczypospolitej i jej wyniszczenia wojnami na początku XVIII w. bank pobożny dysponował już kapitałem wynoszącym 89 310 zł polskich, co pomimo spadku wartości monety było imponującą kwotą.

Kryzys działalności przyniosły przełom wieków XVIII i XIX, tra-

gedia i upadek Rzeczypospolitej. Przede wszystkim zmniejszyła się wartość wielu domów i fantów zastawionych w Komorze; w roku 1816 kapitał obrotowy wynosił zaledwie 38 tys. zł. Już jednak niecałe 80 lat później bank dysponował kwotą 260 tys. zł, a w ciągu wspomnianych 78 lat istnienia pożyczył i ocalił przed bankructwem z rąk lichwiarzy wielu ludzi, pożyczając im zawrotną sumę 6 800 000 zł!

Komora nie była jedyną instytucją świadczącą pomoc ubogim. Jeszcze większymi środkami dysponował fundusz jałmużniczy Arcybractwa Miłosierdzia. W 1884 r. było to ponad 1,5 mln zł. Instytucja owa, w chwili założenia w 1584 r., liczyła tylko siedmiu członków, a w 1607 r. już 1043 braci i 612 sióstr; istnieje też do dziś, udzielając pomocy będącym w potrzebie. W kolejnych wiekach liczba braci zmalała, od końca XVII w. do upadku Rzeczypospolitej zapisało się do niego 150 mężczyzn i 170 niewiast. W jubileuszowym 1883 r. liczyła zaś 231 członków, protektora, starszego i podstarszego, 12 radców, 14 wizytatorów. Równocześnie z powstaniem Bractwa i Komory ks. Skarga założył skrzynkę św. Mikołaja, która była swoistym funduszem posagowym. Składano tutaj pieniądze, które co roku 6 grudnia rozdzielano na posagi dla ubogich dziewcząt; wiadomo bowiem, że w tamtych czasach niechętnie brano za żony niewiasty bez posagu. Biedne zatem i osieroczone dziewczyny były więc wystawione na liczne pokusy i kończyły na ulicy. Jednym z fundatorów tej instytucji był wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski, przyszły rokoszanin. Kolejny fundusz, zwany szpitalnym, założył dopiero w XVIII w. Jan Tarło, wojewoda sandomierski. ©



ANNA POPEK Z D. CHRUZIŁ
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIŁ

SIOSTRY GOTUJĄ

Wyspa przypraw

Tydzień temu pisałyśmy o kuchni meksykańskiej, dziś chcemy przybliżyć walory kuchni afrykańskiej, a dokładniej południowo-wschodniej afrykańskiej wyspy Tanzanii – Zanzibaru.

Bogactwo natury, roślinność, najpiękniejsze plaże i mieszanka wpływów różnych kultur zarówno brytyjskiej, portugalskiej, chińskiej, jak i indyjskiej, miały ogromny wpływ na całokształt upodobań smakowych i kulinarnych mieszkańców tej wyspy. Ze względu na położenie geograficzne i otaczający wyspę Ocean Indyjski dominują tutaj owoce morza i ryby, skorupiaki, a dzięki obfitości tropikalnego słońca jest dużo owoców, warzyw, a także mnóstwo aromatycznych przypraw.

Zarówno ludy Bantu, Arabowie, Persowie, Hindusi, Brytyjczycy, jak i Portugalczycy zapisali się w kulinarnych smakach Zanzibaru. Każdy z nich przywiózł i pozostawił coś od siebie.

Jednym z popularnych dań jest stek z tuńczyka oraz ośmiornica duszona w mleku kokosowym z dodatkiem cytryny i przypraw, a zamiast chleba piecze się hinduskie chapati. Ryż w roli głównej, czyli pilaw z przyprawami, albo w wersji z warzywami z sosem mięsnym lub rybnym, czyli biryani. Desery na wyspie to zazwyczaj świeże i bardzo soczyste, aro-

matyczne owoce i świeży orzech kokosa rwany prosto z palmy przez miejscowych.

Biryani z kurczakiem

- 1 kg udźca z kurczaka • marynata: mieszanka przypraw – sól, kurkuma, kardamon, kumin, garam masala, chilli – i niepełna szklanka jogurtu naturalnego • 1 cebula
- szczypta soli i cukru • 3–4 łyżki masła klarowanego lub oleju kokosowego • ½ szklanki mleka roślinnego lub krowiego • odrobina szafranu • 300 g ryżu basmati
- przyprawy: laska cynamonu, kilka goździków i nasion kardamonu, liść laurowy • 3 ząbki czosnku przeciśnięte przez praskę • 2-centymetrowy kawałek imbiru ścieramy na tarce • świeża kolendra

Kurczaka płuczemy, suszymy i nacieramy przyprawami z marynaty, dodajemy jogurt naturalny i wstawiamy do lodówki na kilka godzin.

Cebulę kroimy w piórka, posypujemy solą i cukrem, smażymy na rozgrzanym oleju przez kilka minut, zdejmujemy z patelni, mleko mieszamy z szafranem, odstawiamy. Gotujemy ryż na półtwardo, a na patelni podsmażamy przyprawy (cynamon, goździki, kardamon, liść laurowy), dodajemy trochę wody, następnie czosnek, imbir i zamarynowane udka z kurczaka – wszystko razem smażymy kilkanaście minut, następnie przekładamy ryż na wierzch, nakładamy cebulkę i polewamy mlekiem z szafranem. Wszystko pod przykryciem dusimy ok. 30 min. Posypujemy świeżą kolendrą. ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ucieczka w kotkopieski

Mamo, po co ty jesteś na tym Facebooku? – pytają mnie synowie, przynajmniej dwaj z trzech na fejsie nieobecnych. Jak wiele osób nieznających wynalazku Marka Zuckerberga myśla, że tam znajdują się wyłącznie selfiki z plaży z drinkiem z parasolką, zdjęcia ładnych idiotek i milutkich kotków. I oczywiście, że fejs to wylegarnia głupoty. Nawet jeśli się starannie przefiltruje swoje grono znajomych, to zawsze jakieś się znajdują. Ale można tam znaleźć również grono całkiem poważnych ludzi epatujących publicznością zdjęciami swoich ukochanych zwierzątek. Jest to trochę nudne, trochę zakrawające na obsesję, ale w sumie nieszkodliwe, a nawet sympatyczne.

Wracając do rzeczy. Rzeczywiście: po co jestem na fejsie? Ano po to, żeby, jak wielu dziennikarzy pracujących głównie w domu, mieć kontakt z ludźmi. Mniej więcej połowę z nich znam z realu i wiem, że im także komputer otwiera rzeczywistość i uruchamia kontakty. Dzisiaj ludzie nie spotykają się osobiście, kontakty idą przez światłowód. Ale to jest fajne: gadać, pisać, wymieniać wiadomości, komentować wydarzenia, kłócić się, protestować, nie rozumieć, dziwić się, poznawać.

Jednak nie wolno zapominać, że przedsięwzięcie to, przez wielu uznawane za szatańskie, ma właściwość wciągania w swoje bagno. Jestem wśród ofiar: Zaczynam dzień



FOT. ANDRZEJ STOK

od przeglądu feedu, czyli nowych wpisów. Potem jeszcze wpadam kilka razy w ciągu dnia. Z wrodzonego lenistwa udzielam się z rzadka, czasem lajkuję, czasem komentuję, starając się utrzymać władzę nad swoją obecnością tamże. Każdemu wydaje się, że jest ponad uzależnienie, dopóty, dopóki się nie uzależni. A fejsbuk wciąga. Widzę, jak mądrzy i poważni ludzie nie mogą przeżyć dnia, żeby czegoś tam nie umieścić. Oczekując na publiczność, na lajki, na serca, okrzyki i wybuchy śmiechu. I na komentarze oczywiście. Jak przeżyć dzień bez vanity fair?

Są grupy towarzysko-intelektualne, rodzaj klubów dyskusyjnych. Wiadomo, kto się w nich odezwie i w jakiej tonacji politycznej zabierze głos. Wiadomo, kto zareplikuje, kto się popisie erudycją, a kto dowcipem. Uczestnicy starają się powściągać emocje polityczne, ale one prędzej czy później dochodzą do głosu. Podział plemienny przebiega przez wszystkie dziedziny życia. Sztukę, literaturę, kino, teatr, edukację, psychologię, wychowanie dzieci. Tylko selfiki, parasolki i kotki oraz pieski pozostają poza polityką. W końcu od nich wszystko się zaczęło i może lepiej niech na tym się skończy. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Norymberga Gizy

Adam Giza to mój ulubiony dziennikarz covidowy. Śledziłbym go częściej, gdyby nie jedna moja wada: nie mogę długo przebywać z ženadą, obserwować, jak ktoś się kompromituje, bo wtedy ciarki mi przechodzą po plecach, taki jestem empatyczny. Ale empatia to zdolność do odczuwania tego, co czują ludzie, a z panem Gizą mam kłopot. Nie wiem, co czuje. No bo co może czuć facet, który – mając stały program covidowy w telewizji – pokazywał, jak działa maseczka, psikając na nią dezodorantem, czy odradzał używania głoski „p”, bo ta emituje dużo powietrza z płuc?

Ale pan redaktor od czasu do czasu wpada mi w ręce. Ostatnio mi się nawinął, bo wraca uporczywie do tematów, by zaistnieć. Powodem jest zacytowana przez niego wieść o tym, że w Kanadzie ogłoszono (wreszcie!), ilu to ludzi zabili płaskoziemscy antyszczepionkowcy. Ale czytał z pana redaktora należy się w całości, bo wnioski są ciekawe: „Czy w Europie, Polsce należy rozliczyć antyszczepionkowców? Poprzez fałszywe informacje, zniechęcające do szczepień, chorowało i umierało ogrom osób. Kanada już wszczyna procesy. Może warto to rozważyć!”.

Tyle mój faworyt. Ale o czym on pisał? CCA – Rada Kanadyjskich Akademii, grono uczone, opublikowała raport, z którego wynika następujące

wyliczenie: od marca do listopada 2021 r. co najmniej 2,3 mln osób wahało się, czy się szczepić, z czego zmarło 2,3 tys. (nie wiadomo z raportu, czy zaszczepionych czy nie), trafiło do szpitala 13 tys. „wahaczy” więcej, co kosztowało dodatkowo 300 mln dol. Nie będę się pastwił nad metodyką tego badania. Nie to jest ważne. Ważne, że podliczono szurów. Co prawda, raport wspomina „tylko” o konieczności wprowadzenia de facto cenzury (skoro kłamstwo covidowe tyle nazabijało), nasz redaktor zaś postuluje procesy w tej sprawie, ale tak to zawsze jest – kopiujący licytujący swe zapóźnienie radykalizmem.

Awię Panie Redaktorze, jestem... za. Dawajcie jakiś proces wybranym szurom. Może Pan będzie prokuratorem? Jestem za, bo wtedy stanie prawda na ławie oskarżonych i publiczność może wysłucha tych strasznych nienaukowych bredni, od których – jak widać nieszczelnie – media covidowe izolują lepiej niż szczepionki od COVID-19. Na razie takie sprawy załatwia się po cichu, w kapturowych sądach izb lekarskich, po to, by świat nie ujrzał covidowych kłamstw władzy i służby zdrowia.

Pan nie wie, zdaje się, o co prosi. Ostatnio widziałem Pana w telewizji – użył pan 65 razy głoski „p”. Nie wstyd Panu narażać tak ludzi? ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Moralność jako przeszkoda

Zbiórkę podpisów pod obywatelskim projektem dotyczącym zakazu spowiedzi do 16. roku życia traktować należy jako wyjątkowo bezczelny akt agresji wobec katolików, a także jako sposób lansu i promocji tych, którzy wszczynają tę awanturę.

Argumenty o traumach młodych dziewcząt nabytych w konfesjonale podczas spowiedzi (czyli w czasie kontaktu z obcymi dorosłymi mężczyznami, którzy „nie mają przygotowania psychologicznego”) są tak absurdałne, że nie warto się nad nimi pochyłać, natomiast tezę, że „spowiedź przedwcześnie konfrontuje dzieci ze światem »dobra i zła«, gdy jeszcze nie mają w pełni rozwiniętych możliwości zrozumienia swoich działań”, uznaję za bardzo ważną. Otóż Biedroń i inni radykalni przedstawiciele politycznego ruchu homoseksualnego, którzy rozkręcają tę akcję, szczerze odkryli karty. W ich świecie im dłużej dzieci i młodzież będą pozbawione zdolności odróżnienia dobra od zła, tym łatwiejszym będą łupem. Środowiska, które tak troszczą się o komfort psychiczny dzieci, żądają edukacji seksualnej od najmłodszych lat, wypranej z aksjologii i norm moralnych; edukacji kwestionującej prawo naturalne, gdzie wynaturzenia prezentowane są jako norma. Chroniąc dzieci przed traumatyzującym oddziaływaniem konfesjonatu, jednocześnie reklamują

antykoncepcję, inspirując młodych do przedwczesnego podejmowania współżycia, co, jak widać na przykładach wielu zachodnich krajów, skutkuje licznymi ciężami nastolatek i aborcjami. Czy zabicie własnego dziecka nie pozostawia traumy?

Koledzy Biedronia z tzw. antydyskryminacyjnych organizacji włączają do szkół, robią dzieciakom zamęt w głowach, promując homoseksualny styl życia lub przekonując, że ich płeć mogła być wadliwie przypisana przy urodzeniu. Lekceważą przy tym naturalne zjawisko fazy homofilnej, gdy dominuje zainteresowanie i fascynacja przedstawicielami tej samej płci, a wobec płci przeciwnej odczuwana jest obcość. Jeśli w czasie tej prawidłowej fazy rozwojowej celowo forsowana jest dezorientacja, a homofilność interpretowana jest jako orientacja homoseksualna, to następują zaburzenia w psychoseksualnym rozwoju. I teraz jasne się staje, dlaczego taki młody człowiek nie powinien odróżniać „dobra i zła” i najlepiej, aby nie miał „w pełni rozwiniętych możliwości zrozumienia swoich działań”. Obserwowany w ostatnich latach gwałtowny wzrost liczby młodych deklarujących niebinarność, orientację homo, bi lub transseksualizm, w krajach, w których już od dziesięcioleci ma miejsce nobilitacja homoseksualizmu, wskazuje, że są to postawy nabyte. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Najgorsze to te remizy...

Rząd jest nieprawdopodobnie zapracowany i nie zanosi się na zmniejszenie tempa. Stop. Sejm przyjął prawo, które nakłada podatki na internetowe zbiórki, np. na operacje dla chorych dzieci, które nie mogą liczyć na pomoc naszej służby zdrowia. Stop. Kiedy sprawa wyszła na jaw i opinia publiczna zareagowała gwałtownym oraz słusznym gniewem, rząd natychmiast uznał, że to prawo trzeba zmienić, a w ogóle intencje były inne. Stop. Uchwalanie prawa, które natychmiast się zmienia, daje pracę na dwa etaty i podstawę do nagród. Stop.

W Onecie ukazał się wywiad z dyrektorem Teatru Dramatycznego w Warszawie, Moniką Strzępką, którą PiS-owski reżim bierze i niszczy. Stop. Znaczący się chcą ją wywalić ze stanowiska przy pomocy wojewody Radziwiła. Stop. Gdyby ktoś nie pamiętał, pani Strzępka to ta pani, która paradowała z wielką waginą po Warszawie i umieściła ją nawet w teatrze. Stop. Że takimi pomysłami epatują raczej nie dyrektorzy, a rozgarnięte jak kupa liści uczniaki w podstawówce, to inna sprawa. Stop. Jest jednak w sprawie nowość, gdyż dziennikarz napisał, iż pani dyrektor zmieniła nazwę swojego gabinetu na „waginet”, a obok umieszczono rysunek waginy. Stop. Co ci PiS-owcy chcą od pani dyrektor? Stop.

Po Internecie hulają takie cztery obrazki grupowane po dwa. Stop. Na pierwszym trzech ORMO-wców sprzed 35 lat w mundurach rozmaia chmurkami. Stop. Jeden mówi: „Za 35 lat będziemy bronić demokracji”, a drugi odpowiada niedowierzająco: „Pier....sz!”. Na obrazku poniżej widzimy trzech trachniętych rydwanem czasu panów, zdaje się z KOD, lub innych obywateli, broniących, a jakże, demokracji... Stop. Kolejne dwa obrazki to ponieważ kopiowanie powyższego pomysłu, tyle że przedstawiają najpierw czterech działaczy PZPR sprzed 35 lat, którzy też dowcipkują na temat przyszłej obrony demokracji, a na poniższym widzimy ich jako europarlamentarzystów. Stop. Inteligencja to zdolność przystosowania się do nowej sytuacji. Stop. Inteligencja nie ma nic wspólnego z moralnością. Stop.

Antyrządowe media zabiły na alarm w związku z możliwymi zmianami w Kodeksie wyborczym. Stop. Może dojść do tragicznych dramatów, o czym krzyczą wyraźnie tytuły, np. ten: „PiS chce wcisnąć wyborców do remiz i świetlic”, co ma oznaczać, że większa liczba komisji wymagałaby organizowania wyborów właśnie w remizach i świetlicach. Stop. Internauci zaczęli wrzucać zdjęcia, na których widać, że od lat wybory organizowane są także w remizach i świetlicach. Stop. Jak żyć? ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Nasze wojny

Małgośka, mówią mi, ta wojna nie jest nasza! Ani „zachodnia wspólnota wartości”, w imię której dostarczana jest broń Ukrainie, też nie jest nasza. Próbuję więc przekonać i wyciągam telefon, pokazując zdjęcie młodego Latynosa. Podszedł do mnie na lotnisku w Madrycie, pytał o różne sprawy, w końcu wyznał, że leci z Limy do Kijowa przez Polskę. Jest strażakiem, sanitariuszem i obserwując w mediach piekło zgotowane Ukrainie, chce pomóc uratować choćby jedno życie. Podróż opłaca z własnej kieszeni, bo ambasada Ukrainy odmówiła wsparcia. Potem poprosił mnie o hotspot i tak niechętny wysłuchałam jego rozmów z eksnarzeczoną i rodzicami błagającymi, aby wrócił do Limy.

Patrzyłam na chłopaka ledwie dwa lata starszego od mego syna i zastanawiałam się, czy zamiast wspierać go, nie powinienam go raczej wsadzić z powrotem w samolot do Peru, tłumacząc, że to nie jest jego wojna. W końcu jako mieszkaniec Limy nawet nie wie, czym jest zima w naszym regionie. Na Okęciu miał przesiadkę do Krakowa, więc rozstaliśmy się w pośpiechu. Zdążyłam tylko podrzucić mu prowiant i zobowiązać, aby codziennie dawał mi znak życia. I tak przez kolejne dni odpisywał, że śpi w kościele albo na dworcu i że wciąż szuka, jak dołączyć do ochotników. Próbowałam bez skutku znaleźć

kogoś, kto mógłby mu pomóc. Nie wierzę w przypadki. Takie spotkanie oznacza też moją odpowiedzialność za niego. W końcu dumny F. przysłał mi swoje zdjęcie w mundurze z barwami Ukrainy, bo został tłumaczem hiszpańsko-angielskim na froncie. Jesteśmy w kontakcie, ale też każdego dnia się boję, że jego telefon może któregoś dnia zamilknąć.

Mam więc ochotę zapytać niektórych: Dlaczego ta wojna nie jest wasza, skoro za swoją uznał ją nawet Peruwiańczyk? I wciąż nie wiecie, o jakie wartości się toczy? O „nieszczęsny dar wolności”, którego nie zna „ruski mir”? Tak, bo w demokracji, w tym kiepsko podrabianym raj, możesz zerwać zakazany owoc: możesz być LGBTX, albo wegeniebinarnym lewakiem, ale też wolontariuszem lub księdzem, w skrócie: wolnym człowiekiem, jakim uczynił nas Stwórca. Rуска despotia nie daje wyboru. Peruwiańczyk to nie Rosjanin, zna smak wolności, bo wychował się w katolickiej kulturze. W pieśni „El cóndor pasa” słychać zew wolności, jakiego nigdy nie umieliby wyśpiewać żyjący strachem lub apatią moskowici.

Nie każdy musi być kondorem lub jastrzębiem, ale przynajmniej niech nie będzie Orbánem. Każda wojna, w której z bliska słychać krzyk mordowanych, jest naszą wojną. Czy nam się to podoba czy nie... ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Amicus Benedictus?

Jak to dobrze, że Kościół w swojej mądrości (asystencja Ducha Świętego!) potwierdził w 1870 r., że papież jest nieomylny w kwestiach wiary i moralności, gdy wypowiada się ex cathedra. Tak głosi dogmatyczne orzeczenie Soboru Watykańskiego I, które zazwyczaj przedstawiane jest jako szczyt uroszczeń ultramontanizmu i papolatrii. Krótko po jego ogłoszeniu dogmat ten był traktowany przez liberalnych kulturkampferów w powstałej niedawno Rzeszy Niemieckiej jako uzasadnienie dla rozpętania brutalnej antykatolickiej „wojny o kulturę”. Skoro katolicy uznają autorytet papieża, a papież jest nieomylny, to nie mogą oni być lojalnymi obywatelami Rzeszy

Księcia Apostołów, a nie np. jako pasażer jakichś linii lotniczych czy rozmówca jakiegoś dziennikarza. Patrząc z tej perspektywy, dogmat ten jest dowodem wielkiego katolickiego realizmu i wolności.

Nieomyślność papieska nie dotyczy np. interpretacji historii, która powinna być przedmiotem rzetelnych badań naukowych. Katolicy więc z ulgą mogą przyjąć do wiadomości, że papież może (świadomie lub nie) błędzić w tej kwestii. Przypominają się w tym kontekście słowa Benedykta XVI wypowiedziane w maju 2006 r. na terenie niemieckiego obozu zagłady w Auschwitz. Wedle słów samego papieża przybył on do tego miejsca jako „syn tego narodu [niemieckiego], nad którym grupa zbrodniarzy

chwili z powodu zdradzieckiego ciosu zadanego jej w plecy. Naziści, podobnie jak miliony Niemców, którzy jeszcze zanim Hitler zaczął wygłaszać swoje przemówienia w monachijskich piwiarniach, uważali traktat wersalski jako „podeptanie niemieckiego honoru”, domagali się „zmycia hańby Wersalu”. Od prawa do lewa panował po 1919 r. nad Sprewą konsensus, że częścią tego despektu, który spotkał Rzeszę Niemiecką, był sam fakt powstania niepodległego państwa polskiego. Oburzenie wszystkich – od socjaldemokratów do katolickiego Centrum i konserwatystów – budził również powrót do Polski ziem dawnego zaboru pruskiego. Ponadto „grupa zbrodniarzy” była całkiem liczna. 1 września 1939 r. do NSDAP należało ok. 310 tys. Niemców.

„Traktat wersalski świadomie chciał upokorzyć Niemcy i obciążyć je ciężarem, który doprowadził ludzi do radykalizacji, a tym samym otworzył drzwi dla dyktatury i sprawił, że zdobyły posłuch jej fałszywe obietnice przywrócenia Niemcom wolności, honoru i wielkości. Zasada oko za oko, ząb za ząb nie prowadzi do pokoju, jak to zobaczyliśmy”. To fragment homilii, którą 6 czerwca 2004 r. w katedrze w Bayeux wygłosił ówczesny prefekt Kongregacji Nauki Wiary, kard. Joseph Ratzinger, który niespełna rok później zasiadł na Piotrowej Stolicy. W Polsce Benedykt XVI roztropnie usunął passus o traktacie wersalskim. Co nie zmienia smutnego faktu, że także on należał do rzeszy swoich rodaków, którzy uważali traktat wersalski, m.in. potwierdzający w świetle prawa międzynarodowego powrót niepodległej Polski na mapę Europy, za „upokorzenie Niemiec”. Amicus Benedictus, sed magis amica veritas. ©

Nieomyślność papieska nie dotyczy np. interpretacji historii, która powinna być przedmiotem rzetelnych badań naukowych

i trzeba ich – jakby to powiedzieć – opłówać, rozumowali liberalni sojusznicy Bismarcka.

Katolickie spojrzenie na tę kwestię najlepiej oddają słowa Chestertona, który napisał kiedyś, że dogmat jest prawdą oczywistą, która została zakwestionowana i dlatego wymaga opisanego. W podobny sposób wielu ludzi posługujących się zdrowym rozsądkiem stało się w ostatnich latach dogmatykami, uparcie twierdząc, że małżeństwo to związek mężczyzny i kobiety, że są dwie płcie, a dziecko ma mamę i tatę, a nie „rodzica A” i „rodzica B”.

Ponadto dogmat z 1870 r. o nieomyślności papieskiej należy rozumieć w ten sposób, że papież jest nieomylny tylko w kwestiach wiary oraz moralności i tylko gdy wypowiada się oficjalnie jako Następca

zdobyła władzę przez zwodnicze obietnice wielkości, przywrócenia honoru i znaczenia narodowi”.

Nieomylny w sprawach wiary i moralności (ex cathedra) papież mylił się w ocenie genezy dojścia do władzy narodowych socjalistów gruntownie. Ta „grupa zbrodniarzy” nie była czymś zewnętrznym wobec narodu niemieckiego. Program NSDAP odzwierciedlał wszystko to, co naznaczyło niemiecką kulturę polityczną od lat, a zwłaszcza od przegranej w 1918 r. wielkiej wojny. A więc przekonanie milionów Niemców, że tak naprawdę wojna się nie skończyła, tym bardziej – w to wierzone powszechnie – że armia niemiecka „nigdy nie została pokonana na polu bitwy”, a zwycięstwo wymknęło się w ostatniej



Wojciech Cejrowski
korespondencja
z USA

CYGANIE

W dzieciństwie chodziłem nałogowo do cyrku. Tak długo, jak cyrk stał, chodziłem codziennie, a po szkole kręciłem się dookoła i podglądałem życie wędrowniej trupy. Pomagałem karmić wielbłądy i wywozić taczka łajno spod słoni. Jako zapłatę brałem kupę lwów lub tygrysów. Cyrkowcy się nie dziwili. Wiedzieli, że to doskonały towar do zhandlowania – płoszy z obejścia tchórze i kuny.

W tamtych czasach chciałem być cyrkowcem.

Chciałem też być Cyganem.

W roku 1964 władza komunistyczna odebrała Cyganom prawo do wędrowki – nakaz meldunkowy, obowiązek szkolny, nakaz pracy, wmuśnianie dowodów osobistych. Tabory przestały krążyć po Polsce, a polana w lesie, gdzie – jak mówiła moja babka – „zawsze byli latem i tam nosiłam garnki do naprawy”, opustoszała. Cyganami zainteresowałem się, gdy 10 lat od wprowadzenia zakazu taborów Maryla Rodowicz śpiewała romantyczny song „Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma, bo czy warto po świecie się tłuc?”. Jak to „czy warto” i kto to są konkretnie Cyganie? – takie miałem pytania do babci.

– Ludzie mówią, że Cygan kury kradnie – opowiadała babcia. – Mnie nigdy nie ukradli, bo zawsze, gdy ciągnął tabor, wychodziłam na drogę i dawałam im koszyki. Oni mieli takie biedne te swoje wozy, ale coś ich gnało w świat, pomimo trudu i biedy. Dałam im jaj, to potem przychodzili sami z siebie

zadrutować garnki i nigdy nie chcieli pieniędzy. Zaprośili do ogniska wieczorem, zabrałam kiełbasy, a oni śpiewali po swojemu i umieli się cieszyć chwilą. A to były czasy, gdy ciężko się było cieszyć.

W piosence Maryli Rodowicz nie ma ani słowa o eks-terminacji kultury cygańskiej, jest za to pochwała małej stabilizacji, czterech kątów w bloku i słowa, że „tylko koni żał”. Naprawdę tylko koni? Cygańskich koni mocno żałował mój dziadek i w tym jednym miejscu piosenki dogadywał spod wąsa: „O koniach to akurat prawda, a reszta szajs i czerwona propaganda”.

Dziadek umiał handlować końmi jak Cygan i nie dawał się Cyganom ocyganić. Znał wszystkie cygańskie sztuczki i sam je stosował. Chcesz konia dobrze sprzedać, to daj mu wódki – będzie wesoły i skoczny; zrywny. Tylko nie za dużo, bo się z niego zrobi ospała chabeta. Chcesz konia dobrze sprzedać, to go wygłancuj – porządnie wyczesany i natarty pościem słoniny będzie z daleka świecił i błyszczał. I kopyta musi mieć wypastowane – bezbarwna pasta do butów, szczotka i kopyto robi się jak lakierowane pazurki u dam. A do tego daj mu żreć tak, żeby go odrobinę wzdęło – zapadnięte boki obniżają cenę, a gdy koń pełen i rożochocony wódką, a do tego pierdnie od czasu do czasu, to znaczy, że zdrowy i się zaraz kupiec znajdzie.

Cyganie wiedzieli, że mój dziadek wie to samo co oni. Swoją swego pozna. Dlatego przyprowadzali mu najlepsze konie w dobrej cenie.

Nie musiał sprawdzać. Nie musiał wsadzać rurki w zad, żeby spuścić gazy, nie musiał przecierać kopyt ani sierści terpentyną. Dogadywali się w złotych dolarówkach.

Prawdziwych Cyganów poznałem wiele lat po wprowadzeniu zakazu taborów. Poznałem ich w cyrku – tam się ukryli, tam ocalili kawałek swojego życia i kultury nomadów. Tabory cygańskie były zakazane, ale tabory cyrkowe nie, więc kilka rodzin domaloowało na swoich wozach słowo CYRK i żyło jak dawniej. Jeden tresował konie – robiły te same sztuczki co kiedyś dla zabawy, tyle że teraz pod cyrkowym namiotem. Drugi chodził po linie. Trzeci żonglował wszystkim, co mu wpadło w ręce – tak samo jak dawniej na jarmarkach, gdy ludzie dorzucali mu różne rzeczy, a on żonglował i żonglował, a potem oddawał wszystko po kolei oprócz tej flaszki wódki, którą sobie zostawiał i zabierał jako „honorarium”. Była też stara baba z wąsem i to były jak najbardziej prawdziwe wąsy – wiem, bo dawała szarpać. A na pytanie, skąd je ma, odpowiedziała, że sobie wyhodowała.

– Ja też chcę mieć wąsy – mówię do niej.

– Poczekaj, to ci wyrosną.

– A teraz?

– Hm. Teraz to byś musiał pod nosem smarować kozimi bobkami.

– To samo mi mówił dziadek.

– No widzisz, synku. Cygan nie kłamie, tylko się tak ludziom wydaje, gdy nie są w stanie uwierzyć w to, co Cygan opowiada.

W stanie wojennym znów spotkałem Cyganów. Mój wuj handlował używanymi samochodami. Kupowaliśmy na giełdzie auto w stanie zapuszczonym, bo jakaś fleja nawet nie umiała go porządnie posprzątać. Mieliśmy tydzień na wypucowanie i wracał na tę samą giełdę dużo droższy. To były te same akcje, które dziadek robił z końmi, tylko zamiast pościa słoniny stosowaliśmy pastę polerską Fenix do wygłancowania karoserii, porządne odkurzenie i mycie w środku, nacieranie elementów plastikowych wazeliną, perfumowanie odświeżaczem do toalet oraz mycie elementów zardzewiających naftą. Całe to pucowanie to nie była łatwa ani czysta praca – kupa roboty, którą mógł włożyć we własne auto poprzedni właściciel, ale mu się nie chciało.

Przyszli do nas Cyganie i mówią: „Jakbyście potrzebowali naprawdę dobre auto w uczciwej cenie, przyjdźcie do nas. Znajdziemy jak dla... swoich”.

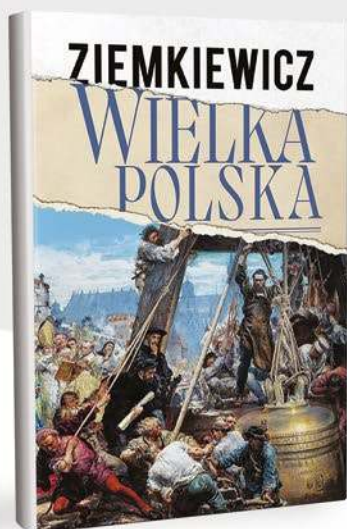
A zatem chciałem być cyrkowcem i Cyganem, a potem spotkałem jeszcze prawdziwych Tatarów i mieszkalem z nimi w lesie na Kociemiu, żyłem pośród plemion wędrownych w Amazonii i to wszystko byli tacy sami ludzie – wolni.

Po co to Państwu teraz opowiadam? Nasz świat czterech kątów napędzanych prądem i benzyną może rypnąć. I kto przetrwa? Cyganie, Tatarzy, Indianie, a do tego kibole i prepersi. UCZ SIĘ ZAWCZASU. Kup kury, siekiery, westfalke, ucz się patroszyć... ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ:
„WIELKA POLSKA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~934~~ Zł

344,00 Zł

OSZCZĘDNOŚĆ 590 Zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl a5a88eaca6

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

ROK 1933. WYBÓR NIEMCÓW: HITLER KANCLERZEM, CZYLI POCZĄTEK KOSZMARU

– mówi prof. Grzegorz Kucharczyk, piszą
Piotr Semka, Jakub Ostromecki, Grzegorz
Janiszewski, Michał Mackiewicz i inni



TWARZE 1863 R. – Marka Gałęzowskiego o wolnych Polakach opowieść datowana,
a POWSTAŃCZE DAGEROTYPY prezentuje Tomasz Stańczyk

BEZRADNY KONSUL II RP – prof. Mikołaj Iwanow o dyplomatach polskich na Białorusi w latach 1922–1939

JAN PAWEŁ II I RONALD REAGAN – z amerykańskim historykiem prof. Paulem Kengorem
rozmawia Piotr Włoczyk

ZA DŹWINĘ DO PRACY – Sławomir Koper przypomina sezonową przedwojenną emigrację Polaków na Łotwę

PÓŁKSIĘŻYC ZASZEDŁ POD LEPANTO – Maciej Rosalak o zwycięstwie floty chrześcijan nad Turkami w 1531 r.

UPADEK ERICHA KOCHA – Piotr Zychowicz: były gauleiter Prus wcale nie miał w celi kolorowego telewizora

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**